



crypton v.t.

DWA GŁOSY

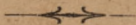
POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

84

Stanisława Pileckiego.

127



WARSZAWA

Nakładem Redakcji „Gazety Polskiej“

Druk J Sikorskiego Warena 14.

1899.



241389

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ
Варшава, 23 Февраля 1899 года.

I.

Po pogrzebie pani pusto i cicho było w Stawianach. Pani Starowska udawała chorą, bo nie chciała się kompromitować przed służbą, że i jej także, mąż synowicy, Władysław Hojski, nie chce widywać.

Nikogo wdowiec nie dopuszczał do siebie. W oknach kazał zapuścić rolety, zasunąć portyery. Po powrocie z pogrzebu jedna Wanda go widziała.

Gdy weszła, pochwycił ją Hojski za obie ręce i rzekł cicho i prędko:

— Moja Wandziu droga! ty zlituj się, proszę, Helcia cię tak kochała! Ty mnie zrozumiesz—nikogo widzieć nie mogę, nikogo!... nikogo!... nawet Bolcia nie wpuszczajcie...

— Władziu!...—zaczęła Wandzia ze słodką perswazyą.

— Nie, Wandziu!—nie! szeptał jej Hojski—nawet Ciebie widywać nie mogę, choć ty mi tak Helcię kochałaś, tyś ją tak pielęgnowała w chorobie...

— Przepraszam cię, Wandziu! — dodał jeszcze cichszym głosem.

Cicha, posłuszna, wyszła od niego Wanda, ścisnąwszy mu dłonie.

I mijały ponure dni; Hojski się żywił tylko herbatą i wciąż pełne wracały talerze z obiadem.

Wandzia zajęła się Bolciem—garnęła do siebie sierotkę, starała się go rozerwać.

Pomimo to długie chwile jasnowłosa pauna spędzała samotnie, siedząc w bujającym fotelu, ręce założwszy w tył głowy.—Wciąż się przesuwwały przed jej oczami obrazy z niedawnej choroby Heleny Hojskiej—przypominała sobie najdrobniejsze szczegóły, każde słowo chorej, i tę straszną chwilę, gdy w przystępie gorączki zerwała się na łóżku, zarzuciła ramiona na szyję mężowi, wsparła mu głowę na piersiach...

I potem to jakieś złowrogie milczenie, co zapanaowało w komnacie.

Zdawało się wszystkim, że Helena usnęła, że usnął Władysław—dopiero doktor, strwożony, wstał, podszedł do niej, dotknął ramienia chorej—a to ramię opadło, bezwładne—i wnet się cała postać osunęła na łóżko.

Tymczasem doktor wciąż siedzącego Władysława chwycił za ręce, ucho do piersi przyłożył i z niepokojem zawołał:

— Zemdlał! niech go ztąd czempredziej wyniosą!

I wspominała Wanda swój strach—jak jej włosy stawały na głowie, jak za nim pobiegła, gdy go wynosili—jak jej się zdawało, że serce jej bić przestało, nim wreszcie doktor nie przyprowadził Władysława do życia.

A wspominając te straszne chwile — nie mogła Wanda zrazu zrozumieć, czemu jej strach o Władysława był taki wielki, że w pierwszej chwili zapomniała, iż Helcia nie żyje, ta jej stryjeczna siostra, jej przyjaciółka cicha i słodka.

— Nie rozumiem!—nie rozumiem!—szeptała do siebie, potrząsając główką.

Znalazła się wreszcie pewnego dnia odpowiedź.

— Litość! chyba litość bezmierna!—szeptała do siebie.— Bo jakież rzeczywiście biedny jest ten Władysław! Jak on strasznie wyglądał! Jaki wyraz cierpienia i niepokoju miał w oczach przez cały czas choroby Helci.

— Zemdlał!—Gdy jej dusza uleciała na zawsze, jego też dusza chciała ulecieć. A potem — gdy się przebudził z omdlenia, powiódł tylko przestraszonym, osowiałym wzrokiem po pokoju. — Spostrzegł, że jest w swoim gabinecie—zobaczył przy sobie doktora — ją, Wandzię—domyślił się snąc, że oni tam przy Helci już niepotrzebni. Zrozumiał.

— Odejdźcie!—ja wiem!—wyszeptał.

I wspomniała Wandzia jak wyszła z gabinetu, choć—chciała paść na kolana i objąć jego głowę.

A myśląc o tem, zamknęła oczy, rękami zakryła twarz, gorąco jej się zrobiło, zdawało jej się, że klęczy przy nim, że go w czoło całuje, całuje bez końca—a wreszcie zaczął nią wstrząsać jakiś dreszcz nieznany a zarazem jakiś niepokój ją ogarnął.

— Wandziu!... odezwał się w tej chwili z przylogłego pokoju głos pani Starowskiej.

Wanda, jakby ją kto gonił, pobiegła do matki.

— A co, mamo?—pytała.

— Wiesz, moje dziecko — rzekła pani Starowska do córki, że mam dosyć tego siedzenia w Stawianach. — Oto już trzy tygodnie. — Trafiłyśmy tak nieszczęśliwie na tę Helci chorobę, rozumiem, że nie wypadło nam jej odjeżdżać, ponieważ biedaczka nikogo z bliższych ze swojej rodziny nie miała. — Ale teraz, ten biedny Władysław robi jakieś komedye — może nasz pobyt mu ciąży, może gdyby nas nie było, wracałby powoli do normalnego życia.

Zamyśliła się Wandzia; snąc słowa matki trafiły jej do przekonania.

— Prawda, mamol—może my go krępujemy.

— Bardzo jestem rada, że mnie rozumiesz. Zresztą śmieszna nasza rola tutaj.— Co my tu robimy?—Bądź co bądź to już nie dom mojej synowicy, twojej stryjecznej siostry;—to dom pana Hojskiego.

— O! co to? Mamol — broniła się Wanda, toż przecie żadnej niema różnicy. Władysław był zawsze najlepszym krewnym.

-- Nie przeczę, że był, ale przyszłość przed nami. Teraz się wszystko zmieni, Władysław za młody, by wiecznie wdowcem pozostać...

— Ach, mamol—zawołała z oburzeniem Wandzio, zakrywając rękami oczy—ach!—nie mów tego to niepodobna!—ja go znam, on się nie ożeni nigdy...

— Zdaje ci się, dziecko—odrzekła chłodno pani Starowska—nie znasz życia.

— Niech mama tego nie mówi!—wołała dalej Wandzia, to takie okropne, to takie wstrętne, zupełnie jak chłopci co na pogrzebie żony o drugim małżeństwie mówią.

— Cóż chcesz, moje dziecko-- życie ma swoje prawa...

— Pfe! Mamo, pfe! Mamo! — wołała Wandzia—przypomina mi się zupełnie ta nowelka Prusa, gdzie chłop wracający z pogrzebu już dyskutuje o posagu przyszłej swojej żony...

— No, ostatecznie — odrzekła matka—ja żadnych planów nie układam dla niego, *je n'ai personne en vue...*

Lecz się wnet zamyśliła, chodząc po pokoju.

— Hm! zresztą!—mówiła do siebie w myśli—w gruncie, żeby chciał Wandę, tobym ją może dała. Cóż robić! fortuna znaczna...

A gdy tak się zadumała pani Starowska, Wanda usiadła w głębokim fotelu, zamyślona także.

Przed jej oczami zjawił się Władysław, dawny Władysław.

Zdaje się Wandzi, że go gdzieś widzi na balu w Warszawie, jak się do jakiejś panny zbliża zalotnie, jak do niej mówi, pobłyskując okiem, jak mu zęby błyszczą w uśmiechu.

Nagle ścisnęło się jej serce, zmarszczyły brwi.

— Nikczemny! — pomyślała. — Już o Helci zapomniał, już nadskakuje innej—a ta miła Helcia—ta biedna Helcia..! ta Helcia pod ziemią...

I wybuchła płaczem, spazmatycznym płaczem, zdało jej się, że Helcię zimną, sztywną trzyma w objęciach, że całuje jej czoło, robiące jej ustom wrażenie marmuru.

— Co ci jest, dziecko?—zawołała z przestraczeniem pani Starowska.

Wandzia tak silną czuła potrzebę przytulenia się do kogoś, że ramiona zarzuciła na szyję matki, jaśną swą główkę złożyła na jej łonie i wciąż szlochała.

— Wandziu—uspokój się, co ci jest?—mówiła pani Starowska,

— Ach mamol ta Helcia!... ta biedna Helcia!... ta droga, biedna Helcia!...

II.

Zmrok zapadał, nastala szara godzina. Wandzia siedziała przy matce już spokojniejsza nieco, wycierając zmiętą chusteczką naprzemian to spuchnięte oczy, to nosek różowy.

— Mamol—ja pójde na grób—zawołała nagle.

— Cóż znouu moje dziecko!—zachnęła się pani Starowska—już późno, chłodno, mozesz się przeziębic.

— Moja mamol kochana mamol błagała panienska, na minutkę tylko, na jedną sekundę, jeszcze widno i tak ciepło,—ja dopiero teraz pojęłam całe nieszczęście; ja nie zasnę spokojnie, nim choć tej ziemi, pod którą leży, nie ucałuję.

— Niewiem co to się stało, ciągnęła dalej, wciąż manewrując z przemokłą chusteczką, która już oczu suszyć nie chciała,—doprawdy nie wiem dlaczego dotąd nie tak odczułam tę śmierć jakem była odczuć powinna, jakem myślała, że odczuć potrafię. Pozwól, mamol.

— Idź zresztą, odrzekła matka, — tylko weź co ciepłego, narzuć przynajmniej pled.—I niech kto z tobą pójdzie.

Wanda prędko wybiegła, wpadła do gościnnego pokoju, w którym obie z matką mieszkały, rzuciła w kąt zmokłą chusteczkę, z kufra wyjęła pośpiesznie drugą, otarła silniej nosek, z łóżka matczynego ściągnęła pled, owijając się weń niedbale, i z młodzieńczym zapalem wybiegła — sama — na dziedziniec.

Coś ją gnało naprzód, chciała jaknajprędzej być na cmentarzu odległym o wiorstę niecałą, — chciała czempędzej łzami swemi zrosić ten grób swej Helci, swej drogiej Helci.

Ale wchodząc na cmentarz, znalazła furtę otwartą; podbiegła kroków kilka, lecz wnet spostrzegła, że po nad grobem stoi jakaś postać.

Poznała Władysława, przystanęła; serce zaczęło jej bić gwałtownie, schowała się za starą, grubą, płaczącą brzozę, wstrzymując oddech, by się niczem nie zdradzić. — Bała się cofnąć, by jej kroków nie dosłyszał Władysław. — Patrzała więc z ukrycia.

Władysław stał długo nieruchomy, wyprężony, wreszcie wyciągnął ręce ku niebu, złączył je, aż trzasnęły mu stawy, a potem zakrył niemi twarz, pocierał czoło, i nagle posłyszała dziewczyna jęk jego, czy płacz.

Osunęła się na kolana, chustką zatknęła sobie usta; zdawało się jej, że coś jej pierś rozsadza.

W tej właśnie chwili Władysław się obrócił, obejrzał z niepokojem i jak spłoszony zwierz zabrał się do odwrotu.

Ciemno już było, więc choć niedaleko przechodził, owej brzozy nie dostrzegł; zresztą i oczy jego błędziły gdzieindziej.

Gdy szedł, Wandzia się jeszcze skurczyła, robiła się maleńka i. cisnąc się do drzewa, zaparła oddech.

Po jego odejściu przeczekała tak jeszcze chwilę, wreszcie wstała, widziała zdaleka niknącą jego postać, na twarz jej wystąpiły jakies i zachwyty i radość; słała mu zdaleka ręką pocałunki, szepejąc z cicha, bezwiednie:

— Dobry, kochany Władysław, dziękuję ci, mój drogi.

Wreszcie wyszła i ona, zapomniawszy się zbliżyć do grobu.

III.

Minęło jeszcze dwa dni, Władysław się wciąż zamykał w ciemnym pokoju, paląc świecę dzień cały. Wiedziano już we dworze, że się późnym wieczorem lub nocą wymyka na cmentarz. Unikał jednak widocznie dziennego światła. Ta noc w pokoju zapewne mu łatwiejszem czyniła przeżycie dnia.—Służący utrzymywał, że się nie rozbierał nigdy, czasem zmieniał bieliznę, ale podpatrzył go w tem, że raz śpi na otomanie, to znowu w fotelu, to głowę oparłszy o stół,—to siedząc na ziemi ręką podparty o otomanę.

Wandzia nazajutrz po tem spotkaniu z nim na cmentarzu poszła rano na Helci grób.—Przypomniała sobie, że wczoraj nie uklękła nawet przy grobie, chociaż coś ją gnało tak silnie.

Zapomniała,—a dziś sobie srogie wymówki robiła za to zapomnienie. Nie zdawała sobie sprawy dla-

czego tak podążała za Władysławem do domu, ale była z siebie nierada.

— Pójdę, przeproszę ją, to moje biedactwo! mówiła do siebie.

Ale gdy przysła nad grób, już nie znalazła w sobie wczorajszego podniesienia ducha. — Stała smutna, zbiedzona, ale łza już wystąpić nie chciała, — spazmatyczne łkania nie podnosiły jej piersi.

— Co mi jest? pytała siebie—co mi się stało? przecież wczoraj jeszcze tak tej biednej Helci żałowałam strasznie, — a dziś mnie znowu jakaś ogarnęła martwota.

— Czym ja taka egoistka niegodna? — czyżem Helci nie kochała prawdziwie?

Potem modliła się długo, wywoływała w sobie smutne myśli, roztkliwiała sobie serce całym szeregiem wspomnień o Helci, — ale ledwie jakaś jedna samotna łezka wymknęła się z oka i przebiegła po różowem licu.

Wstała wreszcie i szła do domu nierada. Coś jej duszy dolegało.

Gdy stanęła na ganku, zatrzymała się chwilę, by wytrzeć bučki o słomiany krążek.

Wzrok jej padł na szczelnie zasłonięte portyerami okna gabinetu Władysława — czuła za tą ścianą tę piękną postać męską zlamaną bólem, powaloną o ziemię i wtedy dopiero zaczęło jej coś w okolicy serca świdrować, ścisnąć za gardło, łzy się zaczęły cisnąć do oczu.

— Biedny! biedny Władysław! wyszeptała do siebie, a wnet za tem zjawiła się jej myśl:

— Bardzo naturalnie, że na wspomnienie o Helci

zał mniejszy mnie zbiera; ona już nie cierpi, a on...

I usunęło się z jej serca to coś, co tak dolegało.

— Cóż to? mama się pakuje? zapytała Wanda, zastawszy matkę przy kufrach.

— A naturalnie, moje dziecko, odrzekła pani Starowska, koniecznie musimy jutro o 6-ej rano wyjechać, — toż przecie do Kosiłowa dobrych dziewięć mil, trzeba jechać za dnia po tych fatalnych drogach.

Wandzi zrobiło się markotno, jednak czuła sama, że oponować nie może.

— A cóż mama myśli zrobić z Władysławem? czy mama zechce z nim się zobaczyć? — pytała.

— No nie wiem, odrzekła pani Starowska, trzeba będzie, żeby Michał, niosąc mu obiad, powiedział, że jutro wyjeżdżamy i że chciałybyśmy go pożegnać.

Wandzia siedziała zamyślona czas jakiś, — wreszcie zawołała:

— Mamo! a żebyśmy wzięły Bolcia ze sobą?

— Bolcia... hm... odrzekła pani Starowska, krzywiąc się, — bo wogóle mało lubiła czemś się krępować dla innych.

Ale Wandzia nagle uchwyciła się tej myśli z całą gwałtownością. — Rzuciła się matce na szyję: błagała ją usilnie.

— Mamo! koniecznie! koniecznie zabierzmy Bolcia, on taki grzeczny, on ci nic zawadzać nie będzie, zresztą ja się nim zaopiekuję, mama ani go będzie widziała, zobaczy mama.

I odbiegła od matki, szukając Bolcia, który gdzieś z poważną swoją minką z cegiełek dom układał.

Wanda była niezmiernie podniecona tym projektem; zaraz pobiegła by przygotować garderobę Bol-

cia;—czekała z niecierpliwością obiadowej chwili, by wreszcie służący Władysławowi oznajmił, że one jadą i chcą się widzieć z nim i o coś prosić.

Rzekłbyś, że ją trawi gorączka; na miejscu usiedzieć nie mogła: to składała rzeczy, — to biegła do Bolcia, to wychodziła na ganek, by świeżem powietrzem odetchnąć.

Przy obiedzie mało jadła, często spoglądała na zegarek, każdy ruch w stronie gabinetu Władysława zwracał jej wzrok; nie wiedziała, czy Władysław sam wyjdzie i czy będzie je prosił do siebie.

Wreszcie służący wrócił z prawie nietkniętym obiadem, rzekł:

— Jaśnie pan prosi.

Nietylko zerwała się Wanda, ale i pani Starowska wstała prędzej niż zwykle.

Wandzi serce biło jak młotem, sunęła za matką, otwierając szeroko swe pełne, różowe usteczka, bo rzeczywiście brakło jej oddechu.

W gabinecie, w dwóch lichtarzach postawionych jeden tu, drugi tam, paliły się świece; z fotelu podniósł się Władysław.

Na jego widok chciała krzyknąć Wanda. Był to zupełnie inny człowiek.—Przez te dni dziesięć zamknięcia odrosła mu broda.—Schudł niepomierne, włosy czarne, dawniej wygładzone starannie, miał teraz rozrzucone, oczy świeciły zawsze, ale tak ponuro, podczas gdy zwykle śmiać się zdawały i pieścić.

Pani Starowska zbliżyła się ku niemu, wyciągając rękę, — Wanda cofnęła się o krok.

— Przepraszam cię, Władysławie, mówiła dość

czułym głosem pani Starowska, — ale musimy jutro rano koniecznie wyjechać, chciałyśmy cię pożegnać.

Władysław nie rzekł nic, tylko, schylając się, pocałował rękę ciotki.

Wówczas Wanda podbiegła do niego, uchwyciła za rękę i, wlepiwszy weń błagalny wzrok, zaczęła mówić:

— Chciałyśmy cię pożegnać i prosić! Prosię o wielką, wielką łaskę...

Taki pokorny był jej głos, że coś naksztalt uśmiechu rozjaśniło na chwilę rysy Władysława.

— Cóż takiego? zapytał cichym głosem.

— Mój Władysławie, błagam cię na wszystko, błagam na kolanach, — pozwól nam wziąć Bółcia choć na parę tygodni.

Władysław spojrział na nią rozczulonym wzrokiem, a potem wziął za obie ręce, utkwił w jej niebieskich wciąż błagalnych oczach swoje smutne czarne oczy i rzekł:

— Dziękuję Ci, moja Wandziu, dobre z ciebie dziecko, — zastąp mu tymczasem i matkę i ojca, który do niczego niezdolny.

Wandzi wnet się rozluźniły naprężone nerwy; niepokój znikł a ogarnęło ją uczucie błogości, spuściła oczy, — Władysław zaś, po chwili, — lekko ku sobie przyciągnął ją za ręce i pocałował w głowę.

Wandę ten pocałunek spokojny, przyjacielski przeszył na wskroś. — Ani drgnęła, tylko coś ją ścisnęło w piersiach, omal że nie krzyknęła na głos.

Przelekła się Wandzia i cofnęła swoje rączki z rąk Władysława.

I wyszły obie z gabinetu, Wanda, drżąc jak liść, pobięła do pokoju, w którym umarła Helcia, i upadłszy

na kolana przed jej łóżkiem, zalewała się łzami, cisnęła sobie skronie i mówiła prawie głośno, — łkając wciąż:
— Helciu, jaka ja podła! Przepraszam cię, Helciu!... jam podła... nikczemna...

IV.

Gdy nazajutrz o 6-tej rano zajechał powóz przed ganek, Władysław po raz pierwszy odsunął firankę i patrzył.

Ranek jesienny był piękny i świeży, przetarły się chmury, — widać było gdzieś błękitu pasma, trochę mgły zakrywało horyzont, przed oczami wdowca roztaczał się w pełni widok Jędrzejowskich płasko-wzgórz, — te pola obszerne, naprzemian czarne, bo już poorane, naprzemian żółte od bogatej ścierni. Kiedy wszyscy wyszli na ganek, Hojski otworzył okno.

Trochę życia weszło wraz ze świeżem powietrzem do jego płuc. — Pani Starowska siedziała już, z karety zrobiła mu ręką znak na pożegnanie, Wandzia podbiegła, by mu dłonie uściśnąć raz jeszcze.

— Dziękuję wam! rzucił za odjeżdżającymi Władysław.

Ale gdy powóz znalazł się za bramą, prędko zamknął okno i zasunął firankę.

Chodził po pokoju, ramiona do góry podnosząc, jak gdyby chciał je wyprostować po długim skrępowaniu, i szepnął do siebie:

— Sam, nareszcie sam!

A Wanda, gdy byli za bramą, chwyciła Bolcia w objęcia, otoczyła ramieniem jego ciemną główkę i ciche łzy polały się jej po twarzy.

V.

W zupełnej ciszy minęło w Stawianach nowych dni dziesięć.

Samotność z początku kojąco oddziaływała na smutek Władysława; — zaczął się rozczulać, — zaczęły mu mięknąć rysy, łzy częściej się zjawiały na jego twarzy i były mniej gorzkie. — Uspokajał się powoli, tylko gdy spróbował wyjść ze swego gabinetu do innych pokoi, gdy spostrzegł w nich tę straszną pustkę, gdy mu się odświeżyły niedawne wspomnienia tej ciepłej atmosfery, którą wszędzie dokoło siebie roztaczała Helcia, — zacisnął znów pięści.

Gdy zaś otworzył drzwi od sypialni żony, stanął jak wryty.

W pokoju tym żadnego nie zostało śladu strasznych scen, które się tam odegrały niedawno.

Wszystko jakaś służalcza ręka przywiodła do poprzedniego porządku. — Łóżko stało na zwykłym miejscu, posłane starannie, pociągnięte kapą; u wezłowia, jak zwykle, bieleły się poduszki o bogatym hafcie i z białym, dużym monogramem Helci. Wszędzie panował porządek wzorowy, tylko nieco kurzu się rozesało na błyszczących politurowanych stołach.

Było wszystko tak naturalne jak zwykle, nic nie świadczyło o ponurym dramacie, a jednak z tych wszystkich znanych Hojskiemu przedmiotów wiała jakaś straszliwa pustka.

Uchwycił się ręką za czoło, lzy zaciągnęły mu wzrok, a gdy rzesami poruszał, chcąc widzieć, zdało mu się nagle, że wszystkie te znane mu przedmioty poczęły się ruszać, skakać, wykręcać, jak jakaś czereda spłoszonych gadów, że każdy ten przedmiot woła do niego z sarkazmem:

Niemal!.. niema!.. niema!..

Krew mu tak silnie dopłynęła do mózgu, że na chwilę myślał, iż to jakieś potworne żaby poruszają się dokoła. Wytrzeszczył oczy jak waryat, jakiś lęk nim owładnął; cofnął się pośpiesznie i drzwi zatrzasnął.

Po chwili wrócił do swojej ciemnicy.

Podniósł się w jego sercu straszny bunt przeciwko zrządzeniom losów. Rozpacz tak mu szarpała serce, że miotał się jak wściekły po swoim pokoju, rwał włosy, głową uderzał o mur, wreszcie chwycił za rewolwer, obejrzał go, lecz znalazł nie nabitym;— przypomniał sobie jak z jakiegoś kobiecego lęku przed bronią, Helcia mu nieraz wyjmowała naboje z rewolweru, bojąc się, że leży nabity, tak w szufladce niezamkniętej przy łóżku.

Przypomniał sobie, z jaką ostrożnością Helcia szpilką od włosów, drząc cała i niezgrabnie trzymając broń, wyrzucała jeden nabój po drugim.

Przypomniał sobie jakim błagalnym głosem prosiła go, by broni nabitej nie trzymał przy sobie, „bo przecie tak łatwo o wypadek“.

On wówczas się uśmiechał, widząc jej dziecinną obawę, i perswadował:

— Ależ, Helciu—pocóż rewolwer, jeżeli ma leżeć nie nabity? — W razie potrzeby szukać nabojów?

— Ale gdzie potrzeba?! Jaka potrzeba! powtórzyła Helcia. — Nie jesteście w Afryce, rozbójnicy nam nie grożą, jest przecie nocny stróż.

Zawsze Władysław dał za wygraną. — Obejmował ją w pół, całował te oczy duże, spokojne, całował czoło jasne i czyste.

Gdy w drogę wyjeżdżał, nabijał rewolwer; gdy wracał, rzucał go do szufladki jak zwykle, a niebawem się powtarzała ta sama z nabojami scena.

Przypomniawszy sobie te chwile, nie nabił broni, lecz trzymając w jednej ręce rewolwer a w drugiej świecę, podszedł do portretu Helci i pożerał go oczami.

Ale czy światło na portret padało inaczej niż zwykle, — czy mu wyobraźnia pomieszała wzrok, — dość że mu się zdało w tej chwili, że Helcia patrzy z portretu na niego jakimś przerażeniem spojrzaniem, że jej twarz zbladła jakgdyby pod wpływem strachu.

I zmięкло coś w jego sercu, usta i oczy Helci na portrecie wysunęły mu obraz Bolcia, przypominającego tak silnie matkę.

Rzucił broń, padł na kolana i pierwszy raz w tej samotności zupełnej dały się słyszeć jego męskie łkania, pierwszy raz obfite niepowstrzymane łzy polały mu się z oczu.

Potem trwał długi stan duchowej prostracyi; głową wsparty o brzeg otomany, klęcząc przed portretem, który już zanurzył się w ciemności, przychodził powoli do chwilowej równowagi nerwów.

Gdy powstał ze swej klęczącej pozycyi—usiadł w głębokim skórzanym fotelu i zaczął ze sobą prowadzić dyskusyę:

— Po co mam żyć, kiedy bez niej nie mogę żyć.

— A cóż ci pomoże, jak sobie życie odbierzesz—pytał go jakiś wewnętrzny głos.

— Pójdę do niej;—odpowiadał sam sobie.

— Dokąd pójdziesz? Czy wiesz co jest życie przyszłe? Jedyne pojęcie, które mieć możesz o życiu przyszłym, jest to, które nam daje chrześcijańska wiara. Ale jeżeli zasady tej wiary trafiają ci do przekonania, to pocóż odrzucasz inne. Wiara ta mówi o niebie i piekle, wiara ta targać się na własne życie zabrania, wiara ta cierpliwości uczy.

Czy lepiej ciby było, gdybyś sobie życie odebrał i na tamtym świecie za karę widział wciąż Helcię zdaleka i nie mógł do niej przystąpić. I poganie rozumieli co to męki Tantala.

Ale ból w sercu Władysława był tak silny, tęsknota tak wielka, że się zerwał z fotela i wołał głośno:

— Ach! bylebym ją widział, bylebym mógł zajrzeć zdaleka, z głębi jakiejś toni w te drogie, jasne niebieskie oczy.

Lecz wewnętrzny głos stał się bardziej suchy, ostry i drwiący.

— Głupcze! Waryacie! co ty wiesz? A możebyś jej nigdy nawet nie zobaczył?

Siedział bezmyślnie przez chwilę, a potem zaczął szeptać do siebie:

— Tak więc trzeba żyć! koniecznie trzeba żyć!.. ale jak tu żyć?..

A znowu ten głos wewnętrzny, będący wyrazem jego dawnej dziarskiej natury, jął mu odpowiadać:

— Jak żyć? dzielnie! z odwagą! po męsku! Działaj! czyn! pracuj! bądź człowiekiem! nie pytaj... nie badaj, żyj!...

Blady, sceptyczny uśmiech skrzywił mu usta, walka na dziś była skończona.

VI.

W Kosiłowie Wanda cała się oddała dziecku Władysława. Nigdzie kroku bez niego nie stąpi, budzi się rano, sama malca ubiera i czesze, a nieraz gdy widzi, że chłopiec już gotów i ładnie wygląda, kłęcząc przy nim, zarzuca mu ręce na szyję, na małym ramieniu wspiera swoją jasną główkę i puszcza łzom wodze.

Bolcio stoi nieruchomy, poważny, jakby rozumiał ją, czasem gdy za długo trwają te łzy, drobną rączką pogładzi te włosy promienne, złoży jej pocałunek na czole.

Brat Benedykt drwi jednak nieraz z tego jej przywiązania.

— Cóż to za namiętność, Wandziu, dla takiego smarkacza? To nawet śmieszne, wierzaj mi. Lepiej-byś myślała jak biednego Łomskiego cśmielić, by się wreszcie oświadczył.

— Daj mi z nim pokój — ofuknęła go Wandzia

—wiesz, że go nie chcę, więc pocóż się ma oświadczać?

— Dlaczego miałabyś go nie chcieć?—oponował Benio.—Malwice śliczny majątek, kocha cię na zabój, byłabyś z nim napewno szczęśliwa, tylko w oczyby ci patrzył przez całe życie, by spełnić każdy twój rozkaz.

— Już dobrze! dobrze! tyle razy mi to samo mówiłeś.

— A no, bo mam rację i zawsze będę twierdzić, że głupstwo zrobisz, jeśli nie wyjdiesz za niego. Cóż bo masz?! Jakieś marne 20,000 najwyżej, których ja ci spłaciłbym nawet nie mógł inaczej, jak sam wzięwszy posag. Może myślisz jak mama, że...

— Daj mi pokój, nic nie myślę, ale Łomskiego nie chcę.

W kilka dni po tej rozmowie zajechał Łomski wózkiem porządnym, żółto malowanym w czerwone pasy na kołach.

Był to mężczyzna lat 32, o twarzy raczej nieznaczającej, niż brzydkiej, bardzo nieśmiały. Skończył gdzieś studia agronomiczne, gospodarował dobrze, ale z niczem z dziedziny swego gospodarstwa nigdy się nie popisywał, nie zwracano więc i na to gospodarstwo uwagi.

Za ostatnią bytnością swą w Kosiłowie, gdy trochę tańczono i gdy się Łomski gorąco kręcił koło Wandzi, zauważył to Władysław.

— Cóż, Wandziu? — mówił żartobliwie — masz konkurenta jak widzę?

— A może—odrzekła niedbale Wandzia—niech Bóg ma go w swojej opiece.

— Dlaczego? nie chciałabyś go?

Wandzia dała znak główką, że nie.

— Dobry chłopak—nastawał Władysław.

— Być może—odparła Wandzia, bo gdy go widzę, zaraz przychodzą mi na myśl słowa Ewangelii „Błogosławieni cisi i pokornego serca“.

— A panna dobrodziejka jak widzę — rzekł wówczas Władysław, pobłyskując oczami—woli gwałtownika niż takiego co go Bóg i ludzie błogosławią.

Wandzia pobiegła gdzieś dalej, nie dawszy odpowiedzi.

Teraz, gdy Łomski zajeżdżał, przypomniała jej się ta rozmowa, prowadzona przed sześciu miesiącami, gdy jeszcze żyła Helcia i gdy nic nie zwiastowało tego nagłego nieszczęścia. Łomski wydał jej się specjalnie niesmacznym dnia tego. Bała się, czy się nie wybrał z oświadczynami właśnie.

— Bo tacy—mówiła do siebie—zawsze wybiorą chwilę najbardziej niestosowną. Takie to już ich szczęście.

Ale Łomski, pomimo jasnego, jedwabnego krawata, pomimo surduta czarnego i paliowych rękawiczek, nie miał zamiaru oświadczać się dnia tego. Oznajmił to na wstępie, opowiadając pani Starowskiej cel swojej wizyty.

— Przyjechałem do Kosiłowa, by złożyć paniom kondolencję w tem nieszczęściu, które dotknęło rodzinę.

Pani Starowska, na znak podziękowania, pobrażliwie kiwnęła głową, a Wanda z rozdrażnieniem zacisnęła usta i różowym noskiem zrobiła ruch nieukontentowania.

— Kondolencję!—mówiła sama do siebie — wybrał się właśnie z tym wyszukany wyrazem. Jak

ja doskonale Władysława rozumiem, że go drażnią te banalności. Człowiek z bólu kona, a tu mu składają kondolencję.

Łomski spostrzegł odrazu, że się coś w jego słowach nie podobało Wandzi; ale nie wiedział co. Bał się znowu palnąć jakie głupstwo i narazić się na gniew Wandzi. Ścisnął jedną ręką drugą, palce wyłamywał sobie dyskretnie.

Wybawiła go z kłopotu pani Starowska, zadając banalne pytanie:

— A pan co porabiał w tych czasach?

Łomski aż się nachylił, by prędzej z siebie wyrzucić odpowiedź na tak łatwe pytanie i z pośpiechem ją streszczać wszystkie swe nieskomplikowane czynności ostatnich kilku tygodni. Bał jednak był aż w Kielcach w tych czasach; miał w komisji włościańskiej sprawę, którą wygrał ostatecznie. Oglądał też w nowo-otworzonym składzie różne narzędzia rolnicze, które mu się podobały bardzo. Cena warszawska, co prawda, ale zawsze transport taniej kosztuje z Kielec.

Nadchodzący Benedykt dopomógł Łomskiemu w prowadzeniu dalszej rozmowy, tyczącej się gospodarstwa przeważnie. Panie zaś były rade, że mogą milczeć i nie potrzebują sobie głów łamać, zadając pytania w przedmiocie, który był im prawie obcym.

Panią Starowską w gospodarstwie interesowały tylko ceny pszenicy, żyta, rzepaku. Wandzię obchodziły tylko źrebięta i konie.

Po herbacie odjechał Łomski, a Benedykt zwrócił się zaraz do matki i siostry z tem zdaniem:

— Nie pojmuje doprawdy, dlaczegooby się ten Łomski poczciwy miał nie podobać Wandzi. Śliczny

folwark, 22 włóki najpyszniejszej ziemi, gospodarstwo prowadzone znakomicie, jak tutaj rzadko kto prowadzi; żadne obowiązki nie ciężą na nim, długów nie ma. Towarzystwo spłaci już za lat cztery. Czegoż chcieć więcej? Miałaby z nim wszystko to, czego by mogła zażądać.

— Hm! — kręciła nosem pani Starowska — w gruncie rzeczy tylko nikt nie wie kto to jest Łomski? Jakieś nieznane nazwisko!

— Jakto nikt nie wie?—oburzył się Benedykt. —Wszakże już jego ojciec przeniósł się z Litwy i wszyscy go tu znali i szanowali. Łomscy na Litwie taka sama dobra rodzina jak tu Starowscy, a zresztą do dyabła cóż to ma za znaczenie! Cóż dziś znaczy nazwisko?!

Pani Starowska знаła demokratyczne idee syna, zdobyte na uniwersytecie warszawskim, nie chciała więc z nim zaczynać sporu w tej materii. Zresztą wiedziała, że przy szorach, które kupił niedawno w Krakowie, kazał na okularach umieścić herby Starowskich.

— Widzisz, mój drogi — odparła—nie wiem czy się on może Wandzi podobać?... Wandzia ze swoją naturą, ze swemi wyobrażeniami kochać go nie potrafi.

— Kochać? — zapytał uśmiechnięty szydersko Benedykt—kochać nie potrafi? A to tem lepiej!

— Pleciesz!—odrzekła Wanda, mieszając się do rozmowy.

Nerwowy Benedykt aż się zerwał.

— Jesteś głupia!—zawołał. — Alboż to miłość jest do szczęścia potrzebna? Z głupiej teorii czy z praktyki życiowej wiesz o tem?

A gdy obie panie milczały, ciągnął dalej Benedykt z równym zapalem:

— Miłość! ha! miłość! podstawa ludzkiego nieszczęścia! podstawa jego niższości, upadku. To osły tylko myślą, że miłość daje szczęście. Twierdzą tak tylko ci, co nie zaznali miłości. Miłość to najstraszniejsze męki, miłość to źródło wszystkiego złego, co nas w życiu spotyka. Bez miłości człowiek może żyć jako tako na świecie; gdy ta podła gadzina wlezie mu do serca, już całe szczęście skończone.

Chodził czas jakiś milcząc, a pani Starowska skorzystała z tego milczenia, by się z pokoju cichaczem wysunąć, ponieważ nie lubiła żadnych filozoficznych dyskusyi.

Wanda też, znając upodobanie brata do paradoksów i wynurzeń pełnych goryczy, jak mogła najszybciej zwróciła rozmowę na inne tory.

VII.

Minęło dni kilka w Kosiłowie bez żadnych wrażeń. Wanda coraz bardziej bywała zamyślona i w sobie zamknięta. Bolcia brała ze sobą w oddalone kąty ogrodu lub na dalsze spacery, żeby ich nie widziano, żeby Benedykt nie mógł drwić z jej egzaltacyi.

— Ja nie kocham go! Ja się lituję tylko! wma-
wiała w siebie.

Jednak często szeptała do siebie wyjątek z wiersza Musseta do Niny:

Kocham, lecz obojętne przybieram spojrzenie
Kocham, lecz sam wiem o tem, — kryję to przed
| światem

Drogą mi tajemnica, drogiem to milczenie,
Beznadziejnej miłości na radość nie zmienię,
Bylem cię mógł widywać i przestanę na tem.

Powtarzała sobie ten wiersz po razy kilka dziennie, lubując się swym bólem.

I ból serca nieraz rozkosz sprawia, rozkosz fizyczną jakiegoś omdlewania, jakiejs bezbrzeżnej tęsknoty, która robi wrażenie, że się człowiek gdzieś rozplywa w przestworzach, jak smętny dźwięk płynącej pieśni.

Pani Starowska przesiadywała najczęściej w swojej sypialni zajęta modlitwami, których odmawiała codziennie ogromną ilość. Skończywszy modlitwy, brała się do rozmyślań pobożnych podług Tomasza à Kempis lub innego świętego.

Benedykt zaś zwykle niby gospodarował, choć czynił to z niechęcią. Więcej czasu trawił na czytaniu francuskich powieści i na studyowaniu psychologii. Gospodarstwo wprawiało go w zły humor, służba folwarczna była mu wstrętną, nie widział w niej ludzi, lecz bydłęta tylko, jak mawiał najczęściej.

A chociaż nieraz zjawiała mu się refleksya, że ci ludzie są ostatecznie ludźmi i że wartoby było spróbować z nimi po ludzku rozmawiać i obchodzić się po ludzku, jednak gdy się z nimi stykał, jakiś wstręt natury brał w nim górę, wydawał rozkazy ostre, su-

che, nieraz gdy coś zrobiono źle, lub nie podług jego myśli, groził kijem, zęby zaciskał, oczy jego zdawały się rzucać pioruny pogardy i gniewu, twarz cała mu się wykrzywiała jakimś szatańskim grymasem.

Potem, co prawda, żałował nieraz przed sobą samym tej gwałtowności, tych uczuć nienawiści, które nim miotały. Umysł pod wpływem ducha wieku miał humanitarny, temperament jednak całych generacyi możnowładnej kasty brał wciąż górę.

Nieraz w tych zapalach mitygowała go Wanda, robiąc mu gorzkie wymówki.

Wówczas się Benedykt roztkliwiał, przyznawał jej rację, po głowie zaczynały mu chodzić jakieś projekty i plany szerokiej organizacyi stosunków chlebobdawcy do robotnika; chciałby coś zrobić dla ludu, zaprowadzić dla służby jakiś udział w zyskach, marzył o wybudowaniu zdrowych, porządných mieszkań, o założeniu przy każdym mieszkaniu ogródka; ale gdy spostrzegł nazajutrz, że fornał się schował w jamę i śpi zamiast orać, gdy dojrzał, że jakiś chłopiec z przyległej wsi cichaczem koniczynę wypasa, zapominał o wszystkim, oczy nabiegały mu krwią, gniew chwycił za gardło; żeby mógł, toby zmiażdżył winowajcę, udusiłby go w ręku.

Ciągła ta wewnętrzna rozterka coraz bardziej kwasiała jego charakter, zwłaszcza, że siebie rozumiał i dlatego właśnie był coraz częściej nierad i z siebie i z ludzi. Gospodarstwo szło mu też opornie, bo nieraz i w mrzonki się bawił, zawsze się więcej od tej ziemi spodziewał, niż mogła dać, kłął więc i ziemię i gospodarstwo, wciąż żywił pretensye to do ekonomy, to do innej służby, że to oni właśnie są przyczyną ja-

kiegoś niepowodzenia, dzięki ich niedbałości a może złodziejstwu.

Benedykt był to rodzaj filozofa, który uważał się jako „glebae adscriptus“, ze wsi lubił tylko olszowe gaje w braku oliwnych i ciszę natury zdala od zgiełku świata. Gdy się zmęczył czytaniem, siadał, ręce zakładając w tył głowy, i myślał i kombinował. Nieraz czuł potrzebę porozmawiać z Wandzią i jej swoje spostrzeżenia nad życiem komunikować.

Raz gdy tak Wandzia się schroniła z Bolciem w cienistej altanie i czytała mu jakąś książeczkę, nadszedł Benedykt niespodziewanie i stanął przy wejściu.

Po jego sarkastycznym uśmiechu poznała Wandzia, że znowu ma zamiar drwić z jej opieki nad dzieckiem. Zaczerwieniła się, zerwała się z ławki, prędko wyprawiła Bolcia, by szedł się bawić ze swoim konikiem nieopodal w ogrodzie, sama zaś szybko się zbliżyła do Benedykta, jak gdyby była gotowa na jego usługi, jak gdyby chciała tą uległością zatrzymać na jego ustach słowa, które ją bolały.

Benedykt popatrzał na nią uważnie, jakaś myśl inna widocznie snuła mu się po głowie, bo zaczął się uśmiechać z pewnem zadowoleniem.

— Hm! wreszcie! pierwszy raz!—rzekł do siebie.

— Co pierwszy raz? Co wreszcie? pytała z niepokojem Wandzia.

— Ej! nic!—odrzekł Benedykt, machnąwszy ręką. To, co powiedziałem, tyczy się pewnych teorii życiowych, które mi wciąż snują się po głowie.

— Jakich teorii?—zawołała Wanda uradowana, że jego myśli poszły gdzieś w stronę.

— Nie zrozumiałabyś! odrzekł obojętnie Bene-

dykt, zresztą i ja sam nie rozumiem jeszcze. To są więcej przypuszczenia, niż teorye. Potrzebuję jeszcze zbierać coś w rodzaju statystycznych danych; robię więc wciąż obserwacye.

— Cóż to? na mnie je robisz? — zawołała znowu niespokojna Wanda, bojąc się czy nie bada jej duszy i nie jest bliski odkrycia jej tajemnicy.

— Nie, bynajmniej! nie na tobie specjalnie, ale wogóle na ludziach—odparł Benedykt.

Wandzia odetchnęła, a tak była rada, że tu nie idzie specjalnie o nią i o jej uczucia, że, chwyciwszy robótkę, z wesołą minką siadając na ławce, rzekła do niego:

— Powiedz mi, Beniu, co ci chodzi po głowie. Wiesz, że umiem cię słuchać, wygadanie się może właśnie rozjaśni twe myśli.

— Hm! dobrze! — odrzekł Benedykt, zapalając papierosa. Sprobuję, nie wiem czy zrozumiesz, dotyczy się to wogóle stosunku ludzi do ludzi; zdaje się, że odkryłem siłę, która tym stosunkiem rządzi.

— A to ciekawe? rzekła Wandzia, zatapiając swój wzrok w te nieszczęsne ściegi robótki, które zawsze kobieta musi rachować, gdy się z nią prowadzi rozmowę.

— Cóż to za siła? dodała, pytając.

— Widzisz, zaczął Benedykt, jestem zdania, że w każdym człowieku jest jakaś magnetyczna siła, która się objawia w jego stosunku do innych.

— Siła magnetyczna? pytała Wandzia—to chcesz mówić o tej sugestyi, o której teraz tyle mówią i piszą.

— Tak, o sugestyi, odrzekł Benedykt, jest to mojem zdaniem część magnetycznej siły człowieka.

Kto wie, może za sto lat lub dwieście ludzie tę siłę zbadają dokładnie, może potrafią nią kierować jak każdą inną. Otóż tymczasem myślę, że większa część czynów człowieka w stosunku do innych ludzi opiera się na tej sile.

— Z początku, ciągnął, magnetyczna siła przejawiać się zaczęła tylko w zdolności usypiania ludzi. Przed laty dwudziestu zaczęto mówić o nadzwyczajnych wypadkach sugestyi,—o takich zdarzeniach, że ludzie niewinni zabijali kogoś bez żadnej przyczyny, pod wpływem sugestyi innych. Zaczęto pomiędzy ludźmi wynajdywać osobniki dla sugestyi szczególnie podatne i nadano im nazwę „medium“.

— Mojem zdaniem, mówił dalej Benedykt, ścigając brwi jakgdyby myśli zbierał, ta sugestya, te magnetyczne prądy są w każdym człowieku. Każdy stosunek człowieka do człowieka dałby się pewną dozą tej siły określić. Naprzykład ty mogłabyś mieć wpływ magnetyczny przeważający nad mamą, ja nad tobą, mama znowu nademną.

— Jakież to wpływy? pytała Wandzia.

— Wpływ ten nazwałbym „przewagą woli“. Jak się to staje? jakie są warunki tej przewagi woli? nie wiem! Może się tak zdarzać, że wola jedna jest prawie równa woli drugiej, raz jedna, raz druga zwycięży, zależy to wówczas od siły napięcia. Są jednak osobniki zawsze, bezwarunkowo jakiejś woli podległe. Nic działać samoistnie nie mogą, gdy ta inna wola nad nimi ciąży. Każdy najmniejszy stosunek człowieka do człowieka wywołuje tę magnetyczną grę.

— Jakże przyszedłeś do takich wniosków? zapytała Wandzia.

— Głównie z tego powodu, cdrzekł Starowski, że sam w sobie żadnej siły magnetycznej mej woli nie czuję. Zdaję sobie doskonale sprawę z tego braku siły. Weź za przykład pierwszy całą naszą służbę. Żaden mój rozkaz nie jest spełniany tak, jak być powinien. Jestem ostry, przykry, sam to przyznaję, nie poufałem się nigdy, nie pozwalam na żadne dyskusye, rozkazuję sucho. A jednak? Zobacz nieraz, oto każdy ze służby zawsze na mój rozkaz znajdzie jakieś „ale“, probuje oponować. Najczęściej rozkazu nie spełni, albo spełni częściowo, gdzieś nawet na dnie tej chłopskiej, głupiej duszy zjawia się chęć krytyki. Sam zaś głupi przecie nie jestem, mam wykształcenie, mam wyższe stanowisko w świecie niż na przykład Łomski. A jednak zobacz Łomskiego! Ile razy widziałem: kiedy ten biedny chłopiec, co się poci przy tobie jak w łaźni parowej, co z nieśmiałości ręce wykręca sobie, że tylko się dziwię, iż mu się palce jeszcze trzymają rąk, kiedy on wyda rozkaz to leci jeden przed drugim na złamanie karku. Każe zorać fornalom po mordze, to mu zorzą półtorej, mnie zaś zorzą trzy czwarte i zawsze znajdują wymówkę.

— Może to ztąd pochodzi, zauważyła Wanda, że ty, mój Beniu, traktujesz ludzi jak gdyby to były zwierzęta. Może ztąd pochodzi ich niechęć?

— Myślałem, myślałem nieraz i to! Zacząłem siebie pilnować, uważałem na innych, jeździłem po sąsiadach umyślnie, by pod pretekstem zbadania stanu gospodarstwa robić poprostu obserwacye filozoficzne. Otóż niejeden łaje tak samo jak ja i słuchają go, drugi nawet pięścią wali po łbie bez żadnej przyczyny, słuchają go także. Ba! nietylko słuchają, ale lubią nawet. „Bije, więc kocha i dba“ mówią nieraz. Ja spró-

bowałem trzy razy użyć pięści, natychmiast mnie opuścili i jeszcze grozili sądem.

— To dziwne! odrzekła zamysłona Wandzia.

— Ot!—widzisz!—ciągnął Benedykt, zapalając znów papierosa—mnóstwo rzeczy takich się dzieje, które nie wiemy dlaczego się stały, wbrew logice. Mojem zdaniem, poprostu, gdzieś, jakaś, czyjaś magnetyczna wola, magnetyczny wpływ opanował inne, nie zdające sobie sprawy umysły.—Dalej tak samo, przerzucam się do historyi.—Co to jest geniusz? Oto poprostu jakaś bajecznie wielka siła magnetyczna.—Weź Napoleona! to był znakomity strategik, był człowiek bardzo rozumny, ambitny — ależ przecie nieraz dokazywał cudów poprostu. — Władał on umysłami tak, że na jego rozkaz jeden się na dziesięciu rzucał, no i zwyciężał! Tamtych dziesięciu tak miało umysły przerażone, że przed jednym zapalonym Francuzem pierzchali. Siła ta wyczerpała się wreszcie, bo wszystko przechodzi. Może ta jego siła uległa przemocy jakichś zbiorowych sił magnetycznych.

— Weź Bismarcka!—Była to niezłomna wola; wystarczało mu chcieć i raz zgrzytnąć a cały parlament padał mu do nóg.—Spójrz jak Bismarck Niemcy całe przerobił. Ten dawniej spokojny naród, rozważny, mądry i sprawiedliwy, zrobił się dzisiaj niemal dziką hordą. Wszyscy ich nienawidzą, zacząwszy od Europy, skończywszy na plemionach afrykańskich. Ten przewrót w całym narodzie bezwarunkowo wywołał Bismarck. Napoleonowi nie sprzeciwiał się nikt. Ani mężczyźni, ani nawet kobiety.—Kto wie!—może i ten romans Maryi Ludwiki z Neippergiem był początkiem tego, iż wielki człowiek równowagę stracił. Zadała mu truciznę kobieta!—słaba lecz podstępna

kobieta! Jak Dalila obcięła Samsonowi włosy! Jak Omphale położyła Herkulesa u swoich nóg.

Wandzia, słuchająca tych filozoficznych hipotez Benedykta pół-uchem, mało ciekawa tej logiki psychicznej, drgnęła na ostatnie słowa swego brata.

— Więc i w miłości także widzisz tę swoją magnetyczną siłę?—pytała brata.

— A naturalnie!—odrzekł żywo Benedykt, miłość podpada tym samym prawom, tylko się one w miłości uwydatniają jeszcze wyraźniej.—Ileż to na świecie kobiet ma, Bóg wie dlaczego, nieprzeparty urok, Iluż mężczyzn wznieca dokoła siebie pożary miłości, bez żadnego wyraźnego powodu.—Nieraz ani piękny, ani rozumny, ani znaczący, a jak muchy padają mu w ramiona kobiety.

— Co to jest?—pyta nieraz człowiek sam siebie i zrozumieć nie może. Oto poprostu jakaś magnetyczna siła, której dotąd nie znamy i nie możemy obliczyć. Są naprzykład kobiety piękne, dobre, mądre, które naturalnie znajdują swych adoratorów. Są jednak takie, których rysy nie będą klasyczne, nawet brzydkie nieraz—a na której widok każdy, wyraźnie każdy mężczyzna dozna wstrząśnienia. Powiedz mi, proszę, co to jest piękność kobiety?—Któż potrafi określić tę piękność? Długi czas myślałem, że piękność kobiety i jej dar podobania się stanowi poprostu świeżość i ładna płeć. Kiedyś w wagonie postrzegłem z boku jakąś śliczną różową twarzyczkę; drgnąłem, przebiegła mi myśl, że zobaczę ładną kobietę, gdy się do mnie choć profilem odwróci. Patrzę! Morskie straszycło! Najsilniej, najgwałtowniej kochałem w życiu

kobietę piegowatą! Masz tobie prawo piękności!—powiedziałem sobie.

— Myślałem długi czas—ciągnął Benedykt, że wielki urok wywiera na mężczyznę piękna całość postaci kobiecej, której, choć nie widzimy, ale czujemy. Oto przekonałem się później, że pewna kobieta prawie ułonna, bo z jednym ramieniem wyższym od drugiego, wywarła na mnie olbrzymi wpływ.—Doznawałem takiego wrażenia, jak gdyby nie ramię było wyższe, lecz jej główka pochylała się w tę stronę.—Zdawało mi się, że widzę pisklę jakiejś niewinnej ptaszyny, która swą główkę zaraz schowa pod skrzydło...

— Ramię wyższe! ramię wyższe! — przerwała mu zamyślona Wandzia, jak gdyby sobie coś przypominała.

— Ależ to była Helcia...—wykrzyknęła wreszcie.

Benedykt się zmieszał, parę białych plam wystąpiło mu na twarz—oczy zaszły jakąś mgłą, odwrócił się, zaczął chodzić po altanie.

— Helcia?—zapytał—a może i Helcia to miała, nie uważałem.

Ale Wanda zerwała się z ławki, pobiegła do brata, położyła na jego ramionach ręce i, patrząc uważnie mu w oczy, rzekła:

— Beniu—nie kłam!—nie wykręcaj się!—to na pewno Helcia! Teraz rozumiem!—Toś ty się kochał w Helci!

— Ale daj mi pokój! — ofuknął ją Benedykt, uwalniając się z rąk siostry. Bóg wie co ci się zdaje, nie uważałem nawet, mówiąc ci o tem, że Helcia też miała jedno ramię wyższe niż drugie. Teraz ja-keś mi powiedziała, przypominałem sobie.

— Beniu! Beniu!—mówiła Wanda z wymówką—

czemu kłamiesz?—czemu nie chcesz mi się zwierzyć?—
Ja odrazu poznałam, jakeś mi powiedział o tem, że
przypominała ci pisklę;—pamiętam sto razy jak się
Władysław też zwracał do niej z czułemi słowy i nie-
raz wchodząc naśladował jej sposób trzymania głowy;
mówił do niej—cóż kurczątko?—może kurczątko zmę-
czone?—może chce iść spać?—może pod skrzydełko
się schowa?—Naturalnie że to była Helcia!—dokoń-
czyła Wanda.

Benedykt nie mówił nic, tylko zsunęły mu się
brwi, nerwowemi krokami chodził po altanie.

— Niech więc będzie Helcia—odrzekł wreszcie
z niecierpliwością—uroiłaś sobie to i upierasz się
przytem, więc myśl sobie, że Helcia; co to mi szko-
dzi?—Pamiętaj zresztą, że czterech lat mieszkał
w Warszawie w ciągu studyów uniwersyteckich
i tysiące kobiet tam znałem, z prostemi i krzywemi
ramionami także.

— Oj nie! — oj nie! — kręciła Wanda główką,
w Warszawie to było co innego, wiem dobrze...

-- Et! — nudzisz mnie! — rzekł w końcu Bene-
dykt coraz bardziej zły i wnet szybkim krokiem od-
dalił się z altany.

VIII.

Chociaż Benedykt tak starannie ukrywał przed
siostrą swoje dawne uczucia dla zmarłej kuzynki—
nie wiedział jednak, że nie stanowią one tajemnicy
dla Władysława.

Nienawidził on Hojskiego z całej duszy tą nienawiścią, którą odczuwają ludzie bez powodzenia, do bliźnich, którym się w życiu wszystko udaje.— Czuł we Władysławie niechęć do siebie, ale przypisywał to innym powodom niż zazdrości mężowskiej.

Nie była to zazdrość właściwie we Władysławie, bo był zupełnie o uczucia żony dla siebie spokojny;—jednak rzadko mężczyzna patrzy wyrozumiałem okiem na innych do jego żony umizgi. Hojski ze swoją gwałtowną naturą tembardziej tego nie tolerował.

Kiedyś podczas bytności Benedykta i Wandy w Stawianach, Hojski pewnego dnia pojechał na folwark, ale wrócił z pół drogi, dowiedziawszy się, jadąc, o rezultacie tych robót, które miał obejrzeć.— Wszedłszy do ogrodu, spostrzegł Helcię, siedzącą w fotelu, jakąś smętną, melancholiczną, a na krześle bokiem do niego zwrócony, siedział nachylony Benedykt i coś do niej mówił—z takim zapalem, z takim uczuciem, że pomimo, iż słów Hojski nie słyszał, po każdym jego ruchu, po naprężeniu postaci, po wyciągnięciu się nerwów na twarzy, zrozumiał wnet, że musi jej mówić jakieś słowa miłosne.

Oddechu mu zabrakło!—zdawało mu się, że krew mózg mu zaleje; dostał takiego zawrotu głowy, że się uchwycił za jakiś krzew przy drodze, by nie upaść. Szarpnięta gałązka pozostała w jego ręku, zatoczył się, omal że nie upadł i to go zbawiło, taka drobna rzecz uchroniła może od wielkiego nieszczęścia. Zatoczenie się jego było tak komiczne, że Helcia, zerwawszy się, podbiegła ku niemu, wybuchając śmiechem.

I ten jej śmiech go zbawił; kobieta, myślał so-

bie, która tak swobodnie, wesoło się śmieje, nie mogła przed chwilą odczuwać miłosnych wrażeń.—Rzuciła mu się na szyję, przytuliła się do niego ze słowami przerywanemi śmiechem.

— Władziu, co to jest!...—co ci się stało?...—myślałam, że się przewrócisz...—nie uwierzysz jak wyglądałeś zabawnie... tak zabawnie podniosłeś nogę... tak zabawnie skrzywiła ci się twarz... taki przestрах był w twoich oczach?

Mówiąc i śmiejąc się, tak się tuliła, tak go cisnęła za szyję,—tak ślicznie główką kręciła, że sam zaczął się śmiać.

Uspokoilo go to wnet, jednak okiem rzucił na Benedykta. Stał na swoim miejscu, blady, ponury, w oczach jego malował się olbrzymi smutek;—choć śmiech jest zaraźliwy zwykle, jemu na twarzy żaden nerw nie drgnął. Na ten widok znowu mu krew ścisnęła krtań, zacisnął pięść, chciał się wyrwać z objęcia żony i biedz roztrzaskać mu łeb.

Ale Helena poczuła tę jakąś niecierpliwość w mężu i wzięła ją do siebie.—Oderwała się od niego, położyła mu na ramionach ręce i, patrząc z niepokojem mu w oczy, wołała błagalnym głosem:

— Władziu! — mój królu! czyś się obraził na mnie?—czy masz mi za złe ten mimowolny śmiech?

A gdy Władysław jeszcze sapał z gniewu, patrząc na Benedykta—uchwyciła go za ręce, zaczęła je cisnąć do ust z taką czułością, z taką miłością, z taką pokorą, że zmiękł zupełnie.

— Mój Władziu! —przepraszam! —nie gniewaj się, toż przecie było pomimo mej woli...—mówiła, całując mu ręce jedną po drugiej.

Wówczas i on zaczął się śmiać jakimś nienatu-

ralnym śmiechem, który prędeż był do łkania podobny.—Objął ją, przycisnął do serca, całował tę drogą głowę, jakaś radość wstąpiła weń, nagła niespodziana radość po niedawnym okropnym strachu. Czuł najwyraźniej jak go Helcia kocha, jak go kocha prawdziwie, swobodnie, niewinnie, po dziecinnemu. — Zdawał sobie sprawę, że jeżeli nawet jej mówił słowa miłosne Benedykt, to one nie znalazły najmniejszego do jej serca przystępu. Nie śmiałyby się tak, ani nie byłaby tak czuła. Jeszcze o czułość mniejsza, kobieta się nieraz czuli najbardziej, gdy ma sobie coś do zarzucenia; ale ten śmiech, jasny, dziecinny...

Benedykt pozostał w ogrodzie, a dopiero po dwóch godzinach wrócił swoim wolnym krokiem, ze swoją łysiną podniesioną dumnie i ze swemi wąsami rozczesanemi do góry, królującemi nad zbyt wysokim modnym kołnierzykiem.

Jakaś straszna pogarda weszła wówczas w serce Władysława dla Starowskiego. — Pociągnął po nim tylko wzrokiem od głowy do stóp z uśmiechem wyższości, ale który mówił mu groźnie zarazem: „tylko mi drugi raz nie probuj! wara! bo ci łeb urwę jak urwałem tamtą gałązkę.“

Musiał go Benedykt w części zrozumieć, bo już pozostał sztywny wobec niego ten cały dzień, który bawił w Stawianach. Nazajutrz chciał koniecznie wyjechać pomimo nalegań Wandzi, by pozostać dłużej.

Jeszcze tego samego wieczora, Władysław rozmówił się z żoną.—Powiedział jej co to było, jakie straszne uczucie owładło było nim. Odrzekła mu na to najnaturalniej:

— Ej Władziu! nie miej pretensyi do tego biedaka, to bardzo nieszczęśliwa natura. Skwaszony,

tetryk, sam nie wie czego chce. Jakiś ma za' do ludzi, do kobiet, wrażliwy jak mało kto, nie głupi zresztą, ale to zupełnie zmarnowany człowiek. Że się trochę podkochuje we mnie to zdaje się fakt, ale to tylko duchowa miłość...

-- Oj duchowa! duchowa! przerwał jej gwałtownie Władysław, żebyście raz wy baby dały pokój z waszemi miłościami duchowemi, śmiał się, — duchowych miłości niema! rozumiesz mnie? niema! To najgłupsza blaga! oszukiwanie siebie i drugich...

— Może zresztą masz rację, odrzekła mu Helena, — ale co się tyczy Benedykta, to on w każdym razie nic nie duchowego do mnie nie mówił. — Robiłam mu wymówki, że jest taki tetryczny, — na to zaczął mi się skarżyć na swoje życie, na swój los, który go trzymał przy ziemi, przy gospodarstwie, podczas gdy jego aspiracye były gdzieindziej...

— Aspiracye! jego małpie aspiracye! przerwał Hojski. — Nie chce mu się nic robić, w tem cała rzecz. Siedziałby sobie z książką, z głową podniesioną do góry, by nie pomiąć modnego swego kołnierzyka. — Paplałby z pannami w salonach i cała rzecz! To próżniak poprostu.

— Może Władziu! może, — odrzekła Helcia, nie przeczę ci, ale cóż on winien, że takim go Bóg stworzył...

— Daj mi go na tydzień a ja go wyleczę. Naprzód co rano wziąłbym go za uszy w braku włosów i wsadziłbym do zimnej wody. Tambym go zanurzał przewracał to głową, to nogami do góry, ażby się zimnej wody porządnie ożłopał. Potembym go wyciągnął na słońce, chociażby tu na dziedziniec, kazał-

bym po czterech rogach stanąć fornalom i walić z bata, a onby musiał biegać w kółko *carrière*...

— Cha, cha, cha! roześmiała się Helcia, biedny Benio! biedny chłopiec! I, śmiejąc się, wciąż tuliła się do męża.

— Zobaczylaś — ciągnął Władysław, jakby później, wypiwszy garniec mleka i otarłszy pośpiesznie swoje do góry rozczesane wąsy, mknął do gospodarstwa i dzień cały po polach harował. Wieczorem dałbym mu żur z kartoflami, całą ćwierć żuru i spałby wybornie.

— Oj żur! ćwierć żuru! śmiała się Helcia, co onby zrobił biedaczek, on co tak nienawidzi żuru.

— Nie lituj się nad tym mazgajem!

— I owszem, Władziu, odrzekła Helcia, nie mogę się nie litować. Toż ostatecznie mój stryjeczny brat.—Przyznaję, że może twoja kuracya pomogłaby mu, ale nikt z nim nie przeprowadzi takiej kuracyi, więc trzeba go leczyć inaczej.

— Tylko ty, aniołku, nie lecz go! zauważył Hojski.

— Ale dobrze, nie będę, jeżeli ci się to nie podoba, — ale właśnie on o to mnie prosił, mówiąc, że mam ogromny wpływ na niego.

— O już wpływ! Już ogromny wpływ! wołał dalej z zapalem Władysław, — już bydlę chce „wpływa- mi“ twoje łaski zaskarbiać; odeślij go do mnie, ja będę miał też na niego „wpływ“, doskonały wpływ! zimna woda i bizun.

Śmiała się Helcia i tuliła się do męża jak pisklę.

— Och jaki zazdrosny mój pan! jaki wściekle zazdrosny! wołała.

— A cóż czy ci się to nie podoba? zapytał.

— I owszem! i owszem! szeptała z czułością, przyznam, że mi się to strasznie podoba! Zazdrość to miłość, niema co mówić.

— A widzisz! zawołał Władysław, — widzisz ty, jaka ty jesteś mądra. Pierwszą babę słyszę, co takie mówi rozumne rzeczy. Inne twoje koleżanki wnet kręcą głowami i twierdzą: „och nie! och nie! miłość to ufność! miłość to wiara!“ a ja ci mówię do stu par dyabłów, że zazdrość to miłość dopiero. Im bardziej szatańska zazdrość, tem większa miłość!

Od tego czasu powstał pomiędzy kuzynami ten stosunek wzajemnej niechęci, którą daremnie Wanda starała się usunąć.

Stosunek zaś Hojskich z Wandą był nadzwyczaj serdeczny, — wprawdzie jej przyjaźń kuzynki pochodziła szczególnie z tej tak częstej egzaltacyi panienek dla młodych mężatek z rodziny. — To takie interesujące, to takie nowe dla młodej panienci, ta małżeńska para. Jak się na lalce dziewczynka sposobi, by zostać kiedyś matką, tak samo uczy się być żoną, stawia pierwsze kroki w krainie osobistych marzeń, przyglądając się młodemu małżeństwu w rodzinie. Podobnie jak lalka ma wszystkie przymioty, tak samo i ta młoda para jest doskonałą. — Oczyby wydrapała każda panna temu, któryby chciał zaprzeczyć, że właśnie ta idealizowana para kocha się „jak nikt!“ Wszystkie nieświadomości młodej panienci, wszystkie jej ciekawości skupiają się na tem stadle.

Tak było i z Wandzią. Rozkoszowała się zawczasu tą atmosferą miłości, której czuła sama potrzebę. Nie rozumiejąc z miłości nic, lub bardzo mało, wdychała ona jej upajającą woń.

Niegdyś jeszcze, kiedy nosiła krótką sukienkę, będąc w Stawianach, aż ręce załamywała z zachwytu, widząc jak się Władysław z Helcią witali czule, po dłuższej nieobecności Hojskiego. — Stała, wlepiła w nich żarzące się oczki, jej pierś też się podejmowała jakimś błogiem uczuciem.

Zauważył to Władysław, a lubiąc ją bardzo za jej adorację dziecinną dla stryjecznej siostry, starszej o 8 lat, za wołał do niej:

— Chodź i ty mała, niech i ciebie uścisnę, a potem dodał ten Szyllera wiersz:

— „*Sei du in unserem Bunde die dritte*“ i oboje całowali jej główkę jak gdyby to było ich dziecko.

Potem nieraz przypominała im Wanda te słowa i, zastając ich samych, pytała:

— Czy Wam nie przeszkadzam? czy mogę być *in eurem Bunde die Dritte?*

Czasem znów, gdy przez delikatność nie chciała im zawadzać, sam Władysław ją wołał:

— No, Dritka, chodźże tu! czemu uciekasz?

Teraz po siedmiu latach z 15-stoletniej Dritki zrobiła się bardzo ładna, urocza panna, nad wiek poważna. Że nie miała przy swym pełnym biuście bardzo cienkiej figury, wyglądała nawet na starszą niż była w istocie.

Teraz minęły czasy egzaltacyi, czasy odczuwania uczuć Helci, — teraz już Wanda sama kochała.

IX.

Długi czas trwała wewnętrzna walka w duszy Hojskiego. — Postanowił był żyć, postanowił działać,

jednak widocznie jakaś sprężyna duchowa pękła wraz ze śmiercią żony, bo po każdym wysiłku przychodziła chwila reakcyi. — Wówczas opuszczał ręce, wpadał w stan niemej apatyi.

Namiętnie dawniej lubione gospodarstwo zaczęło go coraz bardziej pochłaniać. — Gdy go myśli i wspomnienia nękały, uciekał w pole. Gospodarstwo się stało dla niego niebawem już nietylko zajęciem, lecz manią. Jakaś olbrzymia ambicya owdładła nim, by w swoich Stawianach stworzyć coś niezwykłego, niewidzianego w tych stronach dotychczas.

Nie było tych narzędzi rolniczych, którychby nie posiadał, a wszystko musiało być w doskonałym gatunku. Inwentarze wciąż poprawiał. W roli u niego robiło się tak wyśmienicie.

Może ostatecznie gdyby ktoś przejrzał jego rachunki, przekonałby się, że to gospodarstwo odpowiedniego dochodu nie daje w stosunku do olbrzymich wkładów, ale taka już była jego fantazyja. Był bardzo zamożny, oprócz stu trzydziestu włók w Jędrzejowskiem, w doskonałej glebie przeważnie, miał też kilkadziesiąt tysięcy kapitału, złożonego w Banku.

Jak zwykle w Jędrzejowskiem się zdarza, Stawiany, obok najlepszej gleby, miały też i spore przeszerzenie piasków. Temi się głównie zajmował Władysław. Czasem będąc na folwarku piaszczystym, chodził olbrzymiemi krokami po polach wzdłuż i wszerz i, patrząc na tę ziemię, uśmiechał się do niej i żartobliwie pięści wygrażał:

— Ja wam dam! mówił,—ja was nauczę! — będziecie mi szelmy rodziły tak jak wasze sąsiadki.

— Sztuka wielka, ciągnął, że te tłuste bestye rodzą, na to je Bóg stworzył; — ale właśnie mi cho-

dzi o to, żebyście się wy, wymokłe i anemiczne istoty, wzięły do pracy.

Ze zwierzętami także rozmawiał, jałówki zachęcał, by były podobne do swego ojca, okazałego Simmenthalera, nowourodzonej źrebiczce, że jeżeli nie wda się w matkę, to będzie codzien dostawała ciegi. Jagnięta podrzucał nogą do góry, mówiąc:

— Patrzcie osły, wy jedne, jak ładnie wyglądacie, tak pomarszczone, jak żebyście miały skóry na sobie pięć razy za dużo.

Z ludźmi tylko nie mógł się żyć. W towarzystwie był milczący, ponury. Trudno było znaleźć przedmiot do rozmowy z Hojskim. Wiedzano, że oddał się gospodarstwu zawzięcie, pytano więc o szczegóły, ale on nie dawał żadnych. Wogóle przechwałek nie lubił. Błagi gospodarce już znieść nie mógł stanowczo. Jeżeli któryś z sąsiadów wymyślał nieprawdziwe rzeczy o swoim gospodarstwie, to się nawet ożywia! Władysław, bo odrazu wsiadał na blagiera, drwił, prześladował, zbijał z tropu z pewną zajadłością.

Taki nieraz był szorstki i przesadny w swych drwinach, że innemu może to nie uszłoby płazem.

Ale Władysław był tak bogaty w porównaniu z wielu sąsiadami i tak wyglądał pańsko, że mu musiano przebaczać, tembardziej że był i pretekst gotowy:

— Biedny wdowiec, skwaszony! nie dziwnego! Trzeba być wyrozumiałym.

Nieraz podniesiona jakaś ogólna agronomiczna teorya także była zdolna rozruszać Hojskiego. Wówczas zabierał głos, mówił z zapalem, dobitnie, tonem mało dopuszczającym dyskusję. Bo też i literatura ekonomiczna i gospodarcza była specjalnie mu zna-

na. Czytaniu innych ksiązek, szczególnie powieści, nie oddawał się nigdy.

Z Bolciem z początku obcował więcej, w końcu go to niecierpliwiło, że w rok nie może z nim gadnąć jak z dorosłym człowiekiem. Chociaż się chłopiec prędko rozwijał, dla gwałtownego Władysława był ten rozwój za powolny. Wyglądało to zupełnie jak gdyby chciał, żeby Bolcio przez półrocze odbył gimnazjum całe, a przez drugie półrocze uniwersytet.

Od niejakiego czasu jednak była rzecz pewna, która drażniła Hojskiego w jego gospodarstwie, mianowicie zazdrość.

We dwa lata po śmierci żony był kiedyś na wystawie inwentarza w Warszawie i dostrzegł będące po za konkursem bydło Simmenthal pewnego obywatela z Zachodnich Prus.—Chociaż za swoje cielęta tejże rasy otrzymał Hojski pierwszą nagrodę,—były jednak one przy tamtych, pruskich, jak karły.

Rozgniewało go to i, zapominając, że sam wybrał na wystawę swoje najlepsze cielęta, wciąż obniżał wartość bydła pruskiego, twierdząc, że ów pan przyprowadził jakieś wyjątki, nie mające nic wspólnego z oborą.

Urażony ziemianin pruski zaprosił Władysława do siebie, by mu całą swoją oborę przedstawić.

Władysław pojechał i przekonał się, że reszta cieląt kubek w kubek takie same. A same krowy! a owce! Władysław aż gryzł paznogie z zazdrości.

Dowiedział się jednak, że temu p. N. zawdzięcza doskonałość swego inwentarza, iż przed sześciu laty sam oryginalne przywiózł Simmenthalery,— a owce sprowadził sam z Rambouillet.

Władysław się z tego niezmiernie ucieszył i wciąż sobie powtarzał:

— Wielka sztuka! wielka sztuka! to nie dziwnego, ma bydło prosto z Simmenthal, to się nie może chwalić. My zawsze tylko krzyżujemy nasze podłe krowy z Simmenthalerami. Pojadę i ja po oryginalne krowy, wtenczas i ja potrafię.

Tak mu się wzięła ta myśl w mózg, że postanowił jeszcze tej jesieni we wrześniu pojechać [do Francji i do Szwajcaryi i nawieźć co się da oryginalnych owiec i krów.

Niebawem podjął w Warszawie z banku dosyć znaczny kapitał, a wzięwszy przekaz, pojechał do Paryża.

X.

Hojski jeździł w pierwszej młodości często zagranicę, znał więc i Paryż, który nie był dla niego nowością.

Jednak dla umysłu polskiego samo to słowo „Paryż“ ma urok specjalny.— Dlatego też już wsiadłszy do wagonu w Berlinie, był Hojski weselszy niż kiedykolwiek od śmierci żony. Przypominała się mu dawna kawalerska buta, z którą jechał raz pierwszy, ten jego młodzieńczy brak trosk, ta jego ówczesna pewność, że życie to raj.

Przytem pociąg mknął z niesłychaną szybkością i pod tym wpływem uspokajały się nerwy Władysła-

wa. Migaly mu przed oczami wciąż zmieniające się widoki. A tu ciągle rzecz nowa i nowa, ciągle inne wrażenia, ciągle coś, co umysł oderwie od trosk, zabawi, podnieci, interesuje.

W restauracyjnym wagonie jadł dobrze, racząc się winem dobrem obficie, spał potem smaczno i gdy pociąg o 8 zrana do Paryża dochodził, wstał wesół i krzepki.

Pierwszy dzień spędził Władysław na rozejrzeniu się po mieście, którego nie widział od ośmiu lat. Dostrzegł i tu ciągły postęp, ciągle nowe udogodnienia i zbytki. Cywilizowany człowiek, którym był Hojski, cieszył się tem.

W Paryżu nie miał zamiaru długo zabawić, najwyżej trzy dni, dla rozerwania umysłu i dla odświeżenia, to też czynnie dzień spędził.

Przeczytawszy w gazetach, że nazajutrz gdzieś są w okolicy wyścigi, wybrał się tam jako wielki amator koni.

I ta szermierka poruszała go tak samo. Nie zakładał się, bo nie miał tam nikogo ze znajomych i wogóle hazardu nie lubił, ale sam sobie wybierał faworytów i śledził z gorączką bieg każdy.

Gdy się wyścigi skończyły, nie mając nic do roboty, poszedł ku stajniom, by niektóre konie obejrzeć.

Nagle przy którymś ze zwycięzców, zwróciła jego uwagę grupa, złożona z trzech mężczyzn i jednej kobiety.

Rozmowa była głośna, wesola, twarzy kobiecej nie widział, ale go przyjemnie uderzył jej głos kontraltowy, jakgdyby znany.

Przypominał sobie, gdzie go i kiedy słyszał, ale nie dopisywała mu pamięć. Wreszcie ta grupa opu

ściła konia i osła i szła w jego stronę, rozmawiając żywo i wiodąc jakąś żartobliwą sprzeczkę. Kobieta osłoniła twarz parasolką, więc znowu jej nie mógł poznać, jednak tym głosem tak go przykuła do miejsca, że został, by przeszła koło niego.

— A więc, ubóstwiana Doro, przyjmiesz mnie, zgoda? Prosił jeden z młodzieńców.

— Na litość, nie nudźcie mnie, odrzekła opryskliwie kobieta.

— No, no, — reflektował drugi.

Zbliżali się do niego, i zatrzymali się tuż obok.

Młoda kobieta stanęła pierwsza, tupnęła nóżką i dalej mówiła im po francusku:

— Żebyście wy raz dali mi pokój! Jak mnie będziecie nudzili, to chwycę się wielkiego środka.

— Cóż to za wielki środek, ciekawym? rzekł jeden, najmniejszy z nich, żywo, po błazeńsku przyskakując do niej.

— Policya! odrzekła ze złośliwym uśmiechem kobieta, wiesz pan! a toby panu niebardzo dogadzało.

Młodzian skrzywił się komicznie, a dwaj drudzy roześmiali się głośno. Tymczasem młoda kobieta zakreśliła się zgrabnie na pięcie, jakgdyby policyanta szukała i nagle wpadł jej w oczy Władysław.

— Co widzisz? Pan Hojski! zawołała żywo po polsku, i podskoczywszy do niego, wyciągała doń obie ręce.

Władysław drgnął w pierwszej chwili, ale poznał wnet sławną pannę Dorę Z.

— Mój drogi panie, wołała błagalnie Dora, ratuj mnie pan od tych przeklętych błaznów, którzy mnie tu nudzą dzień cały.

Tymczasem te błazny w najmodniejszych i naj-

szykowniejszych ubiorach, prawdziwe typy Francuzów patrzeli z podziwieniem na tego rosnącego Polaka.

— Znalazła ziomka, zauważył któryś. Nie udał się nam dzień dzisiejszy.

— To bydlę ma minę magnata, szepnął drugi.

— Przewąchała pieniądze, ta niewarta! drwił sobie trzeci.

Lecz wtem zwróciła się do nich Dora i rzekła znów po francusku.

— Pozwólcie, panowie, że was zaznajomię, rzekła wyniośle i, nie czekając na zgodę Hojskiego, zaczęła wymawiać nazwiska:

— Baron de Fléchamps! hrabia Hojski; wicehrabia de Civry! hrabia Hojski! pan de Conédic! hrabia Hojski!

Panowie podali sobie końce palców lub lekkim giestem dotknęli kapeluszy; Hojski zanadto znał świat, by się dziwić, że tak nagle został hrabią, na tym wyścigowym torze.

— A teraz! ciągnęła Dora, zwrócona do Francuzików i oddając im ukłon przesadnie głęboki—pozwolicie, że was pożegnam; pan hrabia mnie odprowadzi.

I znowu, nie pytając się Hojskiego, włożyła mu rękę pod ramię i pociągnęła za sobą.

— Mój kochany panie! mówiła do niego z zapalem, nie uwierzysz pan co to dla mnie za szczęście, że pana spotykam. To Bóg mi cię zesłał. Nie wiedziałam jak się uwolnić od tych natrętów.

— Któż to są ci panowie? zapytał Hojski.

— A to wszystko *des chevaliers d'industrie*, ten mały Fléchamps siedział w więzieniu, za ukradzenie bransolety pewnej znanej pół-światówce.

— Poczóż więc pani z nimi przestajesz? pytał Władysław.

— Przyjechałam sama na wyścigi, nie wiedziałam co ze sobą dziś zrobię i ci nudziarze opadli mnie jak muchy. Słyszałeś jakem już im groziła policyją.

— Ale prawda! zawołała żywo, — mój powóz tam! rzekła, wskazując parasolką w przeciwną stronę; pan pojedziesz ze mną?

Hojski chciał się z początku wykręcić i rzekł:

— Ależ ja mam fiakra.

— Ach nie! ach nie! wołała Dora, zlituj się pan, jedź ze mną koniecznie! Jak mnie zobaczą samą, to znów się do mnie rzucą. A przytem taka jestem rada, że pana widzę, tak potrzebowałabym z panem pogadać, mieć jakieś wiadomości o kraju.

Mówiąc te słowa, przyciskała tak czule ramię Hojskiego do swego łona, tak błagalne było spojrzenie tych jej dwojga smętnych, dużych, ciemno-piwnych oczu, że Hojski uległ.

Hojski milczał w drodze, a ona, wciąż jego ramię ściskając, mówiła półgłosem, brzmiącym namiętnie:

— Pan nie uwierzysz co to dla mnie za szczęście, na pański widok odmłodziłam o 10 lat, taka straszna moc różnych uczuć mi się ciśnie do serca, że braknie mi tchu. To Bóg się zlitował, bo byłabym zwaryowała w tym pustym Paryżu, tak sama jedna.

Paryż we wrześnie był dla panny Dory, mieszkającej tu oddawna, Paryżem pustym.

Sławna panna Dora, słynna pół-światówka paryska, miała jednak inną młodość niż wiele jej koleżanek. Córka zacnego i zamożnego obywatelskiego domu, wychowana starannie, wcześniej została

osieroconą. Będąc bez opieki prawie, przeszła ona przez dramat znany, głośny, chciała sobie nawet życie odebrać, ale... skończyła inaczej.

Hojski ją znał jeszcze wówczas w Warszawie. gły dramat wrzał w całej pełni i gdy ogólny wzbudzał interes. Gdy łajdacki bohater dramatu opuścił pannę Dorotę Z., długi czas rozbrzmiewały po wszystkich salonach oburzenia na niego.

Ale ostatecznie bohater był bogatym paniczem, dobrego rodu, panna Dorota zrujnowaną przez niedbanych opiekunów panienką, więc opinia zmieniła niebawem front. Z Doroty urosła niecna kokietka, z łajdackiego bohatera człowiek, który „ostatecznie nie mógł postąpić inaczej“.

Dora była rzeczywiście nie tylko bardzo piękna, lecz miała w sobie coś nadzwyczaj pociągającego. Ruchy jej były też takie, jak wiotkiej trzciny, którą wiatr gnie i porusza. Dawało to jej specjalny urok słabej rośliny o pięknym i smętnym kwiecie. Bo twarz też pociągała niewymownym urokiem. Włosy ciemne, prawie czarne, na słońcu miały odbłyśki bronzu. Oczy duże, okrągłe, ciemno-piwe były najczęściej bezbrzeżnie tęskne.

To też we Władysławie, znającym jej przeszłość, rodziła się litość, czy ogromne współczucie.

Później gdy zajechali pod jej pałacyk na ulicy Jean-Goujon, choć nie chciał do niej wstąpić, ale na jej prośbę nie długo się wahał.

— Jakże można czegoś odmawiać tej smutnej, bezbronnej istocie? mówił mu jakiś wewnętrzny głos.

— Panie Hojski! rzekła mu pieszczotliwie, gdy weszli do eleganckiego jej saloniku,—mój drogi panie, nie pogardzaj mną, nie odpychaj, posiedź ze mną

chwilę! porozmawiaj! Bóg ci to kiedyś pewnie wynadgrodzi, żeś się zlitował nad biedną kobietą.

Mówiła to z taką pokorą, że Hojski narazie zapomniał że ta „biedna“ kobieta była bardzo „piękna“. Pociągał go bezwiednie jej urok także, ale myślał, że tylko litość w nim gra.

— Dawno pan tu jesteś? pytała Dora.

— Od wczoraj — odrzekł Hojski.

— A na długo?

— Jutro wyjeżdżam, mówił Hojski:—jestem tu tylko przejazdem, jadę za interesem, po zakupno owiec, a potem do Szwajcaryi.

— Za interesem? dziwiła się Dora,—myślałam, że gdzieś do wód, lub do morza; byłabym wówczas pojechała z panem, bo tu w Paryżu wytrzymać nie mogę z nudów.

A po chwili milczenia pytała znowu:

— A pan w kraju mieszkaś na wsi, czy w mieście?

— Naturalnie że na wsi! odparł żywo Hojski.

— A w jakich stronach? pytała Dora.

— W Jędrzejowskiem! brzmiała odpowiedź.

— W Jędrzejowskiem? ach wiem! to taka ładna okolica: góry? nieprawdaż?

— Tak, w bliższej okolicy są góry, ale koło mnie ich niema. Jest to prawie płaska miejscowość, miejscami lekko falowata.

Hojski myślami się przeniósł do swoich pól, a Dora się zadumała, jakgdyby coś sobie chciała przypomnieć.

— Kieleckie... kieleckie... mówiła niby do siebie, kiedy to ja tam byłam?

— Ach prawda! rzekła w końcu, smutnie kiwa-

jąc głową, — przypominam sobie, miałam wówczas lat 10 czy 11. — Jechałam z matką do krewnych, którzy mieszkali gdzieś za Kielcami pod Mich... pod Mięch...

— Może Mięchów, — rzekł Hojski.

— Ach prawda, pod Mięchowem; pamiętam jeszcze jak dziś, zaczęła mówić z większem ożywieniem Dora, tam w tym Mięchowie jest jakiś ogromny kościół a na olbrzymiej wieży ogromna kula z jakimś herbem, czy tak?

— Tak, to dawny klasztor Mięchowitów, rzekł Hojski.

— Widzisz pan jak dobrze pamiętam, zaśmiała się Dora, nadzwyczaj silnie zrobiła na mnie wrażenie ta kula. Pamiętam, że podjeżdżając do tego miasta, wyglądałam przez okno karety, gdy nagle widzę jakąś czarną kulę tuż ponad ziemią. Patrząc aż ta kula się rusza, myślałam że to balon, czy Bóg wie co; nawet chwilkę przebiegła mi przez głowę myśl, że to może i kula armatnia, która leci na nas. Ale nie; jechałyśmy wtenczas pod górę i spostrzegłam że kula też się do góry wznosi, wreszcie dostrzegłam i wieżę kościelną i potem sam kościół. Wjechałyśmy na górę i całe miasto leżało u naszych nóg.

— Prawda, rzekł Hojski, jest takie miejsce na szosie, z którego ma się podobne wrażenie.

— A widzisz pan! zawołała Dora z zadowoleniem dziecinnem, widzisz pan jak dobrze pamiętam.

Ale nagle znów posmutniała i zmarszczyła cienkie brwi, które sprawiły wrażenie, że się nie składają z małych włosków, ale że to jakiś prawdziwy artysta malarz na tem czole zrobił pędzlem dwie lekkie kreski.

— Co tam dalej było, nie pamiętam, ciągnęła Dora, tych krewnych moich widzę jak przez mgłę, wracając, musiałam spać. Pamiętam tylko, że w parę tygodni po powrocie do domu mama zachorowała i umarła... zostałam sama!.. A potem, no potem...

I oczy Dory znów się rozszerzyły, patrzyły bezmyślnie przed siebie, umilkła, Władysław nie chciał przerywać jej wspomnień.

A po chwili milczenia, znowu mówiła Dora powolnym głosem i kiwając smętnie główką:

— Ach ta wieś! ach ta polska wieś! pamiętam dobrze u nas w radomskim, chociaż tam u nas było jakaś smutna, nieładnie, wiele piasku dokoła... lub jakaś czarna, niezupełnie czarna, ale jakaś ciemna, smutna ziemia. i ten nasz kościół taki biały wśród tej ciemnej ziemi... i ten cmentarz..

I nagle, zarzuciwszy w tył głowę i zakrywszy rękami oczy, wybuchła gwałtownym płaczem.

Władysław zerwał się ze swego miejsca, uchwycił obu rękami jej ręce i starał się je od twarzy oderwać.

— Panno Doro! mówił z zapalem, moja panno Doro! uspokój się pani! po co te wspomnienia! po co te lzy?

Ale Dora wciąż płakała głośno, zanosila się od płaczu i mówiła urywanym głosem wśród łez.

— Nie, zostaw mnie pa... te lzy... dobrze mi robią... niech te lzy... mnie oczyszczą; jedna rzecz co mi została dobra... i nieskalana... to ta tęsknota... ta straszna tęsknota... za krajem... za drogim krajem..

I znowu wzmógł się jej płacz; Władysław zaś przestał wstrzymywać jej lzy, sam był niezmiernie wzruszony, usiadł znów obok niej, a gdy ona płacząc

niewiele się odchyliła, by się oprzeć, Hojski bezwiednie zasunął swe ramię i objął jej kibić.

A Dora też osunęła się cała w objęcia Hojskiego, wsparła mu na piersiach swą głowę, lzy jej się lały cichsze i słodsze, jak u małych dzieci, u których znaczą, że lzy się niebawem ukoją w długim niewinnym śnie.

Pod wpływem tego smutku i lez, pod wpływem tego ciepła, pod wpływem tej upajającej woni jakichś delikatnych perfum, których używała Dora, straci równowagę Władysław; oczy zaczęły mu pałać, zapominał o wszystkim, był jak pijany.

XI.

Nazajutrz nie wyjechał Władysław, lecz zbudziwszy się późno w hotelu, przypomniawszy sobie wczorajszy dzień, rzekł tylko do siebie z jakąś wewnętrzną niechęcią, machnąwszy ręką.

— Co ma być, niech będzie. Pał sześć! Toż trzeba żyć!

I zaczął się ubierać gorączkowo, pośpiesznie, zadzwonił na służącego, by go ktoś przyszedł ogolić; tymczasem kręcił się po pokoju jakiś zły i nieswój. Otworzył kufer, wyjmował jakąś szufladę, ta nie chciała odrazu mu wyjść z kufra, więc szarpnął gwałtownie, że aż mu ucho skórzane szuflady zostało w ręce, cisnął na ziemię ubranie, które było w szufladzie i chwyciwszy za spodnie pasy, szarpnął szufladę tak

silnie, że wysunęła się wreszcie. Ze spodniej szuflady wyjął koszulę, obejrzał czy niema jakiej skazy i zaczął z wczorajszej koszuli wyciągać spinki, ale spinki nie chciały jakoś odrazu wyjść ze swych dziurek i Hojski już się oglądał za nożyczkami, by przeciąć poprostu mankiet.

Ale na szczęście koszuli, wszedł golibroda i za nim hotelowy służący.

— Masz, przepnij spinki! zawołał do służącego Władysław, rzucając mu koszulę i zasiadł przed lustrem.

Golibroda zakasywał rękawy, rozrabiał mydło, brzytwie pod światło się przyglądał; zaczęło to znów niecierpliwić Hojskiego.

— Prędezej!—zawołał do golibroda tak groźnie, że aż ten drgnął ze strachu.

— Natychmiast panie hrabio! natychmiast! to pójdzie piorunem! Pan hrabia życzy sobie zapewne, abym mu podkreślił wąsy żelazkiem? Muszę zagrzać żelazko panie hrabio.

— Nie chcę! Proszę tylko ogolić, odrzekł z niechęcią Hojski.

Odchylił w tył głowę, a fryzyer, namydliwszy mu brodę, zaczął ją skrobać brzytwą.

Hojski widział w lustrze swą twarz i nagle wstąpiła weń jakaś nienawiść do swojej osoby.

— Żeby ten dureń miał sens, myślał Władysław to, skończywszy golić moją małpią twarz, pociągnąłby mię brzytwą po gardle.

Własne duże czarne oczy w Hojskim budziły wstręt.

— Patrzaj jak się bestye świecą. Pilyby zdaje się krew!

Taki był wściekły na siebie Hojski, że aż mu ręka drgnęła, jakby chciał wyrwać z rąk brzytwę o³ golibrody i sam-przerznąć sobie gardło.

Fryzyer odskoczył od niego i zaczął mówić z przestraczem komicznym:

— Niech się pan nie rusza, panie hrabio! mógłbym pana skaleczyć. Niech się pan hrabia raczy nie ruszać.

I potem zabierając się do dalszego golenia, zaczął mu paplać na l uchem.

— Pan hrabia ma takie duże, straszne oczy, że mi ręka drży, boję się zaciąć, pan hrabia musi mieć bardzo gwałtowną naturę, zresztą podobno wszyscy Słowianie mają takie gwałtowne natury. Pamiętam kiedyś, jakem golił jakiegoś ruskiego księcia, tu w tym samym hotelu Continental, nawet zdaje mi się w tym samym numerze; — a nie, to numer 24; zdaje mi się że pan hrabia ma numer 24 a książę miał 23; tak, pamiętam dobrze, pamiętam jak dziś, książę mieszkał pod dwudziestym ósmym numerem...

— Co mnie to może obchodzić, pomyślał Hojski, w jakim numerze mieszkał ten książę, ale się udobruchał i nagle po strasznym gniewie napadła nań jakaś nienaturalna wesołość.

Skończył z goleniem fryzyer i zabierał się do obmywania brody wodą kolońską i do osypania jej pudrem.

— Dosyć! nie trzeba tego! — zawołał Hojski, zrywając się z krzesła i ocierając sam sobie brodę.

Golibroda odskoczył i chciał dalej ciągnąć opowiadanie:

— Nie skończyłem panu hrabiemu historii o księciu...

— Dobrze, skończysz pan jutro, rzekł Hojski rzucając mu niedbale 5-cio frankówkę.

Fryzyer, zabierając się do wyjścia, we drzwiach jeszcze posyłał tysiączne ukłony.

— Moje uszanowanie panu hrabiemu! ile razy pan hrabia będzie mnie potrzebował, proszę tylko wspomnieć.

— Dobrze, dobrze! — odrzekł Hojski, dając mu znak ręką, by sobie szedł.

A gdy się drzwi za fryzyerem zamknęły, stanął Władysław w pokoju i, śmiejąc się szyderczo, wołał do siebie:

— Rozigrała się polska natura! zawsze próżny szlachcic! myślę, że mu zaimponuję!

A po chwili, ubierając się gorączkowo i zapinając ze złością kołnierzyk, monologował dalej:

— Tylko raz wodze tej polskiej naturze popuścić, to zaraz nie zna granic. Pan Twardowski!.. Zaraz hulaj dusza!

I te słowa pana Twardowskiego zaszumiały mu w mózgu. Chodził po pokoju, to szukając krawata, to przebierając szpilki, to naciągając rękawiczki, a ciągle brzmiały mu w uszach słowa:

— Hulaj dusza! hulaj dusza!

A wreszcie, gdy był ubrany i zabierał się do wyjścia, stanął jeszcze na środku pokoju, zobaczył się w lustrze, oddał sobie samemu szyderczy ukłon i rzekł:

— Tak! tak! hulaj dusza: płacz! płacz i hulaj!

Ale poczuł w tej chwili, że coś go ściska za gardło, że oczy zaczynają go boleć, jak gdy się przez nie wyciska na wierzch bardzo gorzka łza.

I wstrząsnął się cały jakgdyby pogardą dla sie-

bie, odwrócił się szybko i, wychodząc, trzasnął drzwiami.

Odtąd Władysław dnie całe spędzał z Dorą, to na rozmowie w jej pałacyku, to jeżdżąc z nią po lasku Bulońskim, to robiąc jakieś dalsze wycieczki.

Czasem gdy był sam, coś nakształt wyrzutu sumienia zaczęło mu w duszy powstawać, ale czemprędzej zduszał w sobie te niewczesne żale. Machał ręką i wciąż powtarzał:

— Co ma być to będzie! Pal' lichu! Hulaj dusza!

Dora zaś ubóstwiała Hojskiego. Czasem gdy siedział obok niej na kozetce, zrywała się, klękała przed nim, obejmowała mu ramionami kolana i mówiła namiętnie:

— Mój królu! mój panie! mój ideale ty!

Hojski ją reflektował i chciał podnieść, ale broniła się Dora.

— Nie! pozostaw mnie tak, tak mi jest niesłychanie dobrze u twoich nóg! Tak jestem szczęśliwa, patrząc ci w oczy, jak pies na swego pana, bo ja twój wierny pies!

Władysław się rozczulał temi niewątpliwymi oznakami adoracyi, gładził jej miękkie włosy o błyskach bronzu, patrzył w jej oczy głębokie.

Nieraz, tak zapatrzony w nią, mówił cicho:

— Przepaść, prawdziwa przepaść!

A Dora pytała:

— Gdzie przepaść? jaka przepaść?

— Te twoje oczy to przepaść prawdziwa, przepaść, w którą runąłem.

— A to dobra taka przepaść — wołała Dora we-

soło — w taką przepaść pozwalałam ci wpadać i wpadać wciąż.

Czasem jednak chwycił nagle Hojskiego tak silny żal, taki wstret mu się wkradł do duszy, że zaczynał myśleć jak się wyzwolić z tych więzów.

Nieraz, wróciwszy do hotelu, zapuszczał portyery, zamykał się na klucz, osuwał się w jakiś głęboki fotel i szeptał do siebie:

— Po co mi to? po co?... toż nie uczucie, to udawanie, to oszukiwanie siebie i drugich, to nie życie, to nie rozkosz, to nowa męka...

Stan ten coraz częściej owładał nim, tak iż zaczynał marzyć o ucieczce; ale była to zanadto prawa natura, by tak uciec od Dory, nie uprzedziwszy jej o tem. Przygotowywał więc ją powoli, mówiąc od czasu do czasu:

— Trzebaby mi było jednakże o wyjeździe pomyśleć, muszę być koniecznie w Szwajcaryi...

— Ani myśl o tem! — wołała Dora — nigdy cię ztąd nie puszcę! nigdy! rozumiesz? jak mi nie schowasz pod ziemię i sprawisz pogrzeb, a na. mym grobie postawisz kamień z polskim napisem: „Biedna Dōra!“ to sobie jedź. Ale przedtem nie puszcę cię.

— Ale kiedy muszę, muszę koniecznie — perswadował jej łagodnie Władysław.

— Nie, nie musisz! — tupiała nóżką; a potem zmarszczona i zła, wydymając swe drobne usteczka, mówiła znów:

— Chyba, że tam cię czeka jakaś inna kobieta, którą bardziej kochasz odemnie.

— Nie, niema takiej! — odrzekł z westchnieniem Hojski.

— Niema? jak to dobrze! — wołała, rzucając się

mu na szyję — a ja tak się zawsze boję jakiejś innej kobiety.

Widziała w pierwszych dniach obrączkę ślubną u Władysława na palcu. Ale potem przestał ją nosić. Nie wiedziała więc dobrze czy był Hojski żonaty, czy kawaler, czy może wdowiec? Jakaś wewnętrzna delikatność, czy jakiś instynkt nie pozwalały jej poruszać z nim tego przedmiotu. Ubocznymi więc drogami chciała dojść do prawdy.

Po tej odpowiedzi Hojskiego, że niema żadnej takiej kobiety którąby kochał, uspokoiła się zupełnie.

— Albo kawaler — myślała — albo żonaty i nie kocha swej żony.

— Raz gdy znowu zaczął Władysław o Szwajcaryi mówić, odrzekła:

— Co ci ta Szwajcarya? Po co ci jej przepaście? Masz tu twoje własne — dodała, wskazując na swoje oczy — to przy nich siedź!

I takie rzuciła mu namiętne spojrzenie, że Władysław zmiękł, ujął ją obu rękami za głowę, ucałował w oczy i mówił:

— Masz za te przepaście! masz! Te przekłete, ale cudne przepaście! te prawdziwe przepaście, bo i przyciągają jak one, i sprawiają ten sam zawrót głowy.

A ona stała cicha pod tym pocałunkiem gorącym i drżała tylko ze wzruszenia.

Szczególnie ujęła Dora Hojskiego, gdy na trzeci dzień odnowienia się ich znajomości przywiózł jej broszkę kosztowną, składającą się z dyamentów i z *oeils de tigre*.

— A cóż to! za kogo mnie masz? — wołała Do-

ra z oburzeniem—myślisz, że ciebie Kocham dla prezentów.

Hojskiemu zrobiło się wstyd i jął się tłumaczyć, że dlatego kupił tę broszkę, iż te *oeils de tigre* zupełnie przypominały jej oczy, zupełnie miały taki sam kolor i blask.

— Tak, to co innego!—rzekła poważnie, robiąc głową znak, że mu przebacza. — Póki żyć będę, innej broszki nie włożę—dorzuciła.

Ale po tygodniu zdarzyło się tak, że lokaj Dory wszedł do salonu, anonsując, że ktoś na nią w gabinecie czeka.

— Któż to?—zapytała Dora.

— Komisant od X...—rzekł lokaj, wymieniając nazwisko jednego z najslawniejszych magazynów mód.

— Powiedz mu, niech przyjdzie później!

-- Był już kilka razy, podczas gdy pani hrabiny nie było.

Bo i Dora była w Paryżu nietylko Dorą, lecz sławną hrabiną Dorotą Z.

Młoda kobieta wstała i poszła, a po chwili doszła uszu Hojskiego jakaś dyskusya z przyległego pokoju.

— Mówię panu, że teraz nie mogę! za dwa miesiące! Teraz nie mogę stanowczo!

A potem słyszał niewyraźnie słowa komisanta, a tylko do jego uszu doleciało:

— ...Dwanaście tysięcy franków... to nie ba gatela...

Obudził się w Hojskim wspaniałomyślny Polak i butny pan.

Wszedł do przyległego pokoju i, groźnie spojrzawszy na komisanta, zapytał go:

— Czego pan chcesz od pani?

Dora się rzuciła do Hojskiego, prosząc, by odszedł, by się nie mieszał w nieswoje rzeczy.

Jednak czy ona nie miała siły wypchnąć go z pokoju, czy Hojski był tak oporny, dosyć, że komisant miał czas mu opowiedzieć, że pan X., właściciel magazynu mód, dopomina się o ratę 12000 franków.

Hojski wyjął z kieszeni książkę czekową, i pomimo, że mu niby przeszkadzała Dora, napisał czek i, wzięwszy od komisanta pokwitowanie, odprawił go.

Komisant też się kłaniał jak fryzyer z tysiączeniemi „*Monseigneur, monseigneur!*“ i wyszedł, a Dora zaczęła mu gwałtowne robić wymówki, zapowiadając, żeby to było „ostatni raz“.

— Ja mam pieniądze—twierdziła — tylko mój bankier wyjechał do New Yorku.

Hojski lekko uśmiechnął się na wiadomość o tym bankierze, co wyjeżdża do New-Yorku, zabierając ze sobą chyba cały dom bankowy, jeżeli Dora w jego nieobecności nie mogła w tym banku dostać swych własnych pieniędzy. Zresztą przypomniał sobie jak gdzieś niedawno w sąsiedztwie Stawian opowiadano o tej sławnej na cały kraj, Dorze Z. i mówiono, że żyje z jakimś milionerem amerykańskim. Od niego zapewne pochołził ten pałacyk, te kosztowne meble i sprzęty, ten paradny zaprzęg. Zresztą zupełnie po amerykańsku z pewną ciężkością i ze sporą dozą próżności brzmiał ten napis złotymi literami nad drzwiami w halli wejściowej.

„*Il adora Dora et la dora*“.

Chodziły te myśli po głowie Władysława, widział Dorę w objęciach czerwonego jak burak Yankesa, który, całując ją, musiał haniebnie kłuć tę delikatną twarzyczkę twardą szczecina.

Powoli obrzydzały mu Dorę te myśli o Amerykaninie. Jednocześnie zazdrościł mu tej obojętności uczuć. To on głupi Polak! marzycielski Polak może się kochać w takiej kobiecie i wierzyć w jej miłość. Taki mądry Amerykanin to dobrze wie co się komu należy. Pomiędzy kartkami, w których są zarejestrowane jego różne „business’y“, pod rubryką „Zmysły“ leży adres Dory, ale w innych rubrykach jej imienia nie znajdziesz. Nawet pod napisem „litość“ będą tylko jakieś imiona pocziwych prawdziwie biednych pracowników, ale Dory tam też nie będzie. W rubryce „entuzjazmy duchowe“ znajdzie się bez kwestyi wizytowa karta Edisona, ale o Dorze nie będzie tam najlżejszej wzmianki.

Po tem hojnem rzuceniu przez Władysława znacznej sumy pieniędzy, interesowność zaczęła w Dorze coraz częściej przemawiać.

Nazajutrz na jakimś spacerze zatrzymała się przed wystawą sklepową z futrami i zaczęła się tak zachwycać reniferowem futrem damskim, które wówczas wchodziło w modę, że musiał jej takie kupić Władysław. Następnego dnia przyszła kolej na jakiś staroświecki mebel, chociaż miała ich dość.

W kilka dni później entuzjazm ją zdjął dla polskich poetów. Rada była, że mogła umysłową kulturą odznaczać się wśród swych koleżanek. Postanowiła jeden boudoir przerobić na bibliotekę cennych utworów polskich.

— Moje sanctuarium!—mówiła z zapalem.

Władysław musiał z nią wybierać szafy i półki misterne pod tę bibliotekę, musiał trzy czwarte dnia przesiedzieć na wybieraniu książek.

Naturalnie, że płacił za wszystko, bo zawsze tak się stawało, że Dora dopiero po wybraniu mnóstwa przedmiotów przypominała sobie, że nie ma pieniędzy.

Sumy, przeznaczone przez Władysława na Simmenthalery i na Rambouillety topniały szybko, a na wszelki wypadek przygotował był sumę dość znaczną, koło dwudziestu tysięcy rubli.

Tego dnia, gdy z księgarni wracali po zakupie książek na parę tysięcy franków, Dora kazała zatrzymać się przed jakimś niewielkim sklepikiem i wstąpiła, by kupić woalkę.

Kazano jej zapłacić trzy franki, pomacała się po kieszeni i okazało się, iż zapomniała jak zwykle wziąć portmonetki ze sobą. Znowu musiał płacić Władysław, a jak to często bywa z mężczyzną, on który rzucił tysiącami franków przed chwilą, na te trzy franki zrobił jakiś giest nieukontentowania.

Dostrzegła to Dora i jęła go przeproszać. Zawstydzil się Władysław i zaczął się wysmiewać i z jej skrupułów i z siebie samego.

— No cóż, przecie nie będziesz myślała—mówił jej—żem aż taki skąpy.

Jednak delikatna natura Dory postrzegła, że ma już Władysław dosyć i postanowiła poskromić swoją żarłoczność. Zaczęła nawet odtąd udawać skromną i oszczędną. Nazajutrz gdy przyszedł Władysław by ją wziąć na obiad, jak zwykle do Voisin, czy do innej bajecznie drogiej restauracyi, gdzie co-

dzień pękało najmniej sto franków za zwykły obiad z przekąską, likierami i butelką szampana, oznajmiła mu Dora, że przyjęła kucharkę i że odtąd będą jadałi w domu.

Żartował z niej znowu Władysław i nie chciał przystać na tę propozycję, ale się sama Dora rozentuzjazmowała do swego projektu.

— To tak będzie ładnie, *en vrais bourgeois*, będziemy z sobą jadałi jak młode małżeństwo po ślubie.

Ale na wspomnienie młodego małżeństwa zakipiła w duszy Władysława.

— Nie! — mówił do siebie — nie! bezwarunkowo nie chcę pozować na małżeństwo. Małżeństwo to co innego, a Dora to co innego.

I nagle zaczęły mu się cisnąć do mózgu tysiące wspomnień, samotnych obiadów w Stawianach, gdy byli we dwoje z Helcią. Taka straszna rozpacz ogarniała go na myśl, jak się zapomniał dotąd, że chciał się zerwać, biedz do hotelu i w łeb sobie strzelić.

Ale przywykł był już dusić w sobie wspomnienia, więc i teraz, choć te wspomnienia wystąpiły silniej niż kiedykolwiek, ostygły niebawem.

Jednak Władysław na domowe obiady nie zgodził się stanowczo. Daremnie Dora płakała, przyzwyczajona, że jej każdej fantazy słuchano.

— Ale dlaczego? Dlaczego? — wołała i tupiąc nóżką i płacząc zarazem.

— Moja kochana! tyle razy mówiłem ci, że mam wstręt specjalny do tej egzystencji mieszczańskiej, jak ją nazywasz. Restauracya, gabinet, szampan to mi życie! Ale przy takiej egzystencji, jaką proponujesz, tobym zwaryował z nudów.

Dora niebardzo wierzyła, bo nie miał Hojski za-

dnego zaci cia na zwykłego, wesołego hulakę; ustąpiła jednak, mówiąc:

— Dobrze, zgadzam się! ale pod tym warunkiem, że ja będę płacić.

— Co to, to też się nie zgadzam — rzekł Hojski.

— A to dlaczego? — pytała Dora.

— Chociażby dlatego — odrzekł Hojski — że nie chcę, by myślano, że mnie utrzymujesz.

— To tak! — zawołała Dora ze złośliwym błyskiem w oku — nie chcesz tego, to i ja nie chcę; i ja nie chcę, by myślano, że mnie utrzymujesz.

Władysław nagle ochłódł cały. Nie; scen to on nie chciał, jakichś małżeńskich scen. Chwila namiętności to co innego, to była gra zmysłów. Władysław miał w sobie naturę tureckiego paszy. Zresztą i Helcia przez swe przywiązanie bezwzględne, przez swą słodycz — utwierdziła w nim tę potrzebę panowania nad kobietą.

— Jeżeli ci to nieprzyjemne — rzekł zimno Władysław, bicząc za kapelusz — to najlepiej rozstańmy się. — Do widzenia, Doro!

Ale na te słowa zerwała się jak z procy, wlepiła weń przestraszony wzrok i zawołała:

— Co? JAKO? — chcesz mnie opuścić?!...

I jak długa padła na ziemię.

Zemdlała. Władysław ujął ją w swe silne ramiona, poniósł do sypialni, położył na łóżku, zawołał służącą, rozebrał ją, przykładał wodę zimną na głowę i serce, dawał jej wachać wodę kolońską i sole. Wreszcie przebudziła się Dora.

A taka była piękna w swojej słabości, w swoim bezładzie ubioru, taka bezbronna w oczach Władysła-

wa i taka ponętna, że znowu krew się gotować w żyłach jego poczęła.

I jeszcze minęło parę tygodni w tym szale. Pieniądze już wyszły, więc Hojski napisał do Banku, by mu znowu przesłano kilka tysięcy rubli. Zakupno inwentarzy naturalnie wyszło mu z głowy zupełnie.

Pewnego razu gdy Władysław siedział z Dorą, rozmawiając, wniesiono jej na tacy list. Poznał po markach, że list z Ameryki. Dora chwyciła go żywo, list był krótki, na jednej stronnicy, po amerykańsku, all right!

Jednak trochę ciemniejszą się stała jej wschodnia płeć. Zmiała list, wsunęła go do kieszeni, zaczęła z roztargnieniem mówić, wreszcie wstała i wyszła.

Od owej chwili była wciąż jakaś nieswoja; czasem wychodziła do Władysława z zaczerwienionymi od płaczu oczami.

Dziwił się trochę Władysław, ale dziwił się miernie. Wogóle dachowa natura Dory interesowała go mało.—Tembardziej teraz, gdy namiętność pierwszych dni przechodziła w zwyczaj.

Dziwił się też zmianie w panie służącej Dory. Ona, która z początku miała dla Hojskiego uśmiech życzliwy, teraz stroiła jakieś miny.—Witała go z pewną niechęcią.

Bardzo wrażliwy na taki rodzaj grymasów, Hojski z początku myślał, że mu się zdaje.—Przecierał oczy i mówił do siebie:

— Czy mi się śni?—czy rzeczywiście ta małpa francuska traktuje mnie z góry?

W końcu przekonał się, że się nie myli. Złość go chwyciła, nie zadawał sobie brudu badać co jej jest, ale zaczął ją też maltretować jak tylko miał spo-

sobność, odzywając się do niej szorstko i tonem pańskim.

Zawrzał w nim szlachcic, nieprzywykły do tego, by służba siebie uważała za ludzi.

Wreszcie pewnego razu, gdy wszedł do pałacyku i Dory nie zastał, zapytał wyniośle służącej, gdzie mogła być?

— Prawdopodobnie musiał już przyjechać Amerykanin mojej pani. Poszła więc do niego, do *swiego* Amerykanina. Nie może przecie żyć w nędzy, z niczego.

Mówiła to, odchodząc, z miną pogardliwą nieco.

Hojskiemu na te słowa się zdało, że ktoś go szpicrutą uderzył przez twarz. Aż syknął z bólu.

— Ale prawda! — pomyślał sobie — pieniędzy jej nie dawałem gotówką przez delikatność, a przecież musiała także z czegoś żyć, opłacać służbę, utrzymać konie, mieć na drobne wydatki. Oto głupiec ze mnie! Idealista polski!

I wnet chwyciwszy za kapelusz, wyleciał na ulicę.

Wskoczył do fiakra i kazał się wieźć do domu bankowego, przez który otrzymywał pieniądze. Różne uczucia tymczasem miały nim: i przesyt i trochę zazdrości o Amerykanina i upokorzenie, którego doznał przed chwilą: wszystko to wywoływało w nim niesmak ogólny. Ale najsilniej grała w nim miłość własna i obrażona duma

Wpadł do banku jak bomba, aż się wszyscy zdziwili.

— Ile mam jeszcze do podniesienia? — zapytał.

— Przepraszam — odrzekł grzecznie urzędnik — pańskie nazwisko?

— Hojski, Władysław Hojski!—odrzekł.

Urzędnik zaczął wertować buchalteryjne książki.

— Pan Hojski?—zapytał znowu urzędnik.

— Tak jest.

— Ma pan u nas jeszcze 32,000 franków.

— Chciałbym dziś jeszcze podnieść 50,000. Jak to bić? Czy można telegraficznie załatwić tę sprawę z Bankiem Handlowym w Warszawie?

Urzędnik spojrział na zegarek i rzekł: I owszem, można. Odpowiedź może nadejść przed piątą wieczorem. O 6-ej dopiero zamkniemy biuro.

Władysław pośpiesznie ułożył telegram i zaraz pojechał do hotelu.

Tam zaczął składać gorączkowo swe rzeczy, opłacił rachunek z pieniędzy, które miał przy sobie—kupił w kantorze sypialny kupon i bilet do Warszawy. Postanowił koniecznie tego dnia jeszcze wyjechać.

O piątej był znowu w Banku, napisał czek na 50,000 franków i poprosiwszy by list wręczono podług adresu, napisał tylko te słowa:

Dla panny Dory ostatni uścisk dłoni.

I nocny pociąg pośpieszny unosił go niebawem z Paryża.

XII.

Nie zatrzymując się nigdzie, podążył Władysław prosto do domu.

Przez cały czas podróży nic nie czuł, ani żalu za Dorą, ani cienia tęsknoty—tylko owoładnął nim jakiś niesmak do swojej osoby, choć wymówek gorzkich sobie nie robił.

Zwykle przejeżdżając z powrotem granicę, cieszył się że wraca do kraju.—Coś go zazwyczaj ciągnęło, czy dom, czy gospodarstwo, za kawalerskich czasów. A potem gdy parę razy wracał po jakimś krótkim pobycie w Krakowie bez Helci—ciągnęła go żona.

Tym razem wręcz przeciwnie, przy przejeździe granicy powiększył się tylko jego niesmak i jego smutek.

Wracał—ale wracał do czego? Do grobu żony, do tego swojego zajęcia, które mu nagle obrzydło, bo widział, że nim owoładła była przez ostatnie dwa lata tylko gospodarska ambicya i namiętność, a nie przywiązanie prawdziwe do tej pracy, wiodącej do jakiegoś celu. W ostatnich latach nie gospodarował on racjonalnie, dla powiększenia stopniowego dochodów, dla pozostawienia śladu po sobie. Przeciwnie, gospodarował tak, jak się gra w karty, jak się pije mocne trunki, jak się lata za Dorą et consortes.

Namiętność jedna przyszła i przeszła, została zastąpiona przez drugą, która też przeszła. Teraz miał serce beznamiętne zupełnie.

Mówił wciąż do siebie, jak gdyby do innej osoby.

— Cóż, kotku?—Może teraz poprobujesz grać w karty? co? ot tak, dla odmiany! A potem może znów będziesz pił czy szampana po miastach, czy chociażby siwuchę w karczmie!—Wiesz! to śliczneby było, tak jedno po drugim.

I wzdrygał się, usta mu się wykrzywiały jakimś wstrętem i znowu mrucał przez zęby:

— Najlepiej radzę ci, palnij sobie w łeb!—w każdym razie wątpię czy zrobisz coś rozumniejszego.

Oprócz tego wracając z Paryża, opuszczał ciepłe jeszcze i słoneczne dni ostatniej jesieni. W kraju minęła już jesień prawdziwa, nadchodziła zima, z początku ciemna, pouura, nim wreszcie śniegiem świat cały pokryje.

W wagonach było chłodno, na dworze szaro i brzydko—gdzieniegdzie raune przymrozki ścinały lodem małe zbiorniki wody na drogach. Wiatr nie silny, ale ostry smagał twarz i nieprzyjemnie szczypał, ołowiane chmury były brzemiennie śniegiem, czuło się, że wnet sypnie ten pierwszy drobny śnieg, który zwykle przenika duszę takim smutkiem bezmiernym na myśl, że znowu jedna wiosna, jedno lato i jedna jesień przeszły, zginęły, zapadły się, by nigdy nie wrócić.

Potem dopiero koło świąt Bożego Narodzenia i spadły śnieg duszę człowieka raduje I sanna się ściele i słońce świeci i ciało do chłodu przywykło. Ale okrutnie przykre są te chwile pierwsze pożegnania jesieni.

Czuł to Władysław silniej niż zwykle.

Jadąc ze stacyi do domu, wciąż się chmurom przyglądał, rychło li prószyć zaczną śniegiem. A tak mu się chciało jeszcze dojechać do grobu Helci, nim śnieg pierwszy spadnie; tak chciał pożegnać ten grób, nim go całun śnieżny pokryje, zamykając za sobą miniony rok, rok drugi, wchodząc w ten okres nowy, w którym jeszcze coś ze wspomnień się zatrze, ubędzie, i pójdzie świat dalej, ścierając stopniowo wszyst-

ko, wszystko, ścierając wreszcie kiedyś najlżejsze wspomnienie o tej umarłej, która przecież kiedyś żyła, pragnęła, kochała i była kochaną, tak samo jak wielu żyjących pragnie i kocha.

Wreszcie stanęły konie u furty cmentarnej. Władysław wysiadł z powozu i był niebawem u grobu. Nie ukląkł jednak, tylko stanął; ręce zacisnął i patrzył na tę płytę z białego marmuru, na ten biały prosty marmurowy krzyż, taki nagi w swej prostocie.

Niebawem śnieg zaczął prószyć i prószył przez kilka minut, nie zostawiając żadnego śladu po sobie na ziemi. Ale widocznie chmura była nierada, że swego przejścia nie zaznacza na ziemi, bo wkrótce zaczęły spadać już większe, coraz większe płatki. Te zaraz zabieliły wszystko dookoła. Rósł i rósł coraz bardziej ten biały całun, marmur nagrobka i ziemia dookoła równały się kolorem, zlewały się w jedno.

Trzeci już raz od śmierci Helci widział to samo Władysław. I wstąpił w niego jeszcze smutek większy niż ten, z którym przyjeżdżał. Czuł, że choć lata mijają i nic ich biegu nie wstrzyma, on sam nie zapomni nigdy.

Nagle ten śnieg przestał go zasmucać. I owszem, myślał, niech sobie prószy, niech pada, niech jeszcze lepiej zaciera w pamięci ludzkiej ślady tej Helci jego. Pozostanie niebawem na ziemi po niej tylko ten krzyż z białego marmuru i pozostanie on, jej mąż, z wiecznie żywym bólem.

I odszedł z cmentarza, wsiadł do powozu i wracał do siebie trochę weselszy i pocieszony. Nie pocieszyła go modlitwa, bo się nie modlił, ale czuł z pewną radością, że pomimo całego zajścia w Paryżu z Dorą, pomimo tych kilku chwil szału, pozostał ten

sam, z równie silnem uczuciem, z równie silną tęsknotą, z tą pewnością, że nigdy, nigdy nie przestanie i tęsknić i kochać.

Bolcio powitał ojca cieplej niż zwykle. Na drobnych zaciśniętych usteczkach pojawiło się coś nakształt uśmiechu, oczki czarne błysnęły zadowoleniem. Jeszcze nie miał czasu się Władysław w przedpokoju rozebrać, gdy Bolcio już wołał na niego:

— Tatusz wie? już nauczyłem się dodawać, odejmować i mnożyć. Niech Tatusz przyjdzie do Madame Amélie, zaraz Tatusiowi pokażę moje kajety.

— Dobrze, dziecko! dobrze!—chwalił go Władysław, gładząc po głowie—rad jestem, że lubisz naukę. Przywiozłem ci z Paryża mnóstwo ładnych książek.

— Książki! — ach książki! — klaskał w dłonie Bolcio.

— Dobrze, do'rzel!—mówił do siebie Hojski—niech on przynajmniej nie cierpi kiedyś jak ja!—Niech wiedzą tłumi uczuciowość. Będę w nim rozwijał ten zapal do nauki.

I poszedł za Bolciem do jego pokoju, gdzie zastał starą, poczciwą guwernantkę.

Władysław przywitał się serdecznie z Madame Amélie, dziękował jej, że w Bolciu chęć do nauki rozwija, przeglądał różne kajety, pogryzmołone na wszystkie strony to dyktandem jakimś, to przepisywaniem, to zadaniami z arytmetyki.

Ale nie zdawał sobie sprawy, że w tem cieszyła go też myśl jakiegoś zajęcia dla swego własnego umysłu, że rał był znowu znaleźć pole dla puszczania na niem wodzy swojej gwałtownej, żądnej ruchu naturze.

Gospodarstwo straciło dla niego urok, odkąd

spostrzegł, że było w nim namiętnością tylko. Stało zresztą ono na porządnej stopie, nie miał w niem nic specjalnie do zrobienia w tej chwili, bo i zima nadeszła, i wszystko nadal w tem gospodarstwie trzeba było pozostawić czasowi, niech się rozwija normalnie z naturalnym biegiem rzeczy. Zrobił był przez dwa lata olbrzymie nakłady, a teraz wypadało czekać. Nie mógł przecie zrobić tak, by jakieś pole zostało w jednym roku nawiezione trzy razy. Nie, na to trzeba czasu, kolei lat.

Bezwiednie był więc rad z tego nowego zajęcia, które się odkrywało przed jego umysłem. Chwytał się go ze zwykłym zapalem. Nazajutrz zaraz napisał do księgarni warszawskiej o różne katalogi książek naukowych dla dzieci. Po wysłaniu listu na pocztę, zaczął się w parę godzin niecierpliwie potrosze, że mu jeszcze nie nadeszły te katalogi. Nie zdawał sobie jasno sprawy, że jego list leży dopiero w Jędrzejowie, na poczcie, czekając wieczornego pociągu, by jechać do Warszawy z tysiącem swych towarzyszy.

Dla zabicia czasu poszedł przeglądać swoją bibliotekę i szukać czy nie znajdzie tam czego.

Ale nie, niestety, nie było tam nic takiego, coby mu przypadło do smaku. — Sam książek nie zbierał żadnych, czasem sprowadzał dla Helci jakieś romanse lub dla siebie trochę dzieł treści agronomicznej. Po między starymi książkami były przeważnie rzeczy bez głębszej wartości; także jakieś stare powieści, broszury polityczne z minionych czasów, dziś nie przedstawiającein teresu, trochę dzieł filozofów, przeważnie Voltaire'a, który był w Polsce tak modny.

Mijały dni jednak i wreszcie nadeszły katalogi

oczekiwane i same książki niebawem. Władysław i uczył Bolcia i sam się uczył. Wszystko, co się dotyczyło kwestyi mechaniki, elektryczności, różnych wynalazków nowych miało dla Władysława specjalny interes. Zaczął sprowadzać różne przyrządy, maszyny, układał sobie gabinet fizyczno-chemiczno-elektryczny.

Siedział przy tych maszynach całemi dniami, robił różne próby, a gdy jakiś efekt wywłał, posyłał po Bolcia i powtarzał przed nim swe doświadczenia.

Z początku uspokoiło go takie zajęcie. Czuł całą jego wyższość nad jeżdżeniem z Dorą do Wersalu, Auteuil, lub po lasku Bulońskim. Żałował tylko, że dotąd miał tak mało wiedzy. Przemysliwał nawet, żeby pojechać na parę miesięcy do jakiegoś sławnego elektrotechnika w Europie i poprostu pracować przy nim, by potem, wróciwszy do domu, robić różne próby a może i wynalazki.

Bądź co bądź był Władysław w usposobieniu weselszem. O Helci nie zapominał wprawdzie, ale codzien gdy wracał do swojej sypialni, wlepiął wzrok w portret swej żony i chwalił się przed nią:

— Widzisz, drogie dziecko,—robię wszystko, co mogę, by przeżyć ten czas, który mnie dzieli od ciebie.—Ty o te moje zajęcia nie będziesz zazdrosna, nieprawdaż? Może się na coś przydam, może coś zrobię. A gdybyś żyła, to byłabyś pewnie rada, że twój Władysław czasu nie marnuje.

Jednakże, dopóki Władysław stawiał pierwsze swe kroki na drodze naukowej, szło mu jako tako.—Z nauk odbytych w gimnazyum i z nauk rolniczych w Halli miał dość wiadomości z dziedziny fizyki i chemii, by elementarne próby odbywać z sukcesem,

lecz im dalej w las, tem więcej drzew, jak mówi przysłowie.

Irytowało go, że w środku jakie doświadczenie nagle musiał przerywać, — bo w książce dokładnego opisu nie znajdował, a do specjalisty było daleko. Musiałby chyba do Warszawy lub Krakowa pojechać, by prosić kogoś z profesorów o rozwiązanie danej wątpliwości. Jednak zdawał sobie sprawę, iż to byłoby śmieszne poprostu, gdyby nagle za każdym drobnem nierozumieniem rzeczy zaczął jeździć gdzieś do miasta.

Nie przerwał odrazu swych zajęć, ale powoli mu odpadała do nich ochota.

Nadchodzące święta spotykał w usposobieniu znowu smutnem i przepełnionem niesmakiem dla swojej osoby.

Dlatego też się uchwycił skwapliwie zrobionej mu przez panią Starowską propozycyi. by wraz z Bolciem chciał w Koszowie spędzić świąteczne dni.

Zdecydował się wnet i z ożywieniem przybierał się do drogi, czuł w tej chwili potrzebę jakiegoś rodzinnego ciepła, jakiegoś poufnego stosunku. Chociaż ani Benedykt, ani p. Starowska nie byli mu mili, jednak czule i szczerze serduszko Wandy potrafiło mu obecnie ubrać i resztę mieszkańców Koszowa w różne miłe przymioty.

XIII.

Przez cały czas pobytu Hojskiego zagranicą nie o nim nie wiedziała Wandzia.

Słyszała, że wyjechał z domu i to zagranicę, ale nie wiedziała i dokąd i po co?

Jej myśli tak były wciąż zajęte obawą, by ktoś Władysława nie złapał w swe sidła, że i teraz wciąż, w tej podróży widziała toż samo niebezpieczeństwo.

I sprawdzały się na Wandzi w odwrotnym sensie słowa poety że „kto miłości nie zna, ten żyje szczęśliwy i noc ma spokojną i dzień nie tęskliwy.“

Wanda sypiała źle, nieraz się zrywała z łóżka, zapalała świecę, klękała przed obrazem Matki Boskiej i ze łzami gorące posyłała modły za Władysława.

Ale nieraz stawało przed nią pytanie, jak gdyby pochodziło od tego obrazu.

— O co prosisz rzeczywiście? Czego chcesz dla niego?

I wówczas robiło się jej gorąco, lica oblewały się szkarłatem, nie mogła przyznać ani przed Bogiem, ani przed sobą, iż prosi o to, by się Władysław nie zakochał w innej kobiecie i nie ożenił z inną.

A głos mówił dalej:

— Jeżeli pragniesz tylko jego szczęścia, to pocóż mu przeszkadzać? Może on właśnie znajdzie szczęście z inną? Prosisz więc o szczęście własne. Chcesz poprostu, by ciebie pokochał?

Ale przyznać się do tego nie mogła jeszcze Wanda! nie, ona trwała wciąż przy tem, że jej o to chodzi jedynie, by Władysław pozostał wiernym Helci.

Głos ten działał na nią jak szklanka zimnej wody; — odganiała od siebie myśli i te i owe. — Kładąc się spać, czytała w łóżku, by nie potrzebować myśleć i walczyć z logiką.

Benedykt, który częste robił do Warszawy wycieczki, a Władysława gruntownie nie lubił, z praw-

dziwą przyjemnością przywiózł raz wiadomość o nim.

— Wiesz, Wandziu, — rzekł, — że widziano tego twojego bohaterskiego Władysława w Paryżu, rozbijającego się z pewną piękną damą.

W Wandzi zawrzało na te słowa gniew, który zwyciężył ciekawość, rzekła więc z irytacją:

— Dlaczego mój? Chciałabym wiedzieć dlaczego mój?

— No, bo go zawsze admirujesz bezmiernie i stawiasz jako ideał, — szydził Benedykt.

— Ani myślę! odrzekła szorstko Wanda.

I rzeczywiście walało się jej w tej chwili, że Władysława nienawidzi nawet. Ale po pewnym czasie weszła jej na pociechę do serca wątpliwość o prawdziwości tych wiadomości przywiezionych przez Benedykta. — Po krótkim milczeniu, zagadnęła znów swego brata.

— Zkąd to wiesz?

— Nie pamiętam! — odrzekł niedbale Starowski, ktoś o tem mówił w klubie, przy obiedzie, ktoś wracający z Paryża. Drobicki czy Firlej, już nie pamiętam.

— Ale cóż mówiono? pytała niecierpliwie Wandzia.

— To, com ci mówił, — że widziano go w powo-
zie z tą sławną Dorą Z., o której pewnie słyszałaś?

Słyszała i Wandzia w istocie o Dorze Z., ale słyszała tylko to, że to jest wielkie ladaco. — Rczmowy o niej przerywano natychmiast, gdy spostrzegano, że Wanda słucha. Niegdyś, kiedy matki pytała, kto to jest Dora, odrzekła pani Starowska z najwyższą pogardą:

— Fi! *c'est une horreur!* nie mów nigdy o niej.

Jednak Wanda była tyle sprytna, by się zaraz

domyślić, że ta Dora Z. należała do tego gatunku kobiet, o których się wyrażają z pogardą. Zresztą nieraz w jakiejś książce spotkała się z więcej lub mniej dosadnym określeniem kobiet pół-świata. Wiedziała też, że się z takimi kobietami mężczyźni nie żenią. Uspokoila się więc na chwilę. Był to, jej zdaniem, ze strony Władysława jakiś waryacki wybryk: jeździć w powozie „avec une horreur.“

Ale nagle przyszło jej na myśl, że ta Dora mogła być tylko moralną „horreur.“ I dlatego wnet zapytała brata.

— Czy ty ją znasz, tę Dorę?

— Nie,— odrzekł Benedykt,— nie znam osobiście, bo już od dziesięciu lat mieszka w Paryżu, ale widziałem tysiące jej fotografii.

— Cóż, ładna? pytała Wanda.

— No! odrzekł brat, machnąwszy ręką,— ostatnie słowo piękności! Świat się kończy! jak tu mówią u nas w Proszowskiem.

Znowu brewki i nosek Wandzi zaczęły się poruszać z niecierpliwością.—Ale więcej nie rzekła nic.

Tylko od tego dnia napadła na nią faza nienawiści do Hojskiego.

— Waryatka byłam! mówiła do siebie,—dziś nie wiem sama, co mogłam w nim znaleźć takiego? Admirowałam, głupia, jego przywiązanie do Helci! Ależ on jej wcale nie kochał! Tylko jak jaki pasza turecki uważał się łaskawie kochać przez Helcię! To Helcia jego kochała prawdziwie!

A potem ją szukać zajądło wszelkich wad Władysława.

A z tą Sieńską jak flirtował w oczach Helci! Jak wciąż za nią latał! jak się umizgał pomimo iż

czuł dobrze, że Helcia cierpi. Ej nie! to był egoista tylko! Był i jest! Bóg raczy wiedzieć, com sobie upatrzyła w nim.

I tak zaszła daleko w swej nienawiści, że nawet go zaczęła w myśli porównywać z Łomskim i szaleńce przechylać na stronę Łomskiego.

— Ten, to człowiek umiarkowany, spokojny,— mówiła sobie,—na nim może polegać każda kobieta. Władysław to fantastyk! fantastyk we wszystkim! Łomski po śmierci Wandzi pewnieby z jakąś obrzydliwością nie latał powozem po mieście, niebaczny na to, co ludzie powiedzą.

Przez kilka dni była Wanda nawet dziwnie swobodna i wesoła na pozór. Wstawiała wcześniej niż zwykle, zajmowała się gospodarstwem kobiecym chętniej niż kiedykolwiek, dużo grywała na fortepianie, czytała książki poważne, chodziła szybciej po pokojach, nuciła wciąż pod nosem jakieś wesołe melodye.

Nawet Benedykt się zdziwił i zauważył tę zmianę w usposobieniu siostry. Ale coś zaczęło mu chodzić po głowie, że to usposobienie wesołe przyszło za nagle i dlatego jest nienaturalne. Dawniejsze powłóczyście, zadumane, smutne spojrzenie Wandy stało się raptem rzeźwe, wesołe niby, ale przebijały w niem i jakieś stalowe odbłyски gniewu.

— Co ci się stało?—pytał z odcieniem ironii i zaptapiając w nią swój badawczy wzrok.

— A co mogło mi się stać? — odpowiedziała opryskliwie Wanda,—taką jak byłam zawsze, jestem.

Ale Benedykt głowę podnosił do góry i z olimpijską wyższością okazywał swoją niewiarę.

Wandzia nienawidziła Hojskiego trzy dni, ale

przyszła wiadomość do Kosiłowa przez kogoś, co spotkał Władysława na stacyi kolei, że od tygodnia już siedzi w Stawianach i że wygląda źle, jakiś blady i smutniejszy niż kiedykolwiek. Na tę wieść litość znów obudziła się w Wandzi, widziała przed sobą tę ukochaną twarz, przybitą i bladą, wyrzucona na chwilę miłość wróciła z większą jeszcze siłą.

Plakała długo, robiła sobie gorzkie wymówki za to, iż posądzała Hojskiego, cały swój kobieco-logiczny gniew zwróciła teraz na Benedykta i na tego Firleja czy Drobieckiego, który wymyślał niestworzone rzeczy na Władysława.

Rezultatem tego płaczu i tych wymówek, które sobie Wanda robiła, było zaproszenie Hojskiego na święta. Naturalnie pozorem do tych zaprosin był w ustach Wandy Bolcio, nie Władysław i pani Starowska też w pierwszej chwili, gdy jej córka tę myśl podała, nie była rada temu projektowi. Wogóle mało lubiła się krępować. Przyjęcie Władysława był to znaczniejszy koszt, bo wypadało należycie wystąpić, ale w końcu myśl dawniejsza, że może Władysław o Wandzi pomyśli, zdecydowała ją.

Władysław wyznaczył swój przyjazd na samą wigilię, co dobrze się stało, bo inaczej wszystkie strucle poszłyby były na marne. W dzień przyjazdu była Wanda zupełnie do niczego. Biegała dzień cały po domu, od kuchni do gościnnego pokoju, ciągle coś przewracała, wyjmując co chwila zegarek nerwowem szarpnięciem, nie wiedziała co mówi i robi.

Bo oprócz zwykłego wzruszenia na myśl tego przyjazdu Hojskiego, była też niezmiernie ciekawa jak wygląda? czy się zmienił? Jakie wrażenie na nim

wywarła zagraniczna podróż i ta! ta obrzydliwa! której imienia nawet przed sobą nie chciała wymawiać.

Wreszcie gdy się ściemniało, dał się słyszeć zdaleka, po za budynkami gospodarskimi, kędy prowadziła droga, odgłos janczarów.

Wanda była jak nieprzytomna, i dlatego prawie obojętnie podała rękę na powitanie Władysławowi. Chcąc ukryć swoje wzruszenie, oddała się wnet Bolciowi, zaczęła go rozpinąć z futerka, rozwiązywać baszłyk na główce, ale robiła to tak niezgrabnie, taką drżącą ręką, że aż się niemal zniecierpliwiał malec.

— Niech ciocia pozwoli! rzekł, — ja sam się rozbiorę.

Gorączkowy ten stan Wandy trwał aż do chwili siadania do stołu. Tradycyjne przełamanie się opłatkami i smutne przytem dla Władysława wspomnienie sprawiło, że i w Wandzi wraz ze smutkiem zaczął i spokój osiadać.

Po obiedzie, przedmiotem rozmowy były postępy Bolcia w naukach.—Chłopczyk musiał odpowiadać na zadawane mu różne pytania, — Władysław objaśniał jakie przedmioty mu osobiście wykłada, a Wanda, znalazłszy się obok Władysława, zagadnęła go.

— Rozumiem jakie to musi być dla ciebie przyjemne zajęcie, te lekcye z Bolciem.

Właśnie w tej chwili Benedykt, wzięwszy Bolcia na kolana, opowiadał mu coś, pani Starowska przysłuchiwała się im, na Władysława i Wandę nie zwracano uwagi, popłynęła więc im łatwiej rozmowa.

-- Tak; dobrze, że chociaż mam to zajęcie, odrzekł Władysław, bo nie uwierzysz moja Wandziu, jak jest straszną ta moja samotność.

— Mój drogi,—czy myślisz, że ja ciebie nie ro-

zumiem? Przyznam ci się, że niema tego dnia, bym nie była myślą w Stawianach i nie współczuła z tobą.

Władysław spojrział na nią wdzięcznym i czułym okiem i mówił:

— Dziękuję ci, moje dobre dziecko, wiem, że jesteś dla mnie jak siostra, dlatego też z prawdziwą radością przyjąłem zaproszenie ciotki na święta. Samemu mnieby to na myśl nie przyszło. Ale gdy już koniecznie żyć trzeba, dobrze przynajmniej mieć czasem kogoś, do kogo się słowo cieplejsze przemówi, dla kogo serce zabije przychylniej.

— Szkoda tylko, mówiła Wandzia, że te Stawiany to tak daleko. Jakie to byłoby szczęście, żeby tak były o jakieś pięć wiorst. Nierazbym wtedy skierowała mój spacer konny w tę stronę.

— Ach prawda! dobrzeby to było!—rzekł, ożywiając się nieco Władysław,—a ty tak wyśmienicie jeździsz konno, odbywalibyśmy razem spacer, het, het aż za dziesiątą granicę...

— Szkoda, że to zima, dodał po chwili, — zaraz proponowałbym spacer, nie uwierzysz jak mi się nagle zachciało takiej wycieczki.

— Czyż tak? rzekła Wandzia nieco zdziwiona, myślałam, że nie jesteś wielkim zwolennikiem kobiecego sportu.

— W samej rzeczy, — odrzekł, — dla Helci obawiałem się konia, mojem zdaniem z waszem tem siedzeniem na boku, to wielki cud, jeżeli kobieta nie spadnie.—Ale ty jedna stanowisz wyjątek, ty jeździsz tak świetnie,... a przytem, dodał ciszej i trochę nieśmiało,—tak świetnie wyglądasz na koniu.

Gdy mówił te słowa, siedząc na kanapce tuż koło

Wandzi, powiódł oczami po jej pełnym biuście i jakiś błysk, jego dawny błysk odbił mu się w oczach.

Krew przypląnęła Wandzi do twarzy.—Zrobiło się jej nagle gorąco.

— Myślałam, żeś nigdy na mnie nie zwracał uwagi—odparła zmieszana.

— Widzisz,—rzekł Władysław, dawniej na myśl mi to nie przychodziło.—Ale teraz, gdyś zaczęła mówić o konnej jeździe, nagle wysunęła mi się twoja postać na koniu; może czarna suknia przypomniała mi amazonkę; ale teraz zdaje mi się, że cię widzę, jak odjeżdżasz z pod ganku, zdaje się, że widzę ten splot grubych twoich słonecznych włosów.

Chociaż Władysław mówił jej rzeczy pochlebne, nagle ogarnął ją jakiś smutek. Te komplementa odnosiły się do jej powierzchowności i pierwszy raz słyszała je z ust Władysława. Ale coś ją ubodło; wolałaby, żeby jej mówił jak dawniej, z czułością „moje drogie dziecko!“ w tych zaś komplementach brzmiała jakaś nuta ostra, może namiętna, ale lekceważąca.

Nie wiedziała jak sobie wytłómaczyć tę niechęć która ją ogarnęła niespodziewanie, przypisała, więc czemu innemu.

— Czy ty drwisz ze mnie, mój Władysławie?—rzekła mu spokojnie, niewinnie patrząc mu prosto w oczy.

Władysława zdjął żal, zdał sobie sprawę i on, że ten wzrok jego nie miał należnego dla niej szacunku

Odezwał się przeto wnet zupełnie innym tonem, łagodnym, czułym, prawie ojcowskim:

— Nie, Wandziu, nie, moja mała, nie drwię, nie drwię bynajmniej, — rzeczywiście masz ładne włoski,

bardzo ładne, ale i bardzo dobre; wyglądają takie mięciutkie jak pela, jak twoje poczciwe serce.

Potem rozmawiał o rzeczach obojętnych, o jej życiu codziennem, o Benedykcie; pytał, czemu się on nie żeni?

Rozmawiali tak długo, zdawałoby się każdemu, że mówią rzeczy najbanalniejsze, jednak Wanda była szczęśliwa, że go ma przy sobie, on zaś patrzył na nią przymkniętymi oczami, pytał, odpowiadał, ale jednocześnie jakieś dziwnie błogie owładło nim uczucie,— bezwiednie oddychał jej oddechem, wchłaniał woń jej włosów, lubował się widokiem jej świeżości i wdzięku.

Urządzone dla Bolcia paradne drzewko i radość malca pomogły do uszczęśliwienia Władysława, — kładł się z dobrem uczuciem dla Wandzi.

— Jaka ona jednakże miła, jaka dobra.

I nagle przypomniał się mu wiersz z serenady Dupratto:

— *Benedetta sia tua mamma!*

Che ti fece cosi bella!

— Nie, nie, mówił do siebie, to nie ta jej *mamma* zrobiła z niej to słodkie dziecko; to Helcia. Może ją pani Starowska stworzyła *cosi bella*—ale tę miłą duszyczkę urobiła słodka Helcia.

I, odwracając się na łóżku do ściany, zanucił sobie półgłosem tę serenadę:

— *Benedetta sia tua mamma, che ti fece cos: bella!*

— *Tu somigli ud una stella.*

— *Che dal cielo scendesti per me *).*

*) Niech będzie błogosławiona matka, co ci dała taką piękność! O ty, podobna gwiazdzie, co z niebios spłynęła ku mnie.

Lecz nagle uderzył go sens tych słów „tyś podobna do gwiazdy, co z nieba dla mnie spłynęła.“

Zerwał się, oczy wytrzeszczył jak gdyby go coś przeraziło. Zdawało mu się, że drugą część strofki powiedział nie on, ale drugi jakiś głos.

— Czyżby to mogło być? mówił do siebie — czyżby mi te słowa podszeptała Helcia? Czyżby rzeczywiście ona chciała, żeby ta gwiazdka, przez nią tak ukochana, miała dla mnie przyświecać, pocieszać po jej stracie.

I siedział czas jakiś zamysłony, nieprzytomny prawie, powtarzając szeptem,

— *Dal cielo! dal cielo!* od mojej Helci z nieba!

I przeniósł się myślą do Stawian, zdawało mu się, że wchodzi do gabinetu, że wzrok badawczy utkwiał w portret umarłej.

Ale on znał ten portret na pamięć, widział tę twarz Helci, tak pełną wyrazu, uśmiechniętą słodko i pobłażliwie.

— Czyżbyś naprawdę ty tego chciała, Helciu?— mówił. Czyżby mnie tu twoja ręka przywiodła?

A może to rzeczywiście Helcia lituje się nad nim i nad jego samotnością. Ożenić się z inną byłaby zbrodnia, ale z Wandą to co innego; ta Wanda też przecie i krwią tak Helci bliska, i duchem taka podobna. Ten duch Wandy jest bezwarunkowo dziełem rąk Helci.

— To dziwne! rzekł znowu do siebie— to wygląda jak przeznaczenie.

Nagle ujrzał wyobraźnią ostatnie tchnienie Helci, jej niepokój, gdy mu się rzuca na szyję, gdy go zdaje się prosić tym błagalnym ruchem, by ją wyrwał ze szpon tej strasznej, czarnej śmierci, która nadchodzi.

I przeżył po raz drugi tę chwilę, zerwał się na równe nogi, ten sam przestрах twarz mu wykrzywił.

I padł na kolana, łzy mu się polały z oczu, a męskie, ciężkie szlochanie przerywał słowami:

— Nie, Helciu! nie! to ja nie chcę! nie chcę za nic na świecie! Choćbyś ty nawet zstąpiła z nieba i chciała tego.

Powoli te łzy przyniosły mu ulgę. Wstał wreszcie jakiś uroczysty, przejęty błogiem uczuciem, rad, że swe chwilowe ziemskie marzenia złożył duchowi Helci w ofierze.

XIV.

Nazajutrz też wstał Hojski w zupełnie innym usposobieniu niż był oddawna.

Pierwszy raz od długiego czasu był kontent sam z siebie. Zdawało mu się, że naprawdę duch Helci zjawił się mu tej nocy i wskazał drogę do nowego szczęścia na ziemi. Lecz on odepchnął tę wspaniałomyślną ofiarę.

Rad był z siebie dnia tego i to się odbiło na całym jego usposobieniu. Wstał bardziej rzeźwy, już się przestał mar namiętnych obawiać, jeżeli mu nawet Wanda sprzyja, to się braterską czułością jej odplaci i tyle tego.

— Będę dla niej ojcem—mówił do siebie, będę jej ojcem, jak Helcia była duchową matką, sam jej znajdę męża, który będzie jej godzien, uszczęśliwię

ich, i będę się przechwalał przed Helcią, żem i Wandzi nie skrzywdził i jej wiernym pozostał.

A myśląc tak, wyciągał ręce ku górze i wołał:

— Helciu! Helciu! ty duszo moja! jedyna duszo!

Powitał dnia tego wszystkich cieplej, z Bolciem się pieścił dłużej niż zwykle; pojechano do kościoła na nabożeństwo i tam się modlił goręcej niż kiedykolwiek.

Wesołe kolendy, które lud śpiewał, podobały mu się dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek.

Pod wpływem tego usposobienia rozmawiał dnia tego dość długo z Benedyktem, a potem z panią Starowską; był dla obojga uprzejmy, życzliwy jak nigdy, aż się dziwili oboje sami w sobie, dlaczego to Władysław dziś taki przyjemny i łatwy w obejściu.

— Aha! pomyślała w końcu pani Starowska. To jasne jak dzień! chce się widocznie starać o Wandzię.

Co prawda po chwili przebiegła jej myśl, że znowu Władysław tak bardzo nie potrzebowałby jej nadskakiwać, by mu rękę Wandy oddała.

Nawet i matka Władysława była tylko szlachcianką. Babka była hrabianka Mortęska, co prawda, ale zawsze babka a matka to nie to samo.

Spełniwszy obowiązki grzeczności względem matki i syna, resztę dnia postanowił przebyć głównie w towarzystwie Wandzi. Miał nawet zamiar mówić jej o małżeństwie, radzić, by zrobiła jakiś wybór.

— Cóż? moja mała, rzekł pieszczotliwym głosem, przysiadając się do niej — powiedz mi, jak tam stoi z serduszkim? Czy nie przemówiło do kogo?

Wandzi się zdawało w pierwszej chwili, że Wła-

dysław zwaryował lub chce drwić z jej miłości, którą dojrzał wreszcie.

— Jakto, Władysławie? — rzekła zmieszana i czerwieniąc się mocno — co chcesz powiedzieć? nie rozumiem.

— A to dobre! roześmiał się Hojski. Jakto nie rozumiesz? cóż naturalniejszego jak moje pytanie?

Wandzia przełknięty wzrok zwróciła na niego z takim wyrazem jak gdyby go prosiła o litość, Władysław się zdziwił, bo nie pojmował, co Wandę tak niespodziewanie wzruszyło. Jął więc mówić do niej cicho, łagodnie:

— Wandziu! Czy ciebie czem obraziłem niechcący, że się tak dziwnie na mnie patrzysz. Może masz mi za złe, że twój stary przyjaciel i dawny opiekun tak się chce wdrzeć w tajniki twego serca?

Głos ten, już poważny, uspokoił Wandę.

— Nie, Władysławie — odrzekła, pokręcając głową — ja dla ciebie nie mam żadnych sekretów.

— Ja też tak myślałem — mówił Władysław — dlatego moje pytanie zdawało mi się naturalnem. Oto na przykład pamiętam, że ci przed paru laty asystował ten wasz sąsiad Łomski, myślałem więc, że może wreszcie serduszko panny dobrodziejki pozyskał?

— Cha, cha, cha! Łomski! — zaśmiała się Wanda szyderczo.

— No, prawda! — rzekł Władysław — bie łączysko niepokąźny, to prawda! — ale to zdaje się bardzo dobry człowiek; już wtedy robił na mnie wrażenie, że cię kocha prawdziwie i że dla niego na świecie albo ty — albo żadna.

— Cóż robić! — odezwała się Wanda niby z ubo-

lewaniem—żałuję go, ale niestety dla mnie ani ten, ani żaden.

— Jakto, ani żaden? tak ostro? Żaden na świecie?—podrwiwał Władysław.

Ale Wandzi na lzy się zbierało, nie odpowiedziała więc nic, tylko kręciła główką na znak, że nie chce nikogo stanowczo.

Przy wstrzymaniu się jednak od łez, zrobiła bródką taki ładny nerwowy ruch, tak się wdzięcznie osunął jeden kącik jej ust, że Władysławowi coś w oczach błysnęło. Nachylił znów głowę trochę bliżej i mówił jeszcze ciszej:

— Ale nie można, mościa panno! — nie można! To złodziejstwo! to krzywda wyrządzona ludzkości! Kto, chcąc płakać, bródkę tak ładnie marszczy, nie powinien pozbawiać kogoś, gdzieś na świecie rozkoszy patrzenia chociażby na bródkę zmarszczoną. A ta szyjka różowa? a ta główka zgrabna? a ten no ekształtny?—miałyby nigdy do nikogo nie należeć?

Lecz Wanda pomimo iż oczy miała zamknięte, dusząc swe lzy, poczuła znowu na sobie ten palący wzrok Władysława, który jej chodził po szyi, po twarzy, zatrzymywał się na jej ustach, piekł i gwałcił prawie te wdzięki panińskiego lica. Znowu jej skromność została nieprzyjemnie dotkniętą, znowu coś ją napępiało strachem wobec Władysława. Usunęła się lekko od niego.

Władysław oprzytomniał. Poczul znów, że brutalna namiętność wstępuje w grę! Ze złości wewnętrznej na siebie ścisnął się za kolano z całej siły, i zmienił ton.

— Czy cię to obraziło? bo doprawdy mam trochę racyi. Wierzaj mi, że jestem zupełnie szczery,

gdym mówię, że nie masz prawa krzywdzić kogoś gdzieś na świecie, który ci przeznaczony i któryby z tobą szczęście znalazł.

— Jakie szczęście? co za szczęście mogłabym ja komu dać—odrzekła Wanda, otwierając wreszcie swe wielkie niebieskie oczy, pełne kryształowych, przezroczystych łez, i patrząc na Władysława.

Te łzy w oczach jeszcze bardziej rozczuliły Hojskiego; chwycił ją za rękę, mówiąc do niej pokornie:

— Mój Wandziuś! mój miły Wandziuś, i wczoraj wieczór i dziś zauważyłem, że gdym mówił o twojej powierzchowności, to się coś niby w tobie kurczyło, usuwałaś się z niechęcią. Dlaczego? Może myślisz, że nie jestem szczery, że mówię czcze komplementa, że z ciebie drwię?

— Sama nie wiem!—odrzekła Wanda.

— Otóż nie, Wandziu—ciągnął Władysław—stanowczo nie drwię—a jeżeli jeszcze o tem wątpisz i nikt ci nie powiedział tego, to wiedz odemnie: Tyś bardzo ładna, Wandziu, nadzwyczaj ładna, tyś rozkoszne stworzenie...

Ale gdy znowu coś w Wandzi sztywnieć zaczęło, dodał Władysław:

— Mówię ci to ja, stary, jakbym własnej córce powiedział.

— Oprócz tego—ciągnął dalej, chwytając ją za rękę—ma też moja mała Wandzia skarby duchowe nielada. Główka bardzo otwarta, bardzo ciekawa, serce szlachetne jak rzadko, prawość niesłychana, twój mąż mógłby ci zaufać zupełnie. Kokieterji płaskiej ani na lekarstwo...

Wandzia, która bezwładnie dotąd trzymała swą

rękę w rękę Władysława, uścisnęła mu teraz dłoń i z wdzięcznością spojrzała na niego.

— Nie mógłbyś mi nic przyjemniejszego powiedzieć! — rzekła — szczególnie o tej kokieteryi;— tak nie cierpię kokietek!

Długie rozmowy, przeplatane nieraz wybuchem, jak można najlżejszym, ale zawsze wybuchem namiętnych słów—prowadził Władysław z Wandą przez parę dni.

Benedykt był rzadko z nimi, pani Starowska spędzała większą część dnia w swoim pokoju na modlitwach i rozmyślaniach — czasem przesiadywała w salonie, ale wtenczas najczęściej brała w rękę karty i ciągnęła pasyansy, zatapiając się w nich całym umysłem.

XV.

Prawie całe dni spędzał Hojski w towarzystwie Wandy, siedząc zawsze na tej samej kanapce w rogu pokoju, czując koło siebie ciepło bijące od niej, wdychając woń jej perfum, słuchając w niemej rozkoszy tego głosu, który czasem wiercił mu w sercu jak świrdrem.

Nieraz myślał o ucieczce, ale brak mu było siły. Nieraz przenosił się myślą do tego obrazu konającej Helci, ale już obraz nie chciał wrócić. Przeciwnie, wciąż tętniały mu w uszach słowa z serenady Du-pratto:

— „Tyś podobna do gwiazdy, co dla mnie spłynęła z nieba“.

— Gwiazda! gwiazda! żalił się sam przed sobą, ukrywszy twarz w dłoniach. Nowa namiętność, nie żadna gwiazda! tylko że już sił nie mam, chyba zwaryuję.

I nękał go obraz Wandzi po całych nocach. Widział ją przed sobą wciąż w najróżniejszych postaciach, to taką, jak codzien w czarnej sukience, od której twarz jej różowa odbijała tak ładnie—to znowu w sukni białej, gładkiej, w której na pierwszy dzień świąt wyglądała jak lilia z zatkniętym w kielichu różowym pączkiem.

Wreszcie przyniosła mu chwilę spokoju myśl, że może go Wanda nie kocha. Mogła go kochać jak brata, jak go lubiła dawniej, ale od tej miłości do innej daleko. Zresztą dziwnie czysto i prosto patrzyła mu w oczy, by go miała kochać prawdziwie.

— Tobym się wybrał—reflektował sobie—mówiąc jej o swojej miłości. Może samaby mną wzgardziła za tę moją niepamięć o Helci. „Ładny to mąż, rzekłaby pewnie—co żony zmienia jedną po drugiej jak czapki lub kapelusze:“ Sinobrody!

Pewnego dnia po źle przespanej nocy wstał taki zmęczony, przybity, że namiętności ucichły na chwilę. Postanowił koniecznie dnia tego wyjechać i to wyjechać zaraz, nim się zbliży szara godzina z tą upajającą pogawędką.

Zaraz więc po rannej kawie kazał konie zaprzęgać i żadne prośby nie zdołały go zatrzymać. Zresztą i zatrzymywano go słabo, dla formy jedynie. Ostatecznie przesiedział w Kosiłowie tydzień i mógł się

znudzić w ich towarzystwie. Szczególnie bała się tego Wandzia.

Mroźny wiatr, dmący z północy, wytrzeźwił nieco rozgorączkowaną głowę Władysława.

— Jeżeli już chcesz koniecznie—rzekł do siebie to lataj za Dorą, tej daj spokój!

W Koszowie zaś po wyjeździe Hojskiego—zaczęła się nieco trwożyć pani Starowska, że się nie oświadczył Władysław. Czyżby i ta jej nadzieja nie ziściła się? Przecie tak rozmawiali długie godziny sam na sam. Mogłoby się zdawać, że się porozumie-
li w tym względzie.

Próbowała pani Starowska wypowiedzieć Wandę, ale ta odrazu postanowiła, że zamknie wszystkim usta.

Chcąc odwrócić uwagę od siebie, zaczęła sama mówić o projektach małżeńskich dla Benedykta. Karnawał się zbliżał, trzeba było, jej zdaniem, żeby Benedykt jechał do Warszawy i starał się ożenić koniecznie.

— Tego zdania był też Władysław — mówiła matce — małżeństwoby najlepiej mogło oddziaływać na jego charakter.

Benedykt nie miał zbytnej ochoty. Oto już czwarty rok jeździł daremnie na te karnawały.

Gdy go matka i siostra pytały, czemu ciągle jeździ a nie zrobi wreszcie wyboru, zbywał je Benedykt półsłówkiem.

— Nie tak to łatwo! — mawiał—jednaby mi się podobała, ale tejby mi nie dali, drugąby dali, ale ja-
bym nie chciał. Myślicie, że to tak prosta rzecz oże-
nić się.

Czego jednak nie wyjawiał Benedykt, to tego,

iż co roku brał kosza od jakiejś panny w czasie karnawału, a potem drugiego w jesieni. Nie wiodło mu się strasznie i to z wielu powodów. Najprzód zaczął patrzeć niezmiernie wysoko. Myślał, że Firleje, Brzeżańscy, Dolscy przyjmą go z otwartymi ramionami. Niebawem się przekonał, że tak nie jest w istocie. Zaczął w swoich pretensjach coraz zjeżdżać niżej — ale już wiadano powszechnie o jego paru koszach, więc żadna panna nie chciała jakoś być oryginalniejszą od innej.

Jako partya był sobie Benedykt ni to ni owo. Majątek ziemski posiadała rodzina, więc łatwo było na tej kanwie trochę podhaftować. Z dwudziestu włók zrobić 30, często mówić o swoich lasach, bo rzeczywiście miał Kosiłów włókę zagajnika. Starowscy dawniej byli majątni, więc łatwo było wmówić, że i on jest zamożny. Ze względu na urodzenie i wychowanie był zupełnie „correct“.

Dla jednych był za małą partyą, a dla nikogo nie był partyą dobrą prawdziwie. Mogła w wyborze go na męża decydować jedynie miłość — a tej nie potrafił wzniecić nigdzie Benedykt. Wogóle nie był on przez panny lubiany, sceptyczny, zawsze drwiący, zawsze nadęty, bez krzty entuzjazmu, nie mógł wzruszyć żadnego serduszka. Powierzchnowość miał przyzwoitą, ale nią nie mógł zachwycić.

Jego rozmowa była więcej inteligentna i mniej banalna, niż ta, którą prowadzi zwykle światowa młodzież. Ale ten był ładnym chłopakiem, tamten bardzo majątny, trzeci wesoly i „bon enfant“. Benedykt zaś posiadał tylko drobne wady i śmieszności.

Ciągłe niepowodzenie gryzło go niezmiernie. Nie wiedząc czemu te przypisać, we wszystkim wi-

dział ten swój magnetyzm tam, gdzie mógł być i tam gdzie inne działały przyczyny.

Zapominał także Benedykt, że chcąc być kochanym, trzeba kochać choć trochę. Starowski zaś przystępował do każdej panny na zimno. Kochać możeby i mógł, ale się bał.

Gdy był jeszcze studentem, miał romans z jakąś podtatusiałą kokietką, która była właśnie w tym wieku, w którym się specjalnie lubi studentów. On zaś był pijany szczęściem i dumą. Pani Y. liczyła w swej przeszłości niemałe sukcesy. Rad więc był Benedykt, że jest jednym z wybranych. Ale niebawem pani Y. zarzuciła sieci na jego kolegę i przyjaciela, ładniejszego chłopca.

Benedykta spotkał strasznie gorzki zawód, tembardziej, że duma w nim więcej cierpiała niż serce.

Później Benedykt kochał się w Helci przez parę lat i chociaż ta miłość już uleciała dawno, nosił zawsze fotografię kuzynki na sercu. Ponieważ żadna nowa miłość nie zastąpi tamtej, nie było więc powodu tej fotografii składać do archiwów. Nawet gdy Helcia umarła, Benedykt usposobiony ponuro i lubiący dramata myślą przeżywać, napiął na tej fotografii dwuwiersz własnego układu:

„I będę wiódł dalej swój żywot mizerny,
Wierny ci do grobu i za grobem wierny“.

Od tego czasu co prawda oświadczał się Benedykt pięć razy i dostał pięć koszów, ale patrząc rzadka na tę fotografię, tłómaczył się przed sobą iż, oświadczając [się tyle razy, nie kochał jednak ani razu.

Ulegając namowom matki i siostry, podążył Benedykt w końcu stycznia do Warszawy, chcąc próbować raz jeszcze.

Miał na widoku tym razem najstarszą z panien Warszyckich.

Chociaż rodzina Warszyckich należała do najwyższej arystokracji, nie tracił jednak Benedykt nadziei. Hr. Zdzisław miał sześć córek, a fortunę na magnata nieznaczną. Dwie starsze były wyjątkowo nieładne i już przekroczyły trzydziestkę. Trzecia z rzędu, bardzo miłutka, wyszła przed rokiem za hr. Hylzena i zrobiła doskonałą partycję, starsze zaś jakos szczęścia nie miały dotąd.

Ale niespodziewanie dowiaduje się Benedykt, że druga z rzędu, Celina, zaręczyła się zaraz na początku karnawału z młodym Chomicim.

Był to młodzieniec bardzo bogaty, co prawda, ale parweniusz najczystszej wody. Nie był on nawet Chomicim, bo jego pradziad nazywał się poprostu Chomicz i był członkiem liczego rodu Chomiczów, zaludniającego różne wsie w gubernii grodzieńskiej. Ale powoli z Chomicza zrobił się Chomicki, dziad i ojciec powiększali różnemi sposobami swoje mienie i dziś p. Adolf Chomicki stał na czele 14-stu folwarków w gub. mińskiej.

Był, co prawda, wychowany starannie, rodził się i on i jego ojciec ze szlachcianki, skończył uniwersytet, był rządny jak jego przodkowie, wiele więc za nim rzeczy przemawiało.

Stary hr. Warszycki machnął ręką na to pochodzenie, a ostatecznie pocieszał się myślą, że przyszłe stanowisko wybitne nowego rodu Chomickich będzie

się zaczynało od tego, że się p. Adolf Chomicki ożenił z hrabianką Celiną Warszyczką.

Benedykt inaczej jednak patrzył na tę kwestyę. Miał on za wysokie wyobrażenie o znaczeniu krwi i pochodzenia przy końcu XIX wieku. Myślał, że skoro hr. Warszyccki mógł zrobić tak rozpaczliwy krok z małżeństwem swej drugiej córki—to przecie się ani chwili nie zawaha oddać starszą jemu, Starowskiemu, szlachcicowi czystej krwi i senatorskiego rodu, imiennikowi pana kasztelana lwowskiego.

Przytem panna Amelia, najstarsza z panien Warszyczkich, nie było mu wstrętną; była brzydka co prawda, ale nie miała w sobie nic odpychającego dla Benedykta. A szczególnie zaprzętała mu głowę myśl, jak zaimponuje sąsiadom tą wieścią, że niebawem połączy go węzeł dozgonny z córką tak magnackiego rodu. Widział już swoją matkę mdlejącą ze szczęścia.

— Pocziwe matczysko!—mówił do siebie Benedykt—co to będzie dla niej za radość niespodziewana. Nic jej nie powiem przedtem, by w razie niepowodzenia, którego ostatecznie nie przewiduję—nie martwiła się po niej.

Dlatego też stanąwszy w Warszawie, Starowski zaraz się postawił jako kandydat do panny Amelii. Pierwsza jego wizyta była u Warszyczkich, a później u bliższych ich koligatów — pierwszego kontredansa i pierwszego mazura tańczył z panną Warszyczką. Na vis-à-vis do wszystkich tańców wybrał sobie Herburta, swego kolegę, ułomnego nieco i niepokąźnego—ale Herburta. Zaznaczał tem, że potrafi swą przyszlą żonę utrzymać zawsze w doborowym towarzyskiem kółku.

Hr. Zdzisław z początku nie zauważył tej kandydatury. Co do Amelii stracił był dawno nadzieję.

Ale panna sama zwróciła ojca uwagę na dziwne postępowanie Starowskiego. Mówił jej w tańcu, wprawdzie „à mots couverts“, ale takie rzeczy...

—Aa!—rzekł hr. Zdzisław—a to może i niezleby było, przywoity chłopiec—jakże ci się podoba?

Romantycznej Amelce podobało się już tylu, że obecnie nie było przyczyny żadnej, by się Starowski miał nie podobać.

— Dosyć mi się podoba, odrzekła uśmiechając się naiwnie i spuszczać oczy.

— Trzeba to będzie rozważyć!—rzekł hr. Zdzisław, marszcząc brwi i pociągając dym cygara—tymczasem by go bliżej poznać, zaproszę go na obiad.

Benedykt oczom nie chciał wierzyć, gdy, wróciwszy któregoś dnia do hotelu, zastał zaproszenie.

— Finita la comoedia!—rzekł do siebie z uśmiechem tryumfu—zdaje się, że teraz dołiłem celu.

Na obiedzie u Warszyckich było niewiele proszonych osób,—ale dosyć liczne domowe kółko. Ten fakt, że jest jednym z niewielu wybranych, jeszcze Benedykta więcej ucieszył. Posadzono go u stołu przy pannie Amelii, nieraz w czasie obiadu zwracał się hr. Zdzisław do niego.

Wszyscy dla niego byli usposobieni życzliwie, panna Amelia uśmiechała się uprzejmie, obnażając już trochę żółte niestety ząbki, nawet obcy się zwracali do niego uprzejmiej niż zwykle.

Benedykt rósł i rósł, powodzenie mu dodawało odwagi i pewności siebie, jedna tylko osoba razila go niewymownie i tak silnie, że aż zapominał czasem języka w gębie, gdy spojrział w tę stronę.

Tą osobą był hr. Zygmunt Warszyci, najstarszy syn hr. Zdzisława. — Mężczyzna trzydziesto-dwuletni, wysmukły, przystojny i pański jak jego ojciec, różnił się jednak od ojca wyrazem ponurym i ostrem spojrzeniem.

Hr. Zygmunt w stronę Benedykta nie spojrzał ni razu. Przyjechał był ze wsi tego samego ranka za interesem, zapoznał się z Benedyktem przed obiadem, ale ignorował go zupełnie.

Mając subtelną wdech, Benedykt poczuł w nim wroga; czuł nad sobą tę magnetyczną wolę, silniejszą dziesięćkroć od jego woli i której przelamaćby nie potrafił. Próbował jednak ułagodzić ją, pozyskać. Dlatego też po obiedzie, gdy panowie popijali kawę, likiery i palili cygara w osobnym pokoju, Benedykt zbliżył się umyślnie do hrabiego Zygmunta i bez żadnych uniżeń, ale naturalnie, swobodnie, rozpoczął z nim rozmowę.

— Hrabia przyjechał ze wsi?

— Tak jest! odrzekł sucho Zygmunt, ciągle majstrując w zębach wykałaczką.

— Słyszałem, że hrabia jest wielkim amatorem gospodarstwa?

— Lubię je — odrzekł Warszyci.

— To jest rzadka rzecz w dzisiejszych czasach, zauważył Benedykt. — szczególnie gdy się może robić coś innego.

— Jakto coś innego? zapytał zdziwiony Zygmunt.

— No, bawić się! odrzekł z uśmiechem Starowski.

— Ach, bawić się! myślałem, że pan mówisz o innym gatunku zajęcia.

— Nie, właśnie myślałem o zabawie, rzekł Benedykt, innego gatunku pracy dla nas niestety niema.

Warszycki nie odrzekł nic i znowu skrobał w zębach.

— A jaki wydział gospodarstwa najwięcej pana interesuje? — pytał Benedykt, nie chcąc dać upaść rozmowie.

Zygmunt zrobił głową i ręką ruch, który miał znaczyć, że żaden go wydział nie interesuje specjalnie.

— Słyszałem, że hrabia w Augustowie sadzi dużo lasów.

— W samej rzeczy, sadzę, trzeba coś przecie zostawić dla przyszłych generacji.

— Ach prawda! ciągnął Benedykt, u nas tak rzadko o tem myślą.

Na ustach Zygmunta zjawiał się nieznaczny uśmiech i rzekł sam do siebie:

— Pewnie temu durniowi ojciec zamało zostawił.

— Rzeczywiście, mówił znowu Starowski, u nas mylnie mają zapatrywania o wartości lasów. Naszej generacji brak cierpliwości, by czekać tak długo, — a ostatecznie las rośnie prędko. Nam się zdaje, że to tylko życie prędko leci, — ale nie, wszystko postępuje tak samo. Po latach piętnastu, dwudziestu ma się już z lasu korzyść, a leśne gospodarstwo to i rzecz spokojniejsza i dochód pewniejszy niż rola. Las nie podlega nadprodukcji, fluktuacyom w cenach, coraz go mniej. Ja gospodaruję na żyznych ziemiach, ale niemniej dbam o mój kawał lasu i przyznam, że wolałbym mieć leśny majątek, niż tę niby sławną glebę.

— A w jakich to stronach? zapytał w końcu

Zygmunt, czując, że wypada wreszcie coś do konwersacyi wtrącić.

— Mam majątek w Proszowskiem.

— Aha! odrzekł Warszycycki, wracając do swoich myśli i swego piórka.

Próbował jeszcze z kilku beczek Benedykt, ale jakoś rozmowa nie szła. — Mówił mu o różnych krewnych młodej hrabiny Warszycyckiej z domu księżniczki Sołomereckiej; — ale i tem nie zdołał rozruszać Zygmunta, który gniewał się na rodzinę swej żony, że dała mu mniejszy posąg niż myślał. Zakochał się był wprawdzie w uroczej księżniczce Stelli, ale dziś był zły zato na siebie i na nią. Żeby nie ta miłość, ten wielki jego zdaniem zbytek, to byłby mógł się ożenić bogaciej.

Powrócono wreszcie do salonu, Starowski rozmawiał jeszcze dosyć długo z panną Amelią.

Benedykt wracał pieszo, dosyć kwaśny; czuł, że wszystko poszłoby dobrze, gdyby nie ten Zygmunt. Rzeczywiście też nie omyliło go przeczucie, bo zaraz po jego wyjściu zaczął stary hrabia z synem w gabinecie następną rozmowę:

— Zwróciłeś uwagę na tego Starowskiego? zapytał syna.

— Cóż to za jeden? rzekł Zygmunt.

— Zdaje mi się, że się będzie starał o Melcię.

— O Melcię?—A to amator! zadrwił Zygmunt.

— No przecież tak brzydka znów nie jest, odrzekł hr. Zdzisław obrażony w swej ojcowskiej dumie.

— Nie rozumiem doprawdy ojca, rzekł Zygmunt, powstając i przechadzając się po pokoju. — Poco ma Melcia wychodzić za mąż?

— No mój kochany, - chociażby dla jej własnego szczęścia—zauważył hr. Zdzisław spokojnie.

— A cóż to za szczęście?! Raptem wielkie szczęście wyjść za jakiegoś gołego osła, co kroi na jej posag i na stosunki.

— Przecież Amelka tak znowu bogata nie jest, by miała na jej posag kroić. Sześćdziesiąt tysięcy „ce n'est pas le bout du monde“. Mógłby więcej znaleźć Starowski.

— Ależ mój ojcze, dla jakiegoś szlagonika, to i 60,000 wystarczy. U nas to za mało, ale dla niego, „cela ne se mouche pas du pied“.

— Chciałbym przynajmniej wiedzieć czy on sam co ma? dodał Zygmunt, —jeszcze pół biedy to małżeństwo Cesi z Chomickim, chociaż i to sensu nie miało; przynajmniej to nowa siła pozyskana dla rodziny,—ale ten jakiś wyłysiały drągal, sztywny jak-gdyby kij połknął, jeżeli ma być jeszcze goły jak kij... no to winszuję.

— O fortunie jego dokładnie nie wiem, mówił hr. Zdzisław,—znałem Starowskich w Galicyi, to byli zamożni ludzie. Zresztą właśnie mam zamiar być jutro u Karnińskiego, Rady Dyrekcyi Głównej. On z tamtych stron; pewnie coś wie, a zresztą oni tam w Dyrekcyi znają wszystkie szlacheckie fortuny w naszym kraju.

Nazajutrz był hr. Zdzisław u radcy Karnińskiego w Dyrekcyi i zaraz mu zaczął radca wyluszczać wszystkie szczegóły Kosiłowa. Ziemi ogółem 614 morgów, I klasy 428, drugiej 100, łąk dwukośnych 20, graniczą na wschód i na zachód z gruntami wsi tegoż nazwiska, oddalone od miasta powiatowego tyle to, a od rzeki splawnej tyle to: wysiewy roczne przy-

puszczalnie pszenicy korecy 150, buraków 40 morgów nowopolskiej miary...

— To bardzo dobrze,—kochany Radco,— ale powiedz mi proszę, co to warte.

— A cóż—rzekł Radca, 614 morgów po 4000 rs. włóka, to jakich 82,000 rs, na tem pożyczka nieumorzona dziś około 20,000, to wynosi netto kolo sześćdziesięciu tysięcy. Czy ma długi hypoteczne, nie wiem. Wypadałoby to na ich troje po 20,000, a po najdłuższem życiu matki...

— Tylko dwadzieścia, tylko dwadzieścia... syknął hrabia—zamyślając się smętnie.

— Przepraszam, — rzekł Radca, — a czy wolno wiedzieć dlaczego to hrabiego obchodzi?

— A no widzisz, mój drogi, zdawało mi się, że ten młody Starowski nosi się z jakimiś zamiarami co do mojej starszej córki. Może się mylę, ale tak mi się zdawało; chciałem więc na wszelki wypadek...

Karniński poskrobał się w głowę i zrobiło mu się żal Starowskiego; mieszkał niedaleko, prawie w sąsiedztwie, pamiętał jak przed dwunastu laty nieboszczyk pan Starowski strasznie na wyborach gardłował, by jego, odwiecznego radcę dyrekcyi szczegółowej, przeniesiono do Dyrekcyi Głównej. — A teraz wyświadczył niechęący taką usługę jego synowi.

— Widzisz bo hrabio, — mówił Karniński, — ja może zresztą trochę przesadzam in minus, jestem pesymistą; trudno nim nie być w tych czasach, kiedy pszenica nie dochodzi pięciu rubli. Ale co się tyczy Kosiłowa, to może trochę rachuję za pesymistycznie. Kosiłów to śliczny majątek, pewnie wart za włókę 5000 a może i wyżej. Wówczasby wypadał inny rachunek. 20 włók po 5000 to 100,000 rs. Pożyczka

20,000 odchodzi, zostaje do podziału między brata i siostrę 80,000 to znaczy że ma 40,000.

— A no, jednak zawsze to mało, to bardzo mało,—mówił hr. Zdzisław, — zresztą jak ci mówiłem, może mi się tylko zdawało, że on się stara, a może on ani myśli.

Wyszedł hrabia z gmachu Towarzystwa, zupełnie zdecydowany na to, że nic z tego małżeństwa nie będzie. Zapewne i z posagu Melci mógłby żyć, ale cóż to za życie? A jakby nie dali sobie rady, to musiałyby mu co rok dodawać. A po jego śmierci? wówczas Zygmunt nie dałby grosza. Oho! Zygmunt.

Nazajutrz też na balu u hr. Brzeżańskiej, Benedykt, który wszedł do salonu z olbrzymią pewnością siebie, jako już prawie Warszyci, — zdziwił się niepomrotnie, że mu panna Amelia z oczami spuszczone mi i z miną smętną odnowiła tańca, twierdząc, że jest bardzo zmęczona.

Rozkazał jej tak postąpić hr. Zdzisław, chcąc odrazu odjąć młodzieńcowi wszystkie nadzieje.

Benedykt myślał, że go krew zaleje. Nie wierzył własnym uszom, przysiadł się jeszcze do panny, by z nią porozmawiać i bliżej zbadać, co jest przyczyną tej zmiany.

Ale zaledwie siadł, podbiegła do siostry pani Celina i rzekła jej.

— Melciu, ojciec chciał ci coś powiedzieć.

Błada, trzydziestopięcioletnia dziewczica wstała, zrobiła tęskny dyg w stronę Benedykta i odeszła za siostrą.

Starowski pozostał jeszcze na krześle jak onie miały. Tak się był zżył z tą myślą, iż nie chciał uwierzyć.

— Może to ta gęś jakieś sztuki wyrabia, rzekł do siebie przez zęby, ale to być nie może, żeby od wczoraj zmieniło się wszystko

Wstał i poszedł szukać hr. Zdzisława, chcąc poznać po jego przywitaniu, jak też jest usposobiony.

Znalazł go zajętego rozmową z hr. Wacławową Brzeżańską, która przed kilku dniami przyjechała ze Lwowa.

A że jej nie znał Benedykt, postanowił z tego skorzystać, by go hr. Zdzisław przedstawił.

— Dobry wieczór hrabiemu!—rzekł Benedykt.

Hr. Zdzisław się zerwał i witał się z nim bardzo grzecznie, biorąc za obie ręce, ale robiąc takie oczy, jakgdyby go nie poznawał.

— Dobry wieczór! dobry wieczór! mówił słodziutko.

— Może hrabia zechce mnie przedstawić hrabinie Brzeżańskiej, — prosił Starowski.

— Hrabinie Brzeżańskiej? a bardzo dobrze, bardzo chętnie, mówił hrabia, lykając ślinę.

— Pani hrabino,—rzekł zwracając się do hrabiny, — Pani pozwoli, że jej przedstawię, — pan... pan...

I tu się zwrócił do Benedykta z miną rozpaczliwą, jakgdyby nie mógł przypomnieć sobie jego nazwiska.

Benedykt skostniał cały i rzekł głosem ponurym:

— Starowski!

— Ach Starowski! przepraszam! Starowski! ach cóż to za przekłeta pamięć. Pan nawet byłeś u mnie wczoraj na obiedzie, cóż to za przekłeta pamięć!...

Benedykt zakręcił się na pięcie i odchodził szybko, mówiąc do siebie:

— Nie przeklęta pamięć! ale ty przeklęty osioł, i mój przeklęty los! i przeklęty dzień, w którym przyszedłem na świat i przeklęte wszystko! wszystko! wszystko!

Pędził jak opętany, zboczył ku oknu, by wziąć swój szapoklak, i szedł wciąż dalej przez inne salony, dążąc ku wyjściu.

Gdy był na schodach, gwałtownym ruchem otworzył szapoklak, wsadził go na głowę i szukał w kieszonce od kamizelki numeru od swojego palteta.

Wreszcie znalazł ten numer i rzucił nim prawie w twarz portyerowi.

— Siedemnasty! tylko prędko! rzekł tonem rozkazującym.

Portyer patrzył na niego jak na waryata, poszedł jednak wolnym krokiem po palto.

Tymczasem dwóch młodych ludzi schodziło ze schodów.

— Beniu! Benedykcie! zawołał jeden z nich, poznawszy Starowskiego.

— A co tam? odmruknął Benedykt.

— Co tam?! poczekaj na nas, co cię tak opętało, że uciekasz jak waryat.

Słowa te mówił były sąsiad Starowskiego, Aleksander Słucki, od lat kilku zamieszkały w Warszawie.—Drugim był Artur Mortęski, krewny Hojskiego.

Benedykt stanął już w paltocie przed schodami i mówił:

— Cóż tak idziecie wolno, stąpając, jak bogowie schodzący z Olimpu?

— A ty po co tak śpieszysz? masz *randkę* czy co? co cię tak goni? pytał Mortęski.

— Nic nie goni, chce mi się spać.

— Spać o 12 ej! już to nie łżyj, proszę, — rzekł Słucki.

Zeszli wreszcie na dół i Benedykt ich pytał:

— Czegoż chcieliście odemnie?

— Dokąd idziesz?

— No do hotelu, spać.

— Et, będziesz głowy zawracał, — mówił Mortęski, — co się stało nagle, że uciekasz z balu, ledwie się zaczęła. Dawniej zawsze dosiadywałeś do końca.

— Dosiadywałem, prawda, ale przyznacie sami, że tak po czwartym karnawale, to człowieka znudzą szalenie te bale.

— A widzisz, — mówił Słucki, — ja bo nigdy na balach nie bywam, czasem wstąpię na chwilkę, żeby się pokazać, przez grzeczność. Ty zaś te bale brałeś na seryo.

— Amator babich wdzięków, drwił Mortęski.

— A wy to co?

— No już my to nie latamy po salonach za białogłowami, bronił się Słucki.

— Może nie po salonach...

— I tak niebardzo.

— Wyście sami kobieciarze jak wielu innych, jeszcze gorsi, — bo my, wytańcujemy się na balach i idiemy spać, w dzień siedzimy spokojnie.

— A cóż my?

— Wy, to czy w dzień czy w noc, musicie być w towarzystwie dam.

— Jakto? kiedy nas gdzie widziałeś?

— No może nie w towarzystwie dam żywych, to przynajmniej kadryl tych czterech dam, pikowa, treflowa, kierowa i karowa, te mają w was adoratorów bezwzględnych.

— Tak, w to mi graj bratku, rzekł Mortęski, biorąc Benedykta pod ramię, i wychodząc z nim na ulicę,—te poczciwe asanny to co innego. Te to warte grzechu przynajmniej.

— Takie zdraadne jak każda inna, mówił z przekąsem Starowski.

— Karta matka,—rzekł Słucki,—i zasmuci i pocieszy.

— Dyabła tam pocieszy, ja myślę, że częściej zasmuci.

— Widzisz, przedstawiał Słucki,—już to te damy mają tę wyższość nad żywymi, że do nich się nie da zastosować powiedzenie o kobiecie i cieniu: „suivez la, elle vous fuit“,—nie, przeciwnie, tej trzeba być wiernym, to się odplaca.

— A szczególnie,—mówił Mortęski,—nie trzeba trzymać wiele bab za ogon. Ta czwórka i więcej żadna.

— Chyba jeszcze jedna, jedyna, dodał Słucki.

— Jakaż to? pytał Mortęski.

— No, wdówka Clicquot!

Mortęski mlasnął językiem i rzekł:

— Ach, do dyabła, masz rację! dalibóg masz rację! zapomniałbym o tej poczciwinie.

— A widzisz, jaki jestem uczciwy,—mówił Słucki, nie pozwoliłem ci się sprzeniewierzyć bodaj najukochańszej ze wszystkich pięciu.

— Złoty z ciebie chłopiec! zawołał Mortęski.

— Widzisz więc, Beniek, ciągnął Słucki, te pięć dam, a żadnej więcej,—rozumiesz? Jak się „lata za innymi, to te cztery zaraz biją w nos.

— Pamiętaj to sobie Beniek, dodał Mortęski,—

jak zechcesz mieć sukces u innych bab, to cię puszcza w trąbę napewniaka.

— Nieszczęśliwy w grze, szczęśliwy w miłości! twierdził Słucki.

— *I vice versa!* rzekł Mortęski.

— A ja myślę, moi panowie, rzekł Starowski,— że w tym względzie mylicie się srogo.—Primo, jak już idzie człowiekowi, to idzie wszystko, zresztą to przysłowie było dobre dla innych czasów, gdy była miłość...

— A cóż się stało z tą osobą? pytał Mortęski.

— Dziś, ciągnął Benedykt, miłość wyszła za mąż, zrobiła wielki alian; i połączyła się z Groszem.

— A to ma rację! śmiał się Słucki.

— Dziś niema panny Miłość, tylko pani Grosz née Miłość.

— Doskonale, brachu! doskonale! masz rację!

— I widzicie, mówił dalej z ferworem Starowski, dziś ta pani Grosz née Miłość urządziła świat tak, że jak są u kogo pieniądze, to jest i miłość,—jak pieniędzy niema to niema miłości;—wygrywasz w karty, to masz pieniądze i potem masz miłość,—przegrywasz, to cię bierze dyabeł i ten i drugi.

— Na to się zgadzam, — rzekł Słucki, — bo tak jest w istocie. Ale widzisz, ten twój pan Grosz jest bardzo zazdrosny. Jak latasz bardzo za babami i ciągle wzywasz panią Groszową na pomoc, wreszcie pan Grosz się zaniepokoi i cofnie ci alimenty na wszelki wypadek, byś mu czasem nie zbałamucił żony. — Zaczynasz wtedy przegrywać.

— I ten ma rację,—wtrącił Mortęski,—dalibóg i ten prawdę mówi.

— Widzisz jakie my to psychologi wytrawne, śmiał się Benedykt.

— Ale słuchaj, Beniek, rzekł Slucki, z tego co powiedziałem, ten morał wychodzi. Baw się tylko z temi pięciu babami, które zazdrosny pan Grosz rzucił na pastwę ludzkości. Jak będziesz im wierny, to cię pan Grosz wynagrodzi, a potem stawszy się jego przyjacielem serdecznym, obcując z nim dzień cały, zdobędziesz jego zaufanie, przedstawi cię żonie i wtenczas za jej pomocą zbieraj inne laury.

— Niema co gadać, rzekł Mortęski do Benedykta, — ale że cię przekonał to przekonał. A żeby dać dowód, że cię przekonał, chodź z nami do klubu, bo jesteśmy o kroków trzy.

— Dajcie mi pokój! bronił się Benedykt, — tak mi baby obrzydły, że nie chcę i waszych.

— Ale cóż znowu, malutkiego baczka! — namawiał Mortęski.

— Ani malutkiego, ani dużego, żadnego nie chcę.

— Słuchaj, Beniek, — rzekł Slucki, pokazując paznogciem, — ot takiego malutkiego i niewinnego, jak nowonarodzona pchełka! Hyc! hyc! podskoczy trzy razy i dość.

— Ani takiego jak pchełka! śmiał się udobruchany Starowski.

— Nie chcesz grać, bestyo, — to chodź na kolacyę.

— No, na kolacyę to pójdę.

— Widzisz jakiś jest uczciwy homo, zato dostaniesz z mojej przyczyny buzi od wdówki Clicquot, — mówił Mortęski

— Tę babę jedną zniosę, — nawet damy jej buzi z dubeltówki, — bo ja funduję drugą.

Weszli do klubu, gdzie było dosyć cicho tej nocy, bo bal u Brzeżańskich, największy w tym karnawale, wiele osób z klubu wyciągnął.

W jednym pokoju stał stół, przy którym siedziało czterech starszych panów i ciągle było słyhać pomiędzy nimi następującą wymianę zdań:

Dwa piki! Pas! Dwa treffi! Bez atu! Pas! Pan chciałeś powiedzieć dwa bez atu! Ach prawda! dwa bez atu! Pas!

Na górze ciągnęła marny żywot jakaś nędzna partyjka baka we trzech, bez galeryi potniejących ze wzruszenia widzów.

Młodzi ludzie zjedli z apetytem kolacyę, wypili dwie butelki szampana, a potem już rozochoconego Benedykta zaczęli namawiać, by się do partyi na górze przyłączył.

— Ja wezmę bank! mówił Mortęski.

— Dajcie mi pokój!

— No Beniek! mówię ci, taką małą partyjkę.

— Chyba, rzekł w końcu Starowski, sprawdzę teorię o miłości i grze. Dziś niemal dostałem kosza od starej małpy, już to nieszczęścia za wiele! Chyba wygram przecie.

Mortęski i Słucki wybuchnęli śmiechem.

— Ale wygrasz, wygrasz.

W istocie wychodził Benedykt o 5-tej rano, wygrawszy osiemset rubli.

XVI.

Gdy wrócił do hotelu Starowski i został sam, ogarnął go znowu gniew.

-- Mnie to tak we wszystkim—zawołał, ciskając ze złością na stół pugilares z wygranemi pieniędzmi,—wypuściłem z rąk 60,000 i dobrą partycję, któraby mi dała stanowisko w świecie, — a ten los, niby przez litość, chce mnie pocieszyć marnemi ośmiuset rublami.

Miał dość już tym razem salonów, i odtąd przestał bywać w świecie. Dotąd rachował się z groszem, więc do klubu rzadko zachodził, gdzie i jedzenie było kosztowniejsze i gdzie wypadło czasami sięść do winta, do droższej gry i może przegrać kilkadziesiąt rubli, coby mu stanowiło różnicę w skromnym budżecie.

Teraz jednak gdy wygrał osiemset rubli, nie miał tak bardzo potrzeby rachować się; chodził więc codzień.

Ślucki i Mortęski często go ciągnęli do gry.

— No chodź Beniek, na pchełeczkę, tyćką! pokazywał paznogciem Ślucki.

Benedykt grał, grał coraz więcej i czasem przegrywał, ale wogóle służyła mu karta.

Tak zeszły i Starowskiemu w Warszawie cały luty i połowa marca. Był wogóle wygrany na czysto około czterech tysięcy, bo dotąd nie było w klubie żadnej droższej gry, więc różnice też nie mogły być znaczne. Starowski grał dosyć oględnie, jak mu szła karta, to grał dalej, jak mu nie szła którego dnia, to się cofał przezornie. Głównymi jednak jego partnerami byli Mortęski i Ślucki, którzy sami wszędzie szukali ofiar do obdarcia, więc się nie dawali też ograć Benedyktowi. Czasem już nawet Śluckiego niecierpliwiła ta wena Starowskiego i ta oględność. On go był zaciągnął rzeczywiście do klubu, by go zgrać kiedyś porządnie i zapewnić sobie tym sposobem swój

był na rok jeden przynajmniej, — a tu ku jego zdziwieniu Benedykt wyglądał na równie szczwanego lisa jak on sam.

— Niech go dyabli wezmą, tego łysego durnia, — mówił nieraz Słucki do Mortęskiego, przed którym nie miał sekretów.

— Już temu biedakowi daj pokój, reflektował przyjaciela Mortęski, który sam lubił grę dla gry, nie tworzył on z niej fachu jak Słucki. — Goły jak wielu z nas, co ci z tego przyjdzie, jakbyś go nawet ograł. Albo go zrujnujesz, albo ci nie zapłaci. Wielka korzyść.

Pewnego dnia zrobiło się gwarniej w klubie. Przyjechał z Litwy hr. Horynicz, gruba ryba i gruby gracz. Wszystkie ptaszęta niebieskie pozlatywały się, by zobaczyć z czem przyjechał tym razem Horynicz, czy z weną, czy z deweną. Bo Horynicz grał grubo, ale raz zgrywał się strasznie, pękało sto tysięcy, drugi raz golił wszystkich jak brzytwą.

Ptaszęta patrzyły mu w oczy ciekawie, ale Horynicz jakoś wyglądał uśmiechnięty szyderczo, jak gdyby miał wenę. Zęby ostre świeciły mu się z pod gęstego, ciemno blond zarostu. Spróbował i ten i ów, Horynicz za jednym zamachem sprzątnął wszystko co było na stole. Ptaszęta cofnęły się ostrożnie, chuchając w palce.

— No, dalej, dalej panowie! nawoływał Horynicz.

Postawił to ten, to ów z graczków niezawodowych i dostali zaraz po palcach.

Nagle Benedykta coś poderwało.

— Poczekaj! — mówił w myśli do Horynicza, — poprobuję i ja, zmierzę się ja, nieodrodny syn Pechu,

z tobą szczęśliwcem. Jak przegram to niewiele, bo nie mam do przegrania tak dużo, te cztery tysiące, które mam w kieszeni, nie zrobią ze mnie magnata, a jak mi przypadkiem pójdzie,... no to zobaczycie! Obedrę go ze skóry, potem figę pokaże Warszyckim, a wreszcie, przysięgłszy sobie, że już nigdy kart do rąk nie wezmę, siądę na moich stu tysiącach i będę ludziom pokazywał język.

— Cóż, panowie! *faites votre jeu!* wołał Horynicz, uśmiechając się, szczerząc zęby i wodząc po obecnych okiem.

Nikt jakoś nie miał ochoty, każdy oczami namawiał do stawiania drugiego, ale ledwie Słucki zaryzykował marną dwudziestopięciorubłówkę.

— Cóż to znaczy? rzekł w końcu niecierpliwy Horynicz. Cóż to, mam się bić na 25 rs., to wolę odrazu się uznać za przegranego

I, wyjąwszy ze stosu zgarniętych papierków 25 rs., bez rozdania kart, papierek ten położył koło tamtego, który postawił Słucki.

— Dobra psu i mucha! rzekł wesoło z komiczną miną Słucki, wsuwając do kieszeni oba papierki i wstając od stołu.

Wszyscy się roześmiali na ten sposób rozwiązania przez Słuckiego dość drażliwej sprawy, bo ostatecznie takie wystąpienie Horynicza było sporą impertynencją, którą ten magnat mógł sobie pozwolić tylko względem Słuckiego, fachowego ptaka nad ptaki.

— Oho! szepnął Benedykt do siebie,—zirytował się, zacznie przegrywać; probujmy więc szczęścia.

— Ja służę, — rzekł w końcu głośno, dociskając się do stołu i stawiając odrazu 1000 rs.

Horynicz spojrział bystro na niego swem małym siwym okiem i usta otworzył.

Cały wyraz jego twarzy wyglądał tak, jak gdyby mówił do siebie:

— A, jakiś niewinny robaczek, wilkowi na przekąskę po wódce.

— I owszem! bardzo proszę! rzekł uprzejmie, to kusz.

Benedyktowi podchlebiły te słowa i jeszcze trochę wyżej podniósł głowę.

— Pozostawiam! rzekł chłodno, wygrawszy, Benedykt.

Tym razem dostał Benedykt dziewiątkę.

— Cóż może jeszcze raz? pytał hrabia, — trafiasz pan na seryę.

— Pozostawiam... rzekł z tą samą miną Benedykt.

I znowu wygrał.

Miał już osiem tysięcy na stole, pięć więc odsunął i pozostawił trzy. I znowu poszczęściła mu karta.

— O! o widzisz, szepnął mu Słucki, nie umiesz grać, nie korzystasz z seryi, trzeba było całe osiem zostawić.

Benedykt siedział niewzruszony, w swym kołnierzyku, nie zwracając uwagi na słowa Słuckiego. Poczł on teraz swój magnetyzm, wreszcie swą wolę silniejszą niż wolę nawet Horynicza. Był pewny, że wygra. Chodziło mu o życie całe.

Przy następnem rozdaniu postawił tylko dwieście rubli i przegrał tym razem, a potem podsunął tysięcy pięć i wygrał.

Słucki zrobił ogromne oczy.

— Czyżby ten biedny Beniek miał mieć jakąś

w życiu szansę? — pytał sam siebie Słucki, — on tak wygląda na Pechowicza.

Niemniej gdy znowu Benedykt położył wielką sumę, Słucki na jego szczęście też zaryzykował papierków tęczowych pięć. Starowski wygrał i Słucki z nim.

Pomiędzy widzami zrobił się ruch; jedni myśleli, że szansa Benedykta chwilowa i jęli stawiać przeciwko niemu, drudzy szli za jego szczęściem.

Zrobiło się naraz przy stole gwarno. Podsuwał swój kusz to ten, to ów. Słucki przez złote pince-nez pilnie śledził komu karta idzie i tak jak w walce dwóch wielkich psów, mały piesek do jednego podskoczy i utnie za łydkę, to drugiego pociągnie za ogon, tak samo Słucki, instynktem wiedziony, wścibiał to tu to tam swoje trzy grosze.

Gra, wstrzemięźliwa z początku, zrobiła się nagle namiętą, pałały oczy wszystkich, Benedykt siedział nieruchomy w tej samej pozycji, ale był czerwony jak burak, Horynicz małemi siwemi oczkami rzucił na wszystkie strony, badając wysokość stawianych sum i pilnował uważnie, czy mu ktoś czego nie zeskamotuje przypadkiem, bo w swej długiej karierze gracza spotykał on różne objawy namiętności w grze.

Przed Benedyktem stos papierków to rósł to malał, to znowu rósł. Czasem Słucki, gdy Starowski przegrywał, szepnie mu nad uchem:

— Wal, Beniek! Wal! Nie daj się!

I rzeczywiście prąd gry uniósł Benedykta. Po godzinie tych szalonych zapasów, gdy zobaczył znów koło siebie Słuckiego, szepnął mu do ucha:

— Oleś! pożycz tysiąc! bo już nie mam nic!

Słucki kiwnął głową na znak zgody, i będąc sporo wygrany, skubiąc na przemiany każdego, wcisnął mu do ręki ten tysiąc.

A potem za tym tysiącem poszedł i drugi i trzeci i wreszcie piąty a potem ósmy. Benedykt pieniędzy Słuckiego nie miał czasu liczyć i nawet nie spostrzegł, że mu parę razy Słucki, zamiast tysiąca, wpakował do ręki o dwieście rubli mniej.

— Co mi szkodzi, mówił do siebie Słucki, uradowany z tego pomysłu, — zrobić *d'une pierre deux coups*.

Gdy go jednak Benedykt poprosił o dziewiąty tysiąc, Słucki dał mu znak głową, że odmawia tym razem i szepnął mu do ucha „poczekaj!“

Benedyktowi zaczęła krew powoli opuszczać mózg. Od połowy gry był nieprzytomny zupełnie, teraz ta odmowa Słuckiego wytrzeźwiła go. Ale biedaczek nawet nie pamiętał, ile tam pożyczył od Słuckiego pieniędzy.

— Osiem? czy co? mówi do siebie, przytomniejąc wreszcie.

Słucki zgarnął tymczasem jakiś poważny kusz i, pakując całą swą sporą wygraną do różnych kieszeni, zawołał na Benedykta:

— Chodź, Beniek, palniemy kieliszek wódki, bo strasznie sucho w gardle.

Starowski uśmiechnął się do towarzystwa z wysokości swego kołnierza i, wzięwszy Słuckiego pod ramię, wyszedł z nim.

Gdy byli w przyległym pokoju, idąc do bufetu, zapytał go wnet gorączkowo:

— Ile ja wzięłem od ciebie, Oleś, bo nie pamiętam dokładnie.

— Dziewięć tysięcy, odrzekł z miną obojętną Słucki.

— Dziewięć?! pomyślał Benedykt, przysięgłbym że osiem, teraz dobrze pamiętam, ale cóż mam robić, kiedy twierdzi, że dziewięć.

— Mój drogi rzekł głośno Benedykt, — wybaczysz mi, że ci zaraz oddać nie mogę, bo nie mam przy sobie. Jutro pojedę do domu i wnet ci odeślę.

— Ależ naturalnie! to bagatela! odrzekł po gentelmańsku Słucki, — przecie wiem, komu daję.

— Dobrze swoją drogą zrobileś, Olesiu, żeś mi dalszej pożyczki odmówił. Byłem jak nieprzytomny i teraz zdaje mi się, żeś spał a nie grał, albo że byłem pijany.

Słucki znał Kosiłów niemniej dokładnie jak radca Karniński. Wiedział więc, ile można bez ryzyka pożyczyć. Jednak przed Benedyktem inaczej upozorował swoją odmowę.

— Widzisz, Beniek, zaraz spostrzegłem, że stracił przytomność i dlatego odciągnąłem ciebie czempredzej. Wy, filistry, to nie umiecie nigdy się w czas zatrzymać i dlatego was orzynają.

— Poczciwy Oleś! — rzekł rozczulony Benedykt, ściskając mudłoń — postąpiłeś jak najlepszy przyjaciel, nigdy tego ci nie zapomnę.

Słucki uśmiechnął się nieznacznie i rzekł do siebie w duchu.

— Oto, to się udało co się zowie; orznąłem go na półtora tysiąca i jeszcze mi dziękuje. I jak tu niekorzystać z takich bydlaków, którzy sami liżą w ręce.

Słucki kazał podać wódkę i przekąski, ale nagle, gdy łyknął swój kieliszek Starowski, wódka stanęła

mu w gardle. Zakrztusił się i aż chustką przykrył usta, bo mu się zdawało, że z tym kaszlem i duszę wyzionie. Coś go w gardle dusiło i piekło. Zdawało mu się, że z oczu mu tryśnie cały potok strasznie gorzkich łez, łez zbierających się w sercu oddawna, łez upokorzenia, łez wstydu, łez zawodów i bezsilności.

— Przepraszam!... nie mogę...—rzekł do Słuckiego ochryplym głosem i, rzuciwszy w bufecie trzyrublowy papierek za wódkę, wybiegł wnet, wciąż kaszlając, na ulicę, zarzuciwszy ledwie palto na plecy.

Świeże powietrze sprawiło, że dostał zawrotu głowy. Przystanął chwilę i nagle opadły go myśli, jak sfora psów opada powalona na ziemię zwierzę. Widział swoją ruinę, trudność dostania pieniędzy, bo już Kosiłów miał hypotekę nadwreżoną, złamanie słowa lub złamanie jako tako spokojnej egzystencji matki i siostry.

— Ach ja lotr! Ach ja gad przeklęty! Ach ten los! Ach te łajdaki!—mówił do siebie, idąc do hotelu z najwyższym pośpiechem.

Doszedłszy wreszcie do swego pokoju, zamknął drzwi na klucz, padł na kanapę, szarpnął nieszczęsny kołnierzyk, który go dusił i zaczął ryczeć prawie nie tylko płakać.

— Ach co ja zrobiłem, co ja zrobiłem.. i co ja zrobię... mój Boże! co ja pocznę... jestem lotr... Ach ten Horynicz!... niech go dyabli wezmą!...

I tak długą godzinę wylewał swe żale, klnąc ludzi i siebie a szczególnie swój los.

XVII.

Benedykt był zanadto dumny, by miał po sobie pokazać jakieś wzruszenie przed światem. Nazajutrz poszedł umyślnie do klubu, by pokazać wszystkim swą uśmieciwą twarz.

Tymczasem, ostatecznie, nikt w klubie uwagi na tę jego minę nie zwrócił. Gra była wczoraj taka zajadła, że nie uważano, co Starowski przegrał i czy wogóle przegrał. Każdy przy grze myślał tylko o sobie.

Następnego dnia wyjechał, mówiąc:

— Ach wiem już, wiem! to mnie zamagnetyzował ktoś, ale kto, Mortęski czy Słucki? oni mię namówili, zasuggestyjonowali, moja podatna wola wnet im uległa, w tem cała rzecz. Pewno Słucki — rzekł do siebie po chwili—to chyba on. Te ptaki niebieskie muszą mieć tę jakąś magnetyczną siłę wyciągania ludziom pieniędzy z kieszeni.

Ale nagle znów wpadła myśl Benedykta na inny trop.

— Ach nie! nie Słucki! już teraz wiem z pewnością, nawet pamiętam gdym odczuł na sobie tę siłę, która mnie zmiażdżyła. To ten przeklęty po tysiąc razy Zygmunt Warszycki! Tak, tak, czuję jak dziś, jak się wszystko przewracało i kurczyło we mnie na widok tego człowieka. On prawie na mnie nie patrzył, a jednak czułem przez skórę, że to mój wróg.

— Cóż naturalniejszego?—rozmyślał Starowski, to chciwy człek, nie chciało mu się, by siostra szła za

mąż, woli, by jej posag przypadł kiedyś jego dzieciom w udziale. Zobaczył mnie i przeklął już!... A moja z nim rozmowa? a ten jego ton? Czyż to nie jasne?!

A znowu po chwili rozmyślał dalej:

— Poznają, nawet poznają ten typ, który mnie na sam widok jakimś wstrętem ogarnia, bojaźnią i gniewem. Tak, to ten sam typ co Władysław, chociaż niebardzo do niego podobny, ten sam wyraz czarnych oczu, jakiś ostry wyraz, na którego widok coś we mnie się przewraca, kostnieje, coś mi dolega.

— Tak! Władysław piękniejszy od Warszzyckiego, ale Zygmunt ma rysy cieńsze, delikatniejsze; Władysław ma nos grubszy i pełniejsze oko i co prawda usta ma jakieś lepsze, nie takie zaciśnięte jak u Zygmunta. Ale to bezwarunkowo ten sam typ!

Zaciskał pięść i powoli podniósł jedną do góry i groził nią.

— Ach jak ja was obu nienawidzę! jakbym chętnie którego z was zmiażdżył! zdusił! zdeptał! Tak, te dwa wrogi moje! najzaciętsze wrogi! pamiętam jak kiedyś rozmawiałem z Helcią i wszedł do ogrodu Władysław. Pamiętam to jego spojrzenie. Chociaż nie jestem tchórz, krew mi w żyłach stanęła. Czulem jak mnie coś za gardło chwyciło, jak mnie opanowała jakaś bezwładność.

Teraz z Zygmuntem to samo.

I co tu się dziwić, że chłopci o urokach mówią — rozmyślał, już drzemiąc. — Chłop, ten prosty chłop lepiej to czuje, niż my, którym głowę poprzewracała nauka.

— Bardzo wam jestem wdzięczny — mówił po przyjeździe do matki i siostry z sarkazmem — żeście

mnie namówiły na tę Warszawę przekłętą. Dostaniecie za swoje!

— Jakto? co? — pytała przerażona Wanda, czy co ci się stało?

— Tak, stała się ładna rzecz w istocie, rzecz taka, po której możecie tylko wybierać z dwojga jedno: albo będę spodlony, albo niebawem wyjdziecie z Kosiłowa bez butów.

— Co to jest Beniu! — wytłómacz się! — zawołały naraz obie kobiety.

Ale Benedykt milczał.

— Cóż, zgrałeś się może? — pytała Wanda.

— Miałem to szczęście! — wycodził szyderczo Benedykt.

— Ale gdzie? z kim? ile przegrałeś?

— Dziewięć tysięcy.

— Mój Boże! dziewięć tysięcy! — wołała Wanda, biorąc się za głowę.

Pani Starowska nie rzekła nic, siedziała nieruchoma, jak gdyby się zmieniała w słup soli. Jeszcze jej brakowało tego. Ten syn, ta jej chwała i ta nadzieja, wtrąca ich w przepaść.

— Beniu!... Beniu!... — wołała Wanda — jakże mogłeś?

— Czy myślisz, że to ja sam tak chciałem?! — ofuknął ją niecierpliwie brat.

— Jakto czy sam? a któż? czy to grano za ciebie?

— Nie, ale ten podły Słucki, czy ktoś tak mnie otumanił, tak zahypnotyzował, że się nie spostrzegł nawet.

— Oto masz Beniu! — zawołała już gniewnie Wanda — oto do czego te twoje głupie teorye o ma-

gnetyzmie prowadzą; siadłeś grać ze Słuckim, znanym łotrem i już zrobiłeś źle. Potem dałeś się ograć i jeszcze narzekasz na innych, zamiast narzekać na siebie.

Na te słowa dało się słyszeć z kanapy, na której siedziała pani Starowska, głębokie westchnienie, jak gdyby jej jakiś ciężar spadł z piersi.

— A potem—ciągnął Benedykt—Słucki postąpił ze mną jak najlepszy przyjaciel. Gadaj, Wandziu, co chcesz, a ja wam mówię, że czułem nad sobą jakąś wolę, która mnie strącała w przepaść...

— Biedny mój synu!—odezwała się smutno pani Starowska.

Benedykt rzucił na nią wdzięczne spojrzenie i ciągnął dalej:

— Jakże można przypuszczać, żebym świadomie, ja, dotąd oszczędny i rządny, popełnił taką rzecz straszną.

Wanda z niecierpliwością odwróciła głowę.

— Mojem zdaniem—odrzekła — nie mamy co teraz dyskutować o prawdopodobieństwie lub nieprawdopodobieństwie twoich teorii o hypnotyzmie, lecz trzeba myśleć zkąd dostać czempredzej pieniędzy.

— Ja, mój Benedykcie! — ciągnęła Wanda — chętnie składam w ofierze swoje pięć tysięcy reńskich, zapisane przez babcię i złożone w banku, ale chodzi o resztę!

— Nie, Wandziu--rzekł Benedykt — ja twojej ofiary nie przyjmę, te pieniądze mogą ci być niebawem potrzebne, gdybyś wychodziła za męża. Zresztą tam są zastrzeżenia...

— Już to zastrzeżenie straciło wartość—przerwała Wanda—babcia chciała, bym mogła ten kapitał

podnieść tylko, gdybym wychodziła za mąż, lub gdy skończę 23 lata. Teraz mam już 23 lata skończone, więc je podniosę.

— Moja Wandziu... jakaś ty dobra!—wołał Benedykt, wyciągając do niej obie ręce.

Ale Wandzi się jakoś nie chciało uściskać ręki brata w tej chwili i rada była, że nagłe zerwanie się z kanapy pani Starowskiej odwróciło ich obojga uwagę.

— Nie!—zawołała matka—nie! ja na to nie pozwolę stanowczo.

— Ależ dlaczego, mamó?—spytała Wanda.

— Po pierwsze dlatego, że, jak mówi Benedykt, mogłabyś wyjść za mąż niebawem i te pieniądze byłyby ci potrzebne...

— Ależ, mamó!—zawołała Wanda z zapalem — ja za mąż napewno nie pójdę, nigdy nie pójdę.

— Ty wiesz tak! a ja wiem inaczej — odrzekła matka—bo znam lepiej życie.

— No, dobrze—ciągnęła drwiąco Wanda—przypuśćmy, że jutro tu przyjedzie jakiś arcyksiążę, że się zakocham szalenie i że wyjdę za niego, ale cóż mama zrobi dziś? bo dziś oddać trzeba, arcyksiężęta zaś oczekają pewnie, nim się droga poprawi.

— Już ja wiem co zrobię! — rzekła dumnie pani Starowska—mam już plan.

— Jakiż to plan? — pytała Wandzia zdziwiona.

— To do ciebie nie należy—odrzekła matka.

— Jednak, mamó, chciałabym i ja wiedzieć—reflektowała Wanda.

— Powiedziałam, że to moja rzecz! — odrzekła ze stanowczością pani Starowska—za tydzień pieniądze będą, proszę mi się nie wtrącać.

Wanda pokiwała głową, Benedykt podniósł brwi, żadne z nich nie wiedziało, co może mieć na myśli ich matka.

XVIII.

Od powrotu z Kosiłowa Władysław się z domu nie ruszył przez całą zimę. Czytał dużo, studyował jeszcze elektrotechnikę, najczęściej niecierpliwił się, rzucał wszystko w kąć i znowu po kilku godzinach powracał do tych zajęć, nie mając co robić ze sobą.

Myśl o Wandzi coraz częściej owładała jego umysłem i sercem.

Wreszcie pewnego dnia tak silnie za nią zatęsknił, że zaczął szukać jej fotografii.

Helcia nie cierpiała albumów, które się wiecznie rwą, rozklejają i brudzą od częst'ego patrzenia, trzymała więc wszystkie fotografie w szkatułkach.

Niebawem w jednej z tych szkatulek znalazł dawną fotografię Wandzi, w krótkiej jeszcze sukni, zrobioną w Jędrzejowie przez wędrownego artystę.

W pozie nieartystycznej, prosta jak kołek, niezgrabna jak każdy podłotek, stoi Wanda i śmieje się. Przypomniawszy sobie nawet tę chwilę, gdy w rok po jego ślubie z Helcią, obie kuzynki pojechały pająkiem po pocztę do Jędrzejowa dla spaceru i powożąc się same. Ani jedna, ani druga nie umiały powozić i ciągle furman, siedzący z tyłu, musiał im w pomoc przychodzić. To konie zeszły w pole, to wymknęły się

z rąk Helci lejce, to pajak się przechylił. Krzyczały wówczas i śmiały się potem do rozpuku. Rozbawione, wesole, przyjechały do Jędrzejowa, spotkały fotografa, i Helci przyszło na myśl fotografować Wandę. W parę dni później wszyscy się śmiali z tej fotografii.

— Zniszcz to, spal! moja Helciu—błagała Wanda.

— Nie spalę bo to nieszczęście przynosi.

— Ale kiedyś, jak ktoś zobaczy, to będzie myślał, że ze mnie naprawdę takie straszydło.

— No to żeby widza uprzedzić, napiszę na fotografii, że taką byłaś, kiedy miałaś lat piętnaście.

Wanda zgodziła się na ten układ, u dołu fotografii stał podpis zrobiony pięknem, dużem pismem Helci.

Imię panna Dritka Starowska lat 15.

Z czasem będzie ładniejsza, da Bóg!

Władysławowi łzy napływały do oczu na to wspomnienie, przycisnął porywczo fotografię do ust, nie zdając sobie sprawy, czy całuje podobiznę Wandzi, czy pismo Helci.

— Dritka! ach prawda!—mówił do siebie — nazywaliśmy ją Dritka. Droga, milusia Dritka. Zkąd to poszła ta nazwa?—przypominał sobie. — A tak, pamiętam. Jakie to dziwne—ciągnął Władysław—i te słowa i tamte z serenady. Czyżby Helcia chciała w istocie.

Lecz nagle uczuł niechęć do Wandy i do siebie samego.

— Żeby też to człowiek potrafił być nie zwierzęciem, ale duchem! Żeby potrafił nie brać namiętności za miłość.

Fotografia Wandy przejechała jednak z pudełka do gabinetu Hojskiego i nieraz trzymał ją w ręku,

szukając u tej niezgrabnej panienki dzisiejszych jej wdzięków.

Walka ta ciągnęła tak nękała Władysława, że schudł, policzki mu zapadły.

Czasem rządca zastawał go w takim stanie dziwnym, że nie mógł słowa z niego wyciągnąć.

— Co pan mówił? — odzywał się po chwili jak gdyby budził się ze snu — przepraszam, powtórz pan, bo nie słyszałem.

Rządca znów opowiadał to samo lub pytał o to samo. Czasem Władysław dawał zupełnie przytomne rozkazy, czasem go odprawiał z niczem, mówiąc:

— A rób pan jak chcesz, nie mogę myśleć. Wszystko będzie dobrze co pan zrobisz.

— Ale bo widzi pan...—chciał mówić rządca.

— Wszystko jedno, mój panie! wszystko jedno!

W jednej z takich chwil otrzymał list od pani Starowskiej.

Kochany Władysławie!

Stało się nam wielkie nieszczęście. Żli ludzie podeszli tak Benedykta, że, będąc w Warszawie, przegrał dziewięć tysięcy rubli. Wiesz, że nasze środki nie pozwalają nam tak nagle znaleźć pieniędzy, które jednakże Benedykt *musi* zapłacić w przeciągu tygodnia jako *dług honoru*. W tobie cała nasza nadzieja, mój Władysławie, że nie dasz splamić honoru Starowskich i że przyjdiesz nam z rychłą pomocą. Potem sam nam doradzisz, co mamy zrobić, by ci spłacić ten dług. Nie uwierzysz jak mi ciężko cię prosić, ale tu

chodzi o *honor rodu*. Jako członek naszej rodziny, zrozumiesz nas.

Twoja kochająca ciotka
Marya z Kruckich Starowska.

Władysława nie rozczerliło bynajmniej to pismo i mało mu chodziło o ten *honor rodu* Starowskich. Głupstwo palnął Benedykt. Niech więc oszczędza na wysokości kołnierzyków i niech pracuje!

W pierwszej chwili chciał już Władysław napisać odpowiedź odmowną, ale nagle przyszło mu na myśl, że interesy Benedykta ściśle są związane z interesami Wandy.

Jak pożyczki odmówi, to będzie żądał Benedykt sprzedaży Kosiłowa i odebrania swojej części, i Wanda z matką zostaną bez dachu.

Ta myśl zdecydowała rzecz odrazu.

Natychmiast kazał poprosić rządcę, a gdy ten się zjawił, rzekł doń, patrząc na zegarek.

— Kochany panie! zdążysz pan je zcze na pociąg wieczorny, jedź pan zatem natychmiast do Warszawy i przywieź mi z Banku dziesięć tysięcy rubli; zaraz dam panu dokumenta potrzebne.

Wyprawivszy rządcę, siadł i odpisał ciotce:

Życzeniu kochanej cioci stanie się zadość, pojutrze sam będę z żadaną sumą. Ręce cioci całuję i Wandzi serdeczne pozdrowienie przesyłam.

Władysław.

— Krótko i węzłowato! — rzekł do siebie, składając list. — Zobaczyłaby baba i ten jej wykrochmalony gagatek, coby dostali, żeby nie ten biedny ich

Wandziuś... jaki musi być smutny... jak nosek zjechał na kwintę.. jak się te, usteczka zacisnęły... biedny człowieczek!

Władysław się złowił tegoż wieczora na radośnem zacieraniu rąk.

— Czegoż się cieszysz, głupcze — zapytał siebie — cóż? takeś rad znowu wyrzucić 10,000. Dałeś Dorze 20,000, to możesz nie pożalować dla Starowskich połowy, ale cieszyć się znowu tak bardzo nie masz powodu.

Nazajutrz jednak Władysław był daleko rzeświejszy. Chodząc po pokoju, nucił coś czasami. Patrzył niemniej często na zegarek niż innych dni, ale czekał już nie nocy lecz następnego ranka.

Na trzeci dzień był rządca z powrotem, przywiózł pieniądze i Władysław ruszył do Kosiłowa.

XIX.

Wielkie było zdziwienie Wandy, gdy, widząc zbliżający się powóz, poznała stawiańskie konie.

Tak drgnęło jej serce radośnie, że nie pytała siebie, co może Władysława tak niespodziewanie sprowadzać.

Jakieś trochę ni to strachu, ni to nadziei poruszało się na dnie jej serduszka.

Władysław wszedł wesóły i uśmiechnięty, a na widok Wandy przebiegł mu przez oczy błysk, który dobrze znała, tembardziej, że po tym błysku zaraz na-

stępował uśmiech, niewymownie miły uśmiech, odsłaniający białe zęby.

— Ach, Władysław! co za niespodzianka! — zawołała Wanda.

— Niespodzianka? — pomyślał — ona widocznie nic nie wie, bo nie grałaby komedyi.

Benedykt przyszedł niebawem i witał się ponuro i obojętnie, tylko pani Starowska była jakaś jaśniejąca i uroczyta.

— A Bolcia nie przywiozłeś? — pytała Wandzia.

— Nie; droga zła i niezdrowe powietrze.

— Tak, te wyziewy wiosenne! — zauważyła pani Starowska.

Rozmowa z początku była banalna o tem i owem. Wreszcie po godzinie, gdy się Benedykt wysunął z pokoju, powstał Władysław i rzekł do pani Starowskiej uprzejmie.

— Chciałbym z ciotką pomówić na osobności.

Wandzi serce zabiło tak mocno, że się uchwyciła za poręcz krzesła, by nie upaść.

A gdy wyszli do gabinetu pani Starowskiej i matka zamknęła za sobą drzwi.

— Co on może od mamy chcieć? — myślała, ścisnąc główkę rękami.

Nagle doszły jej uszu z przyległego pokoju słowa Władysława.

— Ale proszę ciotki, *c'est une bagatelle!*... bardzo rad jestem...

Głos był taki spokojny.

I Wandzia zrozumiała wszystko. Krew jej buchnęła do głowy; nie wiedząc, co czyni, rzuciła się do drzwi, otworzyła je silnem szarpnięciem, stanęła u wejścia i spostrzegła matkę, liczącą pieniądze.

— Mamó! ja nie pozwalam! — zawołała z całym siłą.

I, podbiegłszy do matki, uchwyciła ją za rękę i wołała wciąż w uniesieniu:

— Nie, mamó! nie! tego za nic na świecie! ja mam swój kapitał i jeszcze sprzedamy las, wszystko się znajdzie, ale tego nigdy, ach nigdy, nigdy!

I, ukrywszy twarz w dłonie, zaczęła gwałtownie szlochać.

Matka oczom wierzyć nie chciała, ale i Władysław był niemniej zdziwiony. Poskoczył do Wandy i, ująwszy za rękę, pytał z niepokojem.

— Wandziu, co ci jest? co ci się stało?

Wanda, odkrywszy twarz, schwyciła za rękę Władysława i, patrząc na niego oczami pełnemi łez, zawołała:

— Nie, Władysławie! nie ty! tylko nie ty!

— Ależ dlaczego, Wandziu, nie ja?—dziwił się Władysław.

— Bo poco? poco? kiedy możemy same...

— Jestem waszym bliskim krewnym... — cedził Władysław, wpatrzony w Wandzię, nie rozumiejąc jej jeszcze.

— Tak, prawda, ale to nic, to nic nie znaczy! — szlochała Wandzia.

A potem zaczęła prosić:

— Mój Władysławie, zmiłuj się, zlituj się, nie upokarzaj nas tak, nie rób tego, będziesz nami potem pogardzał... a ja wszystko przeżyję!... Ale twojej pogardy!... Ach nie!... ach, Władysławie!

I znów rozległo się jej szlochanie.

Nagle Władysław zrozumiał! Jakieś uroczyste uczucie wstąpiło wóń, podniósł oczy ku niebu.

— Stało się! — rzekł do siebie.

I już spokojnie ujął jedną ręką płaczącą Wandę, drugą ręką przyciągnął ją powoli do siebie i mówił:

— Wandziu! słuchaj! ja miałbym tobą pogardzać? Ja?

Wanda mimowoli podniosła głowę i patrzyła mu w oczy, jakby czekając.

— Wandziu! jakżebym mógł pogardzać?... kiedy... ja ciebie kocham, Wandziu.

Jakby jęk wyrwał jej się z piersi i znowu zakryła rękami twarz.

Władysław się zląkł z początku i nie zrozumiał tego dziwnego westchnienia, ale wnet rzekła Wandzia.

— Władysławie!... to nie może być... Ja ciebie tak dawno... kocham.

Władysław pochwycił ją w swoje ramiona i przycisnął do piersi. Pani Starowska nawet była tak silnie wzruszona, że otarła łzę i prędko wyszła z pokoju.

Zostali sami, Wanda szlochała, Władysław ją trzymał w objęciach i smutno patrzył na jej jasną główkę.

Wreszcie, przycisnąwszy ją silniej, rzekł uroczyście:

— Tyś podobna do gwiazdy

Co z nieba dla mnie spłynęła.

XX.

Długi czas Władysław i Wanda pozostali w tej ciszy i w tym uroczystym nastroju. Wreszcie wzięli się za rękę, poszli do salonu, gdzie zastali panią Starowską, uklękli przed nią, a ona ich cicho błogosławiła, tym razem bez pazy.

Benedykt miał nerwy tak napięte od czasu przegranej w karty, tyle wałk się toczyło w jego sercu, pomimo tłumaczenia się magnetyzmem tyle sobie robił wymówek, że teraz na widok takiego rozwiązania kwestyi, na widok tak niespodziewanie szczęśliwych skutków swego nieogłędnego postępku, nerwy te rozluźniły się zupełnie.

Na widok błogosławienia młodej pary rozplakał się, a kiedy Władysław wstał i szedł uspakajać przyszelego szwagra, Benedykt mu się rzucił na szyję i, szlochając jeszcze, mówił:

— Jakiś ty dobry! Kiedy ci okażę swą wdzięczność?

— Nie mówmy o tem—odrzekł krótko Władysław—może ty mi bezwiednie wyświadczyłeś większą przysługę niż ja tobie; żeby nie twoja nieszczęsna przygoda możebyśmy się jeszcze długo nie porozumieli z Wandzią.

Resztę dnia spędzili w wielkiej ciszy mieszkańcy Kosiłowa.

Władysław i Wanda powrócili do swej uprzywilejowanej kanapki w rogu salonu, gdzie mało mówił

a dużo patrzyli na siebie, spłotłszy uściskiem swe dłonie.

Ktoby widział tych dwoje, pewnieby myślał, że najczęstszym wyrazem, który w ich rozmowie powraca, jest „kocham“, „aniele“, „bóstwo“. „Kochać będę do grobu“, „po za grobem“, „przysięgam“. Ale Władysław niestety wiedział w tej chwili i wiedziała Wanda, co są pozagrobowe miłości i przysięgi, czynione na wieczność.

W ich spojrzeniach, w ich szeptach była miłość, ale usta się bały słów, by czasem jakaś fałszywa nuta nie zadrasnęła serc.

Wandzię teraz, gdy już Władysław jej wyznał swą miłość, jego namiętne spojrzenia raziły mniej. Nawet czasem, pod wpływem ich, zamykała oczy, pochylała w tył główkę i oddawała się uczuciu nieznaney sobie rozkoszy. Ale nagle wyswobadzała się wysiłkiem woli z tego błędnego omdlenia. Prostowała się i zwracała błagalne na Władysława spojrzenie, prosząc go:

— Władysławie! nie patrz tak na mnie! ja nie mogę.

— Nie mam patrzeć? dlaczego?—pytał.

— Nie wiem sama, ale coś się ze mną dzieje, robi strasznego. Jak zamknę oczy, zdaje mi się, że lecę w przepaść.

Ale Władysław nie przestawał odrazu tak patrzeć i tak pożądać. Dopiero po jakimś czasie, także wysiłkiem woli, odpychał od siebie namiętność i przy-mrużał gorejące oczy.

Pomimo, że już minęło godzin trzy od kolacyi, pomimo iż ciągnąca pasyansa pani Starowska coraz częściej na zegarek patrzyła, Władysław nie mógł się

zdecydować iść spać. Dobrze mu było tutaj. Myśląc, że trzeba się wreszcie wynieść, żałował, że nie wziął Bolcia ze sobą, bo zrobiło mu się straszno, na myśl o samotności.

Jednak trzeba było koniecznie się rozstać. Władysław zdobył się na odwagę w końcu i wołał.

— Ach jaka będzie przykra ta noc! — rzekł do Wandzi.

— Dlaczego?—zapytała z niepokojem Wanda.

— Tak mi dobrze było przy mojej Wandzi, która mnie raczy kochać, a tak źle będzie samemu.

Władysław powiedział to bez żadnej ukrytej myśli, Wandzi się jednak zaraz w główce przedstawił wyraźnie małżeński przyszły ich pokój wspólny, i jakiś przestрах bezwiedny, paniński ogarnął ją.

— Dobranoc! — rzekła prędiutko i wyrwała rączkę.

— Dobranoc! dobranoc! — mówił Władysław znów ją ujmując za ręce.

A potem popatrzywszy jeszcze chwilę w jej oczy, dostrzegł długą wstążeczkę czarną, którą miała zawiązaną w rodzaju krawatki dokoła szyi i której końce nisko spadały.

Podniósł do ust jeden koniec wstążeczki tej, pocałował, i jeszcze raz cicho wyszeptał:

— Dobranoc!

A potem już szybkim krokiem poszedł do gościnnego pokoju.

Gdy był już sam, poczuł, że go coś w mózgu strzyknęło razy kilka, jak gdyby do tego mózgu chciały zaraz się jakieś myśli wedrzeć. Aż się otrząsnął i rzekł:

— Cicho! nie myśl!

Żeby nie myśleć, jął rozpakowywać swe rzeczy z pośpiechem i wyjmować z kuferka różne toaletowe przybory; zaczął je rozmieszczać systematycznie na stole, który Wandzia sama białym obrusem zasłala. Wyjmował z neseseru i lusterko i brzytwy i puszkę z mydłem, jak gdyby to było jego zwyczajem. Wyjął z kuferka inne ubranie, złożył je, wyrównał ręką fałdy jak zawodowy krawiec, gdy nowe ubranie klientowi przynosi.

Wreszcie zaczął się Hojski powoli, systematycznie rozbierać, ale nagle, na jego szczęście otworzyły się drzwi i wszedł lokaj, wciąż mrużąc jeszcze swe zaspane oczy i wycierając je kułakiem.

— A dobrze, Macieju! — rzekł do niego Władysław — rozbierz mnie, proszę, ściągnij buty, bo jestem bardzo zmęczony.

Maciej z trudem nachylił swą postać zaspaną i zaczął ściągać Hojskiemu buty a ten się wdał w konwersacyę.

— A późno to twoje panie wstają?

— Różnie bywa — odparł Maciej.

— A pan Benedykt?

— O ten to lubi spać!

— A któż przyrządza śniadanie? czy gospodyni?

— Nie, panna Wanda!

— A mój kochanku, czy masz tam rano herbatę?

— A mam! bo jaśnie pani zawsze w łóżku pije.

— To przyniesz że mi też rano filiżankę herbaty.

Lecz wreszcie i lokaj wyszedł, niosąc ze sobą buty. Władysław znowu pozostał sam, ale leżał już w łóżku i palił papierosa. Miał przynajmniej w tej

chwili zajęcie przed sobą ścigania okiem dymu, który się leniwie rozpraszał.

Skończył wreszcie palić, zaczął go zlekka moryć sen. Miał już świecę zgasić, gdy wtem przypomniał sobie, że nie zmówił wieczornego pacierza, do którego była wdrożyła go Helcia i który potem przywykł był co wieczór za jej duszę odmawiać.

Chwilkę się zawahał czy ma dziś mówić ten pacierz, było mu już ciepło, dobrze pod kołdrą i nie chciało mu się wstać. Wreszcie i jakieś sceptyczne mu przyszły myśli.

— A po co teraz?—rzekł mu jakiś głos.

Przemógł się jednak. Ukląkł przed łóżkiem i zaczął się modlić pospiesznie jak nigdy.

— Zdrowaś Marya, łaskiś pełna, Pan z Tobą...

I mówił coraz prędzej, jak gdyby go ktoś gnał.

— Wieczne odpocznienie racz jej dać Pani!..

— Wieczne odpocznienie racz jej dać Pani!..

Gdy wreszcie skończył trzykrotne sakramentalne słowa modlitwy, zerwał się, obejrzał się po pokoju czy nie znajdzie jakiejś książki lub jakiejś gazety. Zapomniał tym razem wziąć z sobą coś do czytania. Chodził więc po pokoju i szukał.

Ale na wierzchu nie było nic, odsunął więc jedną szufladę w komodzie i znalazł: dno szuflady wysłane było jakąś gazetą.

— To pewno ta porządna, systematyczna Wandzia tu włożyła, by się nie brukało ubranie, rzekł do siebie półgłosem. Ten miły gospodarz! A nie wie ta mała, jaką mi tem oddała bezwiednie usługę, a może i sobie samej.

Władysław [prędko] pochwycił swą zdobycz,

wskoczył do łóżka, zakrył się kołdrą jak najwyżej i czytał:

— Wielka Brytania i Europa.

— „Poczwórne przymierze, o którym mówiliśmy niedawno, jeszcze się kołacze po dziennikach, zwłaszcza paryskich...”

— Ach to dobrze, że się kołacze! jak to dobrze! przerwawszy czytanie, mówił do siebie Władysław, dobrze, że się coś zawsze gdzieś kołacze i jest o czym pisać i o czym czytać.

A potem skończywszy o Wielkiej Brytanii i Europie sążnisty artykuł, czytał korespondencyę z Moskwy w sprawie kształcenia kobiet w Rosyi: o energii życiowej Rosyanek i o wielu innych jeszcze rzeczach, które jego umysłu nie interesowały nic a nic w tej chwili.

Po przeczytaniu korespondencyi też od deski do deski strach go brać zaczął, że się gazeta niebawem skończy, pozostawała jeszcze tylko rubryka o warunkach prenumeraty i o cenie ogłoszeń, ale i to się niebawem wyczerpie.

Ale trafił nareszcie na rubrykę „W sprawie polityki wewnętrznej.”

— Ach tę, niech już dyabli biorą! zawołał, — dość już tego przelewania pustego w próżne.

Obudził się nazajutrz dość wcześnie. Jasne słońce wiosenne zalewało pokój.

— Ach ranek! dzięki Bogu! zawołał wesolo.

XXI.

Szło wszystko jako tako przez parę dni i Władysław potrafił dotąd odganiać złe myśli.

Pewnego razu, gdy popijano w salonie kawę po obiedzie, zamyślony Benedykt, mieszając mechanicznie łyżeczką cukier w czarnej kawie, uśmiechnął się nagle.

Zauważyła to Wanda i zapytała:

— Jakaż to myśl ci przysłała wesoła, żeś się uśmiechnął?

— Przypomniała mi się ta chwila, — odparł Benedykt, — gdyście klękneli przed mamą, prosząc o błogosławieństwo, i przyszło mi na myśl, że właśnie dziwnym zbiegiem okoliczności w tem samym miejscu przed dziesięciu laty, Władysław uklęknął przed mamą z Helcią...

Chciał coś dalej mówić Benedykt, gdy nagle Wanda przerwała rozmowę i, spostrzegłszy gdzieś muchę, zawołała:

— Ach, patrzajcie, moi kochani, już mucha! wiosna, już wiosna, muchy latają.

Pomimo tego przytomnego znalezienia się Wandzi Władysław zzieleniał, nietylko zbladł. Ale i on nie chciał wspominać, zajęli się więc wszyscy tą muchą, jak gdyby to było jakie dziwaczne stworzenie, nieznane przyrodnikom.

Przystąpili wszyscy do okna, badając muchę, a szczególnie rozwodził się nad nią Benedykt, chcąc naprawić swój błąd.

Mucha laziła najniewinniej po szybie, nie wiedząc nawet, że jest przedmiotem takiej uwagi.

— Jakaś to inna mucha niż zwykła, mówił Benedykt.

Jednak przez długą godzinę nie mogło się rozchmurzyć czoło Władysława. Zrobiła się w mózgu szczelina i myśli chciwie zaczęły zalewać ten mózg, jak woda co się wszędzie wciśnie, — Benedykt zaś niebawem wyszedł z pokoju wściekły na siebie.

— Oto moje szczęście! mój zwykły okrutny magnetyzm. Dopóki Władysława nienawidziłem, dopóty mu nigdy nie potrafiłem nic powiedzieć przykrego. Teraz gdy mam dla niego obowiązki wdzięczności i przywiązanie prawdziwe, gdym się zupełnie przekonał do niego, — teraz mu palnąłem niechcący taką przykrość, że aż w pięty mu poszło. Trzeba mojego szczęścia!

Władysław tego wieczora miał silniejszą walkę do stoczenia z sobą niż kiedykolwiek. Tak mu Benedykt zapakował w głowę ten obraz, że nie mógł się go pozbyć. Ciągłe mu się w mózgu mieszały te obie kobiece postaci jak w kalejdoskopie. Zdawało mu się, że w głowie mu tańczą duchy jakiś taniec piekielny, jakies ciągle „*chaîne*“, w którym to Helci rękę podaje, to Wandzi.

Ale jeszcze udało mu się od tych mar obronić. Stał przed lustrem i niby hypnotyzował sam siebie.

— Milcz, głupcze! — Zrobiłeś to zrobiłeś! Nie ma czego żałować! zresztą już nie pora! Tamtej nie potrafiłeś wyrwać ze śmierci szpon, tę chcesz już sam strącić do grobu. Bierz co ci dają i kwita! Żenił się po raz drugi niejedyn, ożenisz się i ty! Chciałeś być

wielkim oryginałem, a jesteś płaskim stworzeniem, takim jak wielu innych.

Wandzia jednak instynktem kochającej kobiety poznała nazajutrz pewną różnicę w sercu Władysława. Przywitał się jakoś mniej czule, pocałował ją w rękę trzy razy, serdecznie, jakby przeproszał, ale w oczy nie spojrzał.

Strasznie ją to w pierwszej chwili zabolalo. Z początku chwycił ją gniew na Helcię.

— Czemu nas męczysz? powiedz! mówiła myślą.

— Cóż ci z tego przyjdzie? To taka niby jesteś dobra i taka łagodna? Miałaś sama szczęście lat kilka, a teraz żałujesz mnie tej jednej chwilki?

Ale niebawem przyznawała swą niesprawiedliwość. Przecie Helcia temu winna nie była, że serce Władysława żyło, czuło i pamiętało.

Tak zaczęły ją nagle dusić łzy, iż wstała i wybiegła do swego pokoju i tam przed obrazem Matki Boskiej zaczęła płakać i przeproszać za tę niesprawiedliwość wobec pamięci Helci.

Wreszcie jakieś uspokojenie wstąpiło w jej serce.

— Darmo, rzekła do siebie, — z tem muszę się zgodzić, że on zawsze pamiętać będzie. Wiem com robiła i kogo wybrałam. Będziemy się z nim razem za Helcię modlili. Życie jego będzie do mnie należeć, a pamięć i modlitwa do niej. Na to rady niema.

I odtąd szukała pierwszej sposobności, by o tem z Władysławem pomówić. Jednakże ciężko jej szło, gdy chciała mówić, znowu gniew jakiś i zazdrość wchodziły do serca.

Wreszcie kiedyś tak Władysław wyglądał smutny, przybity, tak nisko zwiecił swoją głowę, iż zdję-

ła Wandę litość. Nie mogłaby jeszcze zrobić tej ofiary dla pamięci Helci, — ale czegóżby nie zrobiła dla spokoju Władysława.

Czas był piękny, wiosenny, słońce jasno świeciło, Wanda namówiła Hojskiego, by wyszedł z nią na spacer.

Wszędzie dokoła było jeszcze mokro i brzydko, poszli więc do ogrodu, do cienistej grabowej alei.

Hojski podał, milcząc, Wandzi rękę, a ona się zaraz przycisnęła do jego ramienia i rzekła mu:

— Czy memu drogiemu panu przyjemnie tak prowadzić ze sobą swoją Wandzię, już tak zupełnie należąca do niego.

— O bardzo miło! — bardzo słodko! — rzekł Władysław łagodnie.

Chciała już mówić o Helci, lecz coś ją nagle wstrzymało. Jemu tak było miło i słodko z nią, po co mu więc mówić o zmarłej. Powie mu kiedyś indziej.

— Władysławie! mój Władysławie, zaczęła ci cho, ty nie uwierzysz, co się ze mną dzieje, gdy tak idę przy tobie. Zdaje mi się ciągle, że to tylko sen, z którego się niebawem obudzę. Czasem mam takie uczucie, że już, już, ktoś wejdzie, zawoła na mnie i zniknie cudne marzenie. Gdy się budzę od kilku dni, to zaraz mi stajesz w myśli, a potem aż krzyknę:

— Ach to nieprawda! to ja śniłam! Jego tu niema! to sen był tylko! A potem głowę chowam w poduszki i chcę spać dalej, by śnić o mojem szczęściu.

Władysław milczał tylko na te słowa Wandzi, szybciej oddychał, podnosiły mu się nozdrza, mózg zachodził pomroką.

— Więc Wandzia mnie kocha? kocha? pytał.

— Ale nie, Władysławie! czyż to jest kochanie? to nie jest miłość, to jest coś takiego, co nie ma nazwy, — to jest takie zupełne oddanie się tobie mojej całej istoty, że zdaje mi się, żebyś mi teraz kazał głowę odciąć i rzucić ci pod nogi, tobym to zrobiła z radością.

Władysława trochę przeraził ten wybuch.

— Mój Boże! myślał, a cóż ja jej dam? Namietność, może przelotną, jaką miałem dla Dory, a potem co? Wygasłe serce?

— Władziu! Władziu! szeptała dalej Wandzia, my będziemy szczęśliwi! my musimy być szczęśliwi! nieprawdaż, Władziu?

— Dziecko moje! odrzekł Władysław, przyciskając jej ramię.

Jednak do siebie mówił inaczej.

— Szczęśliwi? my szczęśliwi? A gdzież to szczęście znajdziemy? w wiecznej rozterce uczuć? Gdy do niej się zbliżę na chwilę, to potem znów głos tamten zawoła mnie i pójdę myślą do tamtej. A czyż Wanda zrozumie mnie i wytłómaczy?

Na te wybuchy miłości Wandy Władysław odpowiadał tak mało w tej chwili, kontentując się ścisnięciem jej ręki, że w końcu zastanowiło to Wandzię.

— Mój pan smutny, nieprawdaż? spytała, patrząc mu w oczy.

Ale Władysław się bronił:

— Zdaje ci się, dziecko, — nie jestem smutny, tylko uroczysty; twe słowa taką mi są słodką melodyą dla ucha, że słucham tylko, słucham całą duszą.

Wanda umilkła i znowu ważyła w sobie, że na-

leży rozpocząć wreszcie rozmowę o Helci. Dręczyła się, ale jakoś jej te słowa wyjść przez usta nie mogły.

— Cóż ja mu będę mówiła, myślała sobie, kiedy ja teraz nie czuję tego. Poczekam aż mi się jakoś samo złoży. Biedna ta Helcia! Mój Boże, ale trudno!

Turkot wózka w dziedzińcu przerwał jej wanie.

— A któż-to ten nieszczęsny? tak nie w porę?— mówiła Wandzia, patrząc przez ogrodzenie.

Naturalnie tym nieszczęsnym był Łomski, który do wielu swych wyższości nad innemi nieszczęśliwcami tego świata łączył i zwykłą szansę zjawienia się nie w porę. Prawda znów, że nigdy nie było tej pory, w której byłby radośnie witany, szczególnie przez Wandzię.

Musieli wrócić z ogrodu narzeczeni. Łomski się kłaniał uprzejmie, po kilka razy, i jak zwykle nie wiedział, co mówić. Wanda była nierada z tej wizyty, nie chciała zaczynać rozmowy—Władysław nie widział do tego potrzeby—więc w końcu nieszczęśliwy Łomski odkrył Amerykę.

— Mamy przecie wiosnę!—rzekł.

— W samej rzeczy, odrzekła Wanda trochę drwiąco; ale potem przyszło jej na myśl, że nie wypada być niegrzeczną przy Władysławie—zaczęła więc pytać Łomskiego:

— A pan pewnie się cieszy, że już się rozpoczną niebawem siewy?

— A tak, pani!—rzekł Łomski—wstępujemy w nowy rok pracy. A cóż ja miałbym do roboty lepszego niż praca. To całe moje szczęście.

— Bóg cię wynagrodzi kiedyś, mój panie—rzekł mu na to Władysław. Pan, jak widzę, jesteś wybor-

nym filozofem; z dnia jednego na drugi i znowu dalej.

Wejście pani Starowskiej i Benedykta zrobiło rozmowę bardziej ogólną. Dwuznaczna pochwała Hojskiego dodała nieśmiało Łomskiemu otuchy.

Gdy na chwilę cisza zaległa, rzekł do Łomskiego Benedykt z odcieniem okrucieństwa w uśmiechu.

— Cóż, Stasiu—winszowałeś?

— Gdzie? komu? — zapytał zdziwiony Łomski, i przerażony że wobec kogoś nie spełnił takiego kardynalnego obowiązku, jakim w jego pojęciu było winszowanie lub kondolencya.

— Moja siostra zaręczona z tu obecnym panem Hojskim.

Łomski się zerwał, zaczerwienił, a później zbladł, potem znów się zaczerwienił i wyrzekł wreszcie, zbliżając się do Wandy, drżącym nieco i smutnym głosem:

— Proszę pani!... niewymownie jestem szczęśliwy!... taka osoba, jak pani, warta największego szczęścia;—o panu Hojskim wiele słyszałem i wiem jakim jest, ale żebym nawet nie wiedział, to dosyć mi byłoby tego dowodu, że go pani wybrała. Cóż ja dla pani znaczę?... nic!.. a je tnak zechciej pani przyjąć życzenia... tak szczerze życzenia...

Rozczuliła się Wanda i podała mu rękę, którą on pokornie ucałował trzy razy—a potem się zwrócił do Władysława.

— Panu to chyba nie mam co mówić, ani winszować. Pan sam najlepiej wie jaki pan skarb bierze.

Hojski przyjął chłodno te pochwały dla Wandy. Mózg jego lekko musnęła myśl:

— Jak skarb, to mój—a tobie nic do tego.

Łomski siadł i wyglądał odtąd rozpromieniony. Przelotny kurcz zazdrości w sercu Władysława

wa prędko przeszedł. Rozpromienienie Łomskiego zaczęło go rozczulać.

— Oto serce! oto człowiek, myślał—że też to Pan Bóg tak szlachetne przymioty włożył w tę barbarwną istotę. Ten się Wandy szczęściem cieszy jak swoim, ja zaś ją mam, a zamiast o jej szczęściu myśleć, ponieważ ono w mem ręku leży—waham się, tęsknię za marą, za urojeniem, za wspomnieniem tylko.

Ale nagle przemówił do niego jakiś wewnętrzny głos.

— Więc tak? to już Helcia urojenie? mara? więc nad całą przeszłością, nad latami szczęścia, które ci Helcia dała, zrobiłeś kreskę? *Schwamm drüber!*—masz rację!

I coś go tak strasznie ścisnęło za serce, że wstał i wyszedł do siebie.

Lecz Wandzia się zaniepokoiła i biegła za nim.

— Władysławie! — dokąd idziesz — czy ci nie słabo? Takeś zbladł nagle.

— Nie, nie, moje dziecko — odrzekł — ja wrócę natychmiast.

Puściła go, a on wszedł do siebie, ręce w kieszenie włożył i, chodząc po swoim pokoju, rozmyślał:

— Ach! jaka to straszna rzecz ten cały mój stan i ta pozycya bez wyjścia. Czy ja zawsze będę cierpiał takie katusze? Czy mnie zawsze będzie nękać ten obraz Helci? czyż ja nigdy nie będę pił rozkoszy z ust Wandy, bez tego bym widział przed sobą smętnych i bolesnych oczu Helci? Co ja zrobiłem? mój Boże! biedna Wanda!...

Szaro zaczynało się robić na dworze, nadchodziła noc, z wilgotnej ziemi powstawały pary i zaciągały wszystko jakąś smętną mgłą.

— Mój Boże! oświeć mnie! — powiedz, co mam czynić! lub daj mi siły bym musiał żyć jak inni żyją, brał to szczęście, które mi dajesz, bez żadnych żalów i wspomnień o tem co przeszło.

— Ale nie! — ciągnął — tego nie potrafię, wiem, że już szczęścia nie zaznam, czuję, że dla mnie nektar będzie zawsze pełen goryczy.

Chodził tak po pokoju długo i wreszcie zapragnął wrócić do domu.

— Ale jak tu wyjechać? Nie mam nawet pretekstu; nic się jeszcze nie omówiło, nie wyznaczony dzień ślubu — a trzebaż przecie raz skończyć, ma być, to niech już będzie prędzej! Jak klamka zapadnie, może się uspokoję.

A potem się znowu gniewał na siebie Władysław za tę nową niewierność dla Wandy.

— Raz zrobiłeś, to daj sobie pokój; powiedziałaś jej, że kochaasz, to Kochaj! — złamałeś wiarę Helci, to trzymaj się przynajmniej tej ostatniej przysięgi. Po ślubie klamka ci nie zapadnie mocniej niż teraz; powiedziałeś już słowo, rozbudziłeś w niej nadzieję, więc trzymaj się swego. Czy słowo, czy ślub kościelny to przecież jedno. Mógłbyś zerwać, gdybyś spostrzegł, że jest ciebie niegodną i że jako taka nie ma prawa wejść do tego domu, w którym królowała Helcia. Ale cóż możesz Wandzi zarzucić? Miłe, szlachetne stworzenie, kocha cię nad życie, prawa w niej natura, czemuż nie miałbyś jej kochać duszą?

— Oho! nie! — zawołał na te wewnętrzne słowa, duszą to nie; dusza moja tam! dusza przy Helci, Wandę mogę kochać sercem, nie duszą.

Czuł, że trzeba wracać, bo się Wandzia o niego niepokoić będzie, ale jeszcze nie mógł.

Jakiś głos ciągle mu szepcze:

— Wracaj do salonu! Po co te rozmyślenia jałowe?

Ale się wreszcie otrząsnął przeciwko temu głosowi!

— A cóż do dyaska!—nie mam-że prawa nawet o Helci pomyśleć? Gdyby tak być miało, to wolę rzucić wszystko. Słowo czy nie słowo. Niech się uspokoje przynajmniej!

Siadł, oparł się łokciem o stół i siedział bezmyślny.

Po chwili czy nietoperz, czy jakiś wiosenny owad stuknął w szybę; Władysław podniósł oczy na niebo.

Jeszcze się ono różowiło trochę na horyzoncie, lecz już sklepienie ściemniało. Naprzeciw jego okna zapaliła się gwiazdka. Hojski spojrział w nią, znów mu na myśl przyszła serenada Dupratto i rzekł głośno:

— Biedna gwiazdka! biedna moja Wandzia!
Wstał i wrócił do salonu.

XXII.

Nazajutrz Benedykt przy rannem śniadaniu oznajmił, iż zamierza jechać do Warszawy. Pięć dni minęło od czasu przyjazdu Władysława, w pierwszych chwilach niezręcznie było Benedyktowi opuszczać dom i przysłego szwagra, więc tylko listownie uprze-

dził Słuckiego o swoim niedalekim przyjeździe z piennędzmi.

— Chcesz jechać?—rzekł Hojski, to jedź razem ze mną. Troszkę ci dalej do Jędrzejowa, ale mniej się zmęczysz, wypoczniiesz w Sławianach po zmudnej drodze i będzie nam we dwóch weselej jechać ten cały dzień po bezdennych błotach.

— A dobrze!—zaczął Benedykt.

Ale mu wnet Wandzia przerwała:

— Jakto, Władysławie, chcesz już jechać, już? już?

Władysław się uśmiechnął i rzekł.

— Trochę pora! moje miłe dziecko, siedzę już pięć dni, a dzisiaj będzie szósty.

— Za nic na świecie nie puszczę cię tak prędko!—wolała Wanda.

— Chętniebym został, Wandziu—ale nawet nic z sobą nie wziąłem z rzeczy. Wybrałem się tylko jak na dzień jeden.

— Co tam rzeczy, to się pośle po nie. Napiszę ja sama do poczciwego Michała, to ci przyśle wszystko.

— No tak—uśmiechał się Władysław—ale rzeczywiście, Wandziu, muszę teraz wracać. Pamiętaj że to wiosna, muszę dać rozporządzenia w gospodarstwie—wszakże siewy za pasem.

— Albo to taka ważna rzecz siewy, rządca twój da sobie rady bez ciebie.

— Wrócę niebawem, Wandziu, ale teraz jechać muszę koniecznie. Mam zaledwie od dwóch tygodni guwernera przy Bolciu—jeszcze nie miałem czasu dać mu wszystkich wskazówek, muszę zobaczyć jak tam się wziął do nauki.

— Przyznaję! — może i masz rację, mój Władziu—błagała Wanda, składając ręce jak do modlitwy—ale proszę cię na wszystko na świecie—błagam cię, zrób to dla mnie i zostań jeszcze trzy dni, choć tylko trzy dni. Benio też nie potrzebuje się śpieszyć, niech ten lotr Słucki poczeka.

Wchodząca do pokoju pani Starowska zapytała o co to chodzi, a dowiedziawszy się o planie wyjazdu Hojskiego, zaczęła także nalegać.

— Ale musisz koniecznie jeszcze pozostać, mój drogi. Zresztą dotąd tylko patrzyłam na waszą miłość i na wasze gruchanie, moje drogie dzieci, a trzeba trochę i o interesach pomówić i trzeba też coś oznaczyć—jakiś termin...

Ale Wandzia przerwała matce.

— Kiedy widocznie, mamó, Władysław już mnie nie chce, ponieważ nie może zrobić dla mnie tej małej ofiary.

Taka była milutka, mówiąc płaczliwie te słowa, że Władysław aż drgnął z rozkoszy, patrząc na nią. Te słowa Wandy, że on już jej nie chce, podziałały na niego jak uderzenie szpicrutą.

— Poczekaj! — ja ci pokażę, jak cię nie chcę—rzekł wesoło, błysnąwszy okiem i pokazując w uśmiechu zęby;—poczekaj, ja ci niebawem pokażę. A teraz tak: dziś mamy co? zdaje się wtorek, a zatem wyjadę w sobotę, masz więc waćpanna za karę dni cztery—ale mi to zapłacisz, to ci powiadam.

— Biedna ja! biedna ja!—udawała płacz Wanda, jaka to straszna kara, jak się też boję strasznie tej zapłaty.

— Poczekaj!—rzekł Władysław, później ci poddyktuję moje warunki.

Ale mówiąc te słowa, mienił się cały, to czerwieniał, to bladł, czasem oczy rzuciły błysk, ale jakiś bardziej ostry niż zwykle i po tym błysku nie przychodził uśmiech.

— No dobrze, dobrze—rzekła pani Starowska—ja zawsze lubię wiedzieć wszystko stanowczo co, kiedy i jak. Okropnie nie lubię tego wybierania się każdego dnia i zostawania.

— A ja — odrzekła Wandzia z miną poważną, pozwalam waćpanu wybierać się codzień przez rok, bylebyś siedział codzień przez rok.

— Nie masz co się z nim drożyć—zauważył Benedykt—bo będziesz go miała przez życie całe niebawem.

— *Chi lo sa!* — odrzekła bezmyślnie Wanda — a jak ja tego dnia nie dożyję?

Władysławowi się na te słowa smutno zrobiło. Tak, a któż wie ostatecznie czy dożyje on? W tych żartobliwych słowach Wandzi widział coś złowrogiego.

I nagle zaczął znów myśleć i mówić sam z sobą.

— Cóż? bardzobyś rozpaczał, gdyby cię tak zabierała śmierć przed dniem ślubu!

Na to zapytanie, zadane sobie samemu, tysiące różnych uczuć pokrzyżowało mu się w głowie. Nie mógł żadnego z nich wybrać tak prędko, ale rzucił okiem na Wandzię i tymczasem wzięła w jego mózgu górę ta myśl:

— Jako? ja miałbym nawet nie zbliżyć ust do tego kielicha rozkoszy?

I drgnął cały, odpędził te myśli i zaproponował, by przejść do salonu.

Ta propozycja miała podwójne znaczenie: chciał

w salonie gawędzić z Wandzią i chciał, by na tę chwilę pani Starowska i Benio raczyli pójść precz!

I oni to tak zrozumieli, dlatego też Benedykt wnet żartobliwie zapytał Władysława, udając powagę.

— Mój Władysławie, czyż rzeczywiście koniecznie, nieodmiennie chcesz, byśmy i Mama i ja szli do salonu? czy może się nad nami zmiłujesz i pozwolisz nam iść do innych pokoi?

— Zmiłuję się! rzekł Władysław z odpowiednim patosem.

— Bożku wspaniałomyślności!— odrzekł niemniej patetycznie Benedykt.

To wesołe przemówienie się i uśmiech figlarny w oczach Wandy rozchmurzyły Hojskiego. Wszedł z narzeczoną do salonu i, gdy byli sami, wnet rzekł jej z żywością:

— A teraz, Waćpanno! oddać zaraz mi do zjedzenia łapki.

— Proszę pana, rób z niemi co się podoba.

Wziął jej rękę i położył sobie na oczach, potem zbliżył do ust i całował długo, długo, aż do utraty tchu.

— Cóż, moja pani — bardzo rada ze mnie, że tak długo zostaję? zapytał przerywanym głosem.

— Ach prawda, rzekła, miałeś żądać jakiejś zapłaty, co to ma być?

Lecz znów się twarz Władysława poczęła mienić i znów brakło mu oddechu.

— Poczekaj! rzekł, — później ci powiem, teraz się boję.— A nuż się nie zgodzisz, to będę musiał wyjechać zaraz.

— O to jestem zupełnie spokojna, — odrzekła Wanda najnaiwniej w świecie, — bo niema tej rzeczy pod słońcem, którejby nie zrobiła dla ciebie.

Spojrzała nań i przestraszyła się: Władysław tył głowy oparł o poręcz wysokiej kanapy, zamknął oczy i był bardzo blady.

— Co ci? zawołała.

Ale on wnet się otrząsnął, podniósł głowę i uśmiechnął się z wysiłkiem widocznym.

— Albo co? dlaczego mnie pytasz?

— Bo znowu siedziałeś taki dziwny, zamyślony, jak gdyby cię jakaś myśl dręczyła.

I przyszło jej do głowy, że gdy ona mówi do niego, on myśli może o Helci. Ścisnęło się jej serce, silny rumieniec okrył twarz; powzięła nagle postanowienie rozmówienia się wreszcie w tej kwestyi.

— Co ma być to będzie, pomyślała, — jeżeli nie stanę obok niego i nie będę mu towarzyszyła w tych wspomnieniach, to jeszcze gotów oderwać się odemnie i żyć tylko temi wspomnieniami.

Już miała na ustach słowa, od których zamierzała rozpocząć, gdy Władysław, przecierając sobie oczy, jak gdyby się budził ze snu, rzekł cicho:

— A więc niech będzie -- Wandziu, ja od zmysłów odchodzę, — Wandziu daj mi tę zapłatę.

Mówił tak błagalnie, taki był drżący, że Wandzia nie wątpiła, że jej chce mówić o Helci.

— Ależ mój Władysławie! — rzekła, — powiedz, czego żądasz?

Ale wtem Władysław zbliżył swą twarz do jej twarzy, i cicho, chrapliwym głosem, rzekł:

— Daj mi usta!

Wandzia krzyknęła, zerwała się z miejsca, rękami przykryła twarz i długo stała milcząca. Władysław, tem przerażony, widząc jakie wrażenie wy-

warły na Wandzię jego słowa, — wstał, wziął ją za rękę, i mówił:

— Wandziu miła! co? nie chcesz?... przecież to takie naturalne!... o co ci chodzi? wszak już jesteś moją, wszak już do mnie należysz.

Wreszcie Wanda odjęła rękę od twarzy i, patrząc na niego smutnym jakimś wzrokiem, rzekła mu:

— Wszystko mi przychodziło na myśl, tylko nie to, dlatego nie mogłam zrozumieć o co ci chodzi; — jeżeli chcesz koniecznie, to jak ci mówiłam, niema tej rzeczy, którejbym nie zrobiła dla ciebie; — ale jeżeli możesz, zrób dla mnie ofiarę, tę jedną ofiarę. Milczała przez chwilę zamyślona, a Władysław stał przy niej zawstydzony, pokorny, przed tą czystą dziewicą.

Potem znów mówić zaczęła.

— Może to niedorzeczność z mej strony; — ale ja się tak boję! tak boję! — dodała po chwili.

— Czego się boisz?

— Że pryśnie czar!

Mówiąc ostatnie słowa, znów oczy ręką przykryła, a Władysława niewymowne rozczerzenie chwyciło za serce.

— Nie pryśnie czar! nie, nie! moja Wandziu; nie, nie chcę już nic, zrobię ci tę ofiarę.

Wanda odjęła szybko rękę od oczu i uśmiechnęła się.

— Dziękuję Ci — rzekła prosto.

Następne dni minęły spokojniej dla Władysława i nieco weselej. Pani Starowska postawiła na porządku dziennym kwestyę dnia ślubu.

— Cóż, niech mój pan decyduje, którego dnia mnie zechce wziąć za swoją! proponowała Wanda.

— Ja? kiedy? — rzekł wesoło Władysław. Od ośmiu dni chcę każdej chwili.

Wandzia spojrzała na niego z wdzięcznością, a on już ciągnął dalej poważnie.

— Mamy dziś 23 marca a zatem 23 kwietnia, za miesiąc, czy dobrze?

Wandzia się uśmiechnęła, ale pani Starowska aż wstała z oburzenia.

— Jakto? za miesiąc? ależ wyprawa? nigdy nie zdążymy na czas.

— Ależ, kochana Ciociu, reflektował Hojski, cóż mamy ze sobą jeszcze grać komedię z wyprawą. Właśnie mi chodzi o wyprawę Wandzi. Żeby nie post i ten fakt, że trudno się obyć bez zapowiedzi, to- bym ją wziął dziś zaraz tak jak stoi.

— Rozumiem mój drogi, — oponowała pani Starowska, jednak przecie zawsze trzeba coś zrobić, chociażby suknię ślubną, trochę bielizny, jakichś parę porządniejszych sukien.

Na to wyliczanie przemknęła przez głowę Władysława myśl o szafach w Stawianach, pełnych bielizny Helci i sukien.

I zbladł, zacisnął usta i znowu wyraz ponury wystąpił w oczach.

Ale pani Starowska realnemi kwestyami zaraz ściągnęła go na ziemię.

— Więc dobrze! jak sobie chcesz; trzeba nam jednak koniecznie jechać do Krakowa po pieniądze Wandy, a potem do Warszawy, choć po niektóre rzeczy.

— Czemu macie, moje panie, — rzekł Władysław, zadawać sobie ten trud i jeździć raz do Krakowa, potem do Warszawy, po tych fatalnych drogach. Ja

mogę zaforszuszować te pieniądze, to rzecz naturalna zupełnie. Jedźcie z Benedyktem do Stawian, a ztamtąd do Warszawy na Jędrzejów.

— Nie, odrzekła pani Starowska, z Benedyktem razem nie możemy jechać, po pierwsze nie możemy domu tak zostawiać na łasce Bożej...

— Już lepiej, jak Benedykt będzie wracał z Warszawy, to temi końmi, które pójdą po niego, zabierzemy się do Stawian, rzekła Wandzia, kiedy pani Starowska wyszła.

— Tak, to może najlepiej! to i koni się oszczędzi.

Władysław jak wszyscy w tych stronach dbał nadzwyczajnie o konie; rozczuliła więc go przezorność Wandzi.

— Mój miły gospodarz! rzekł jej, posyłając pocałunek ustami. I dorzucił: cały miesiąc!...

— Po tym tygodniu zostaną już trzy tylko, trzy tygodnie do chwili, w której będę już twoją, twoją na wieki.

— Na wieki! na wieki! powtórzył Władysław, ściskając jej ręce i patrząc czule w jej oczy.

Puścił jej ręce i zakrył sobie oczy, jakby te wyrazy widmo przeszłości wywołały.

Wandzia nie zrozumiała; przyszło jej na myśl, że to pragnienie owej „zapłaty“ taką burzą przeleciało przez jego twarz.

I zdjęła ją litość.

— Biedak! czegoż ma się ostatecznie tak męczyć dla mojej fantazyi!—mówiła do siebie. Przecież to nie grzech żaden, nie zbrodnia. Przecież wszyscy narzeczeni...

I na tę myśl owładło Wandzią uczucie rozkoszy.

— Niech spróbuję i ja!—rzekła do siebie,—może

to rzeczywiście rozkosz tak wielka to zlanie się i ust i dusz. Biedny Władysław! poco ma cierpieć. Gdyby raz jeszcze poprosił..

— Czyż nie byłoby szlachetniej z mej strony? pytał sam siebie Władysław, opuszczając ręce,—bym się wypowiedział przed Wandzią i sam jej powiedział, na jaką część mej istoty może rachować. Bo dusza moja tam, przy umarłej.

— Władysławie!—rzekła głośno Wanda z odcieniem wymówki, — o czym się tak zadumałeś?

— Przeniosłem się chwilkę myślą do Paryża, ocknąwszy się, odrzekł Władysław, byle coś powiedzieć.

Ale mu dalej Wanda mówić nie dała; zerwała się na równe nogi i cała czerwona od gniewu powtórzyła:

— Do Paryża?

Władysław aż się przestraszył.

— Czyżby co wiedziała o Dorze? pomyślał sobie.

I przybrał wnet minę poważną, trochę groźną i rzekł z udanym spokojem.

— A cóż to jest, Wandziu? O co ci chodzi?

Wanda odczuła ten jego wyraz groźny, przełękła się, i nagle zrobiła się pokorną i słodką.

Usiadła znowu na kanapkę i uchwyciła Władysława za rękę i mówiła innym już tonem.

— Przepraszam cię, Władziu! to nic! ale bo... widzisz... jękała się.

— Schowała pazurki! pomyślał Władysław,—ale zdjęła go litość nad Wandą.

— Cóż Wandziu? mów! ośmielał ją Hojski.

— Widzisz bo... jękała się wciąż Wandzia,—słyszałam coś... opowiadano mi coś... co mnie tak

przestraszyło teraz, że myślałam z początku... że zwaryuję..

— Cóż takiego? zapytał Władysław, udając zdziwienie.

— Nie mogę ci powiedzieć! — rzekła Wandzia, przysłaniając oczy,—ale mówiono mi,... że tam ktoś... jakaś kobieta... bardzo ci się podobała.

— Kobieta? jaka? kto? —udawał Władysław.

— Może to nieprawda!... ciągnęła Wandzia, ale mówiono mi, że cię spotkano w towarzystwie jednej, sławnie pięknej.

— Ach! pewno widziano mnie z tą biedną Dorą Z. odrzekł, udając obojętność, Władysław, — rzeczywiście. Była to moja znajoma z lat dawnych. Znałem ją jeszcze z Warszawy, gdy nie była tem, czem jest. Spotkała mnie w Paryżu na wyścigach i sama pierwsza poznała. Ponieważ w tej chwili nie miała nikogo ze znajomych w Paryżu, prosiła więc mnie, żebym załatwił jej kilka interesów, które miała w naszej ambasadzie i w konsulacie. Musiałem więc z nią jeździć. Któż ci o tem mówił? —dodał Władysław.

— Benedykt przywiózł tę wiadomość z Warszawy.

Wchodzący właśnie do salonu Benedykt usłyszał swoje imię, więc spytał:

— Wieszacie psy na Benedykcie, słyszę, że o mnie mowa.

— Podobno ci ktoś opowiadał w Warszawie, iż mnie spotkał w Paryżu jadącego powozem z Dorą Z. — rzekł Hojski.

— A tak, ktoś mi mówił, odparł Benedykt, już

nie pamiętam kto.—Ale à propos! wiecie co się z Dorą stało? Nie słyszeliście?

— Nie! odrzekł Władysław.

— Oto wyobraźcie sobie, przyjechała do kraju w interesie jakiegoś niewielkiego spadku, aż tu nagle dostała ospy. Zachorowała, z hotelu więc ją czemprędzej do szpitala przewieźli, bojąc się o resztę hotelowych gości. Wyzdrowiała biedaczka, ale zobaczywszy się w lustrze, zwaryowała odrazu. Podobno ją odwieziono do Tworek.

— To straszna rzecz!

Wanda nie rzekła nic, myśląc, że niema w sercu jej żadnego współczucia dla Dory. Czy Władysław jeździł z nią do ambasady czy też gdzieindziej, — wolała wiedzieć, że ta ohydna Dora, jest *hors de combat*.

— Co to jednak ciekawość ludzka! zauważył Benedykt.—Kilku panów z klubu jeździło umyślnie do Tworek, by Dorę zobaczyć.

— Jakież otrzymali wrażenie? spytał Hojski.

— Podobno okropne. — Jeden z nich wcale nie nam opowiadać nie chciał, i prosił nawet, by go o nic nie pytano.—Drugi dał mało szczegółów o Dorze, ale wiele o szpitalu całym.

— Cóż to za straszna rzecz! — ciągnął Benedykt—rozumiem, że trudno znaleźć amatorów do służenia tym nieszczęśliwym. Podobno niejeden z tych, co z waryatami przestaje, sam kończy waryacją.

— Zapewne—odrzekł Władysław—służyć waryatom jest to bohaterstwo; nie znam większego!

— Czyż to rzeczywiście takie straszne?—pytała Wandzia.

— Zwiedzałem kiedyś—rzekł na to Władysław

—szpital pewien we Francyi. Po obejściu sal wszystkich myślałem, że mnie samemu pomieszały się zmysły. I przyszło mi na myśl dantejskie:

— *Lasciate ogni speranza!*

— Nie mówmy o takich rzeczach smutnych—rzekła płaczkliwie Wanda. Nigdy nie trzeba tracić nadziei, nigdy, nigdy!—nie pojmuję jak można stracić nadzieję.

Władysław rzekł żartobliwie.

— Prawda, to wcale niestosowny temat do rozmowy, szczególnie kiedy się patrzy na taką różową twarzyczkę, pełną życia i jasną jak nadzieja.

Uśmiechał się i co chwila rączkę jej do ust przycisnął.

Szara godzina zastała na swoich miejscach Władysława i Wandę.

— Czy ty lubisz ten zmrok, Władysławie?—zapytała go Wanda.

— I lubię i nie! nieraz go oczekuję i obawiam się często.

— Czego się boisz?

— To godzina rozmyślań i smutku. Boję się swoich samotnych myśli.

— I tu też?

— Tu jestem przy tobie, moja mała! tu mnie miło, ciepło, spokojnie.

Mówiąc to, Władysław bliżej się przysunął do Wandy, jak gdyby chciał jeszcze silniej odczuć bijące od niej ciepło.

I Wanda też ruch mimowolny zrobiła ku niemu, tak że się ich ramiona zetknęły.

W pokoju też panował pół-mrok; Władysław

objął ją ramieniem, do piersi przycisnął i długi pocałunek złożył na jej czole.

A potem głowę nieco w tył cofnął, zatopił w jej oczach swe oczy i znowu po chwili ramieniem ją zbliżył do siebie.

I teraz bez prośb, bez nalegań, spotkały się ich usta; oboje mieli wrażenie, że lecą w przepaść bezdenną.

Nazajutrz trzeba było z powodu złych dróg bardzo wczesnie wyjeżdżać. Wobec tego pośpiechu przy składaniu rzeczy i wybieraniu się w drogę, na silniejsze wybuchy uczuć czasu nie było.

— Jedźcie już—jedźcie!—namawiała Wanda — droga zła, księżyc późno wschodzi, boję się czy dojeździecie do Stawian przed nocą.

— A więc za tydzień!—dowidzenia—mówiła pani Starowska.

— Nawet prędzej niż za tydzień, bo za sześć dni!—mówiła Wanda. Dowidzenia, mój Władziu!—dowidzenia! a ty, Beniu, nie marudź w Warszawie i prędzej nam przysyłaj telegram o konie, może przed czwartkiem zdążysz wszystko załatwić.

— Mój Władziu! — szeptała znów błagalnie—szanuj się, proszę! myśl o mnie! nie dopuszczaj złych myśli żadnych, pamiętaj wciąż, że cię kocham nad życie.

Władysław długo trzymał przy ustach jej rękę, wreszcie siadł do powozu i ruszyli z pod ganku.

Z początku, jadąc, nic nie mówili do siebie obaj podróżni. Władysław był jeszcze myślą przy Wandzi. Ale niebawem pierwszy przerwał milczenie:

— Cóż, Beniu?—nie masz tam jakich matrymonialnych widoków w Warszawie.

— O nie! mój drogi—nie a nic nie mam na widoku.

— Nie rozumiem ciebie—rzekł Hojski—jeździsz wciąż na te karnawały i tak bez celu.

— A cóż!—rozglądam się!—odparł Benedykt;—mam nadzieję, że serce przemówi—ale cóż robić, kiedy milczy uparcie.

— Jakto? więc ani razu nie kochałeś się nawet, ani razu ci nie zabiło serce?

— Ani razu! ani razu! — mówił Benedykt z pewnością siebie.

Starowski oczywiście kłamał, bo podkochiwał się w Warszawie w pierwszych latach bywania nie raz i nie dwa; ale lubił pozować na istotę wyjątkową, niezrozumiałą dla innych. Pomysławszy jednak, że mógł przecie Władysław słyszeć od innych znajomych z Warszawy o kolekcji jego kosztów, dodał:

— Parę razy mi się zdarzyło—podsunąć się do jakiejś panny, w nadziei, że coś w niej odpowiedniego znajdę dla siebie. Ale najczęściej nie znajdowałem nic. Rozumiesz, w głębi serca, pragnąłem chwilami ciszy i przyjaźni kobiecej.

— Nie rozumiem ciebie doprawdy, rzekł Hojski po chwili milczenia. Jakże człowiek młody może się nie kochać.

— Widzisz — odrzekł Benedykt, — ostatecznie, te panny karnawałowe są najczęściej bardzo banalne. Duszy, jakichś poważnych uczuć, niełatwo się w nich dopatrzyć, kto miał w rodzinie przykłady takich kobiet, jak Helcia... i jak jest Wandzia—dorzucił szybko—staje się wymagającym.

Hojski drgnął.

— Aha! rzekł do siebie,—teraz rozumiem! Ten

głupiec wciąż wierny jest Helci. On ją kochał przecie, sama mi to dawała do zrozumienia. Nawet ten osieł więcej wart odemnie i lepiej umie kochać. Tylko ja nie umiem pamiętać. Biorę i teraz namiętność za miłość. Ale namiętność mija, a gdy to przejdzie dla Wandzi, wówczas będzie co? Przecież jak od Dory nie ucieknę. Może zechcę znowu innej, ale mi Wanda oczy wydrapie. A z mojem starem uczuciem dla Helci: Ani innej kochać, ani tamtej wspominać mi nie da. Będę musiał stać się n kezemnym do reszty i może jeszcze Wandzi przysięgnę, że Helcia już dla mnie niczem jest.

— Czy nie lepiej byłoby zerwać?

Ale tu się przypomniał Władysławowi ów pocałunek Wandy. Przymknął oczy i rozkoszny dreszcz przejął go na wskroś.

Na wspomnienie chwili upojenia, zmiękło mu serce dla Wandy. Oczy wciąż trzymał zamknięte i myślał o niej i mówił do niej:

— Moja biedna, dobra Wandziu, cóżem ja winien, że ta walka się toczy w mem sercu? Cóż na to poradzę, że los zawistny chciał, by n przeżył te kilka lat szczęśliwych z tamtą i już nie mógł cię kochać tem świeżem uczuciem. Jakbym ja cię kochał silnie, gdyby w mojej duszy nie było tej trucizny, którą mi Helcia zadała, idąc na tamten świat.

Lecz ledwie tak pomyślał, zaraz mu się przedstawiła nielogiczność i niesprawiedliwość swojego żalu do Helci.

— A to już—mówił do siebie,—egoizm i podłość posunięte do granic ostatecznych. Jeszcze rościsz pretensye do Helci za to, że ci dała szczęście? że nie zostawiła ci po sobie złego wspomnienia, bo byłoby

ci łatwiej zapomnieć. I tobie zdawało się, że jesteś istotą wyższą, choć jesteś takusieńki, jak pierwszy lepszy chłop, który się zaraz po śmierci żony ogląda za drugą, bo nie będzie miał kogo nazajutrz do ugotowania żuru i kartofli i t. d.

Milczenie tak długo trwało, że wreszcie Benedykt czuł się w obowiązku przerwać je. Dojeżdżano do jakiejś wsi, więc spytał:

— Co to za wieś?

Władysław jednak nie dał odpowiedzi; więc Benedykt się zwrócił do niego, by zobaczyć czy przypadkiem nie zasnął pomimo złej drogi.

— Śpisz? zapytał.

— Co? ocknął się Hojski

— Myślałem, żeś zasnął, bo nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Ah! przepraszam! rzekł Władysław, ale nie słyszałem.

— Nic ważnego, odrzekł Benedykt z uśmiechem — pytałem co to za wieś?

— Co to za wieś? odrzekł Władysław, wychylając się z powozu i oglądając wokół, wiesz że nawet nie wiem.

Znał on tę drogę dobrze, ale w tej chwili nie chciało mu się przypominać.

Czuł jednak Benedykt, że trzeba o czymś mówić, by rozerwać zamyszonego przyszłego szwagra, zaczął więc go pytać o jego stosunki sąsiedzkie. Władysław mu mówił o tych i tamtych, których Benedykt znał także, a gdy się zgadało o panu Drwęskim, najbliższym sąsiedzie Stawian, nagle zawołał:

— Wiesz co? — spotkałem go niedawno wracającego ze stacyi, gdy swoją córkę odwoził do

domu z *Sacré Coeur* z Pragi. Bardzo miła panna! ślicznie ułożona! przytem co najmniej 40,000 ua stół. Drwęski niedawno sprzedał las za 70,000. Powinienbyś się z nią zapoznać, może ci się podoba.

— Ech! — odparł smętnie i niedbale Benedykt, któremu w gruncie rzeczy nowe staranie się uśmiechnęło — co mi potem. Pojechałbym do nich chętnie, bo starego bardzo lubię i szanuję, ale już nowa miłość nie dla mnie.

Wyraz „nowa“ jak nóż wpił się we Władysława.

— Przecie — pomyślał, zacinając usta — przecie są na świecie tacy, co nie szukają wciąż nowych miłosnych zachwyków.

— Chcesz tam pojechać? zapytał po chwili Benedykta, możemy jutro po Mszy wpaść na chwilę do Trzciany. To niedaleko; pewnie i Drwęski będzie w kościele.

Już się ściemniło, gdy stanęli w Stawianach. I ludzie byli tak zmęczeni podróżą i konie, że Władysław nie kazał się zatrzymać przed cmentarzem, jak zwykle, zdjął tylko kapelusz i posłał głębokie, pokorne westchnienie do Helci. Postanowił zaraz nazajutrz iść na cmentarz i pomodlić się na tym grobie, badać siebie i zapytać o radę.

Ale źle spał tej nocy, — różne go myśli trapiły, gdy oczy podnosił na portret żony, napadał go wstyd, zjawiały się wyrzuty sumienia. Nie mógł dać sobie rady. Leżał długo i nie spał, a wciąż mu się przed oczami duszy migaly jak cienie te dwie postaci kobiece.

Zasnął późno i wstał też późno, tak że już nie miał czasu pójść na cmentarz przed sumą. Po nabożeństwie zaś przyrzekł Benedyktowi pojechać z nim

razem do Drwęskich. Myślał, jak się wykręcić z tej obietnicy, bo czuł konieczną potrzebę iść na grób żony i ostatecznie rozwiązać pytanie, czy da sobie radę ze swoim stanem duszy czy nie. Projektował, by tę wycieczkę odłożyć.

W kościele spotkali się z Drwęskim po nabożeństwie.

— Bardzo proszę! bardzo proszę! mówił uprzejmie Drwęski, — bardzo będę panom rad, tembardziej, że pan Władysław bardzo rzadkim gościem u najbliższego sąsiada, mówił — a pana Benedykta tak dawno nie widziałem.

Ale nie! Władysław poczuł, że nie mógłby za żadne skarby jechać dziś do Trzciany. On nie mógł obcować z ludźmi, potrzebował koniecznie chwili samotności, by zebrać myśl:

— Widzi pan, — rzekł do Drwęskiego, — otóż i teraz tak się składa, że być u pana nie mogę — pomimo najszczerzej chęci. Tak mię nagle rozboleła głowa, że od zmysłów odchodzę.

I, mówiąc to, zdjął kapelusz i pocierał czoło.

— Pewnie podróż zaszkodziła kochanemu panu, rzekł Drwęski; — taka droga i wiosenna pora to może łatwo o chorobę przyprawić. Bardzo żałuję, ale nastawać nie śmiem.

Benedykt był nierad; panna Drwęska, która też przyjechała z ojcem do kościoła, podobała mu się, a oprócz tego dostrzegł w niej gąskę, nie znającą świata; zerknęła na niego ciekawie, zdało mu się więc, że tymczasem może mieć szanse. Rzekł więc z ubolewaniem.

— I ja bardzo żałuję! cóż robić! odłożymy naszą wizytę na drugi raz.

Ale Hojskiemu przysła myśl, iż dobrzeby było, gdyby Benedykt pojechał i zostawił go w samotności; odezwał się więc żywo:

— Nie, Beniu! ty jedź, dlaczego miałbyś niejechać? Zabierzesz się z panem Drwęskim a ja przyślę konie po ciebie.

Weszli do kościoła, ale się nie mógł modlić Władysław. Rzeczywiście rozboleła go głowa, — jakiś dreszcz mu przechodził po członkach.

Podczas nabożeństwa — ciągle mu się przypominały te czasy, kiedy oboje w tej ławce kolatorskiej siadywali z Helcią.

— A teraz wejdzie inna i na prawach tych samych, — mówił do siebie; — tak, zewsząd, zewsząd będzie tamtą wypychała, wszędzie zajmie jej miejsce, wszędzie.

Tymczasem kapłan, korząc się u stóp ołtarza, mówił:

— „Osądź mię, Boże, a rozeznaj sprawę moją od narodu nieświętego; — od człowieka niesprawiedliwego i zdradliwego wybaw mię.“

A Władysław na te słowa w duszy się zwracał do Boga i mówił:

— Ach osądź mnie, pani! osądź, rozeznaj moją sprawę, wybaw mnie! Czyżem też człowiek zdradliwy i niesprawiedliwy?

I twarz ukrył w dłoniach. Te pierwsze modlitwy Mszy świętej uspakajały go zwykle, tylko dziś nie wiedział dlaczego jakiś niepokój nim wstrząsał. Słyszał błaganie o miłosierdzie, a w nim coś się burzyło.

— Nie przychodzi mi ani miłosierdzie, ani spokój, ani światło — myślał.

— Bo On miłosierdzia nie ma! bluźnił Władysław, — zabrał mi Helcię bezmiłosiernie, a teraz zamiast zesłać pociechę i ukojenie, — zsyła mi nowe, stokroć gorsze męczarnie.

Ale po chwili żałował ze strachem swych bluźnierczych słów, a potem uczuł w głowie i w uszach jakiś straszny szum.

Gdy po nabożeństwie skończonem Władysław wyszedł z kościoła, był taki blady, taki zmieniony, tak strasznie patrzyły mu oczy, że się Drwęski zaniepokoił.

— Ale pan jesteś rzeczywiście cierpiący, — rzekł mu, powinienesz pan koniecznie wrócić zaraz, położyć się do łóżka i wziąć na poty.

Władysław się na te słowa uśmiechnął i rzekł:
— To nic! to przejdzie.

Benedykt więc miał jechać do Trzciany z panem Drwęskim, ale przypomniał sobie, że nie miał jeszcze na sobie surduta, lecz wczorajsze podrózne ubranie. Proponował mu pan Drwęski, by jechał tak, ale Benedykt o tem słyszeć nie chciał.

Władysław klął w duszy Benedykta. Był sobie zaprojektował, że prosto z kościoła pójdzie na cmentarz, — a tu trzeba było zajechać do dworu, by Benedykt się przebrał.

Tej niecierpliwości popuścił też wodze i gdy weszli do domu, rzekł szorstko:

— Spiesz się przynajmniej! Drwęscy czekają przed bramą.

Benedykt był, jak sam przyznawał, niezmiernie czuły na wolę cudzą i jej łatwo ulegał. Niecierpliwość więc Władysława podziałała na niego tak, że zrzucił nerwowo marynarkę, włożył prędko surdut

i, nie spojrzawszy w lustro, wyleciał z pokoju jak szalony.

A gdy już powóz Drwęskich ruszył, Władysław siadł do swego i pojechał na cmentarz, drżąc z niecierpliwości, jakby co go goniło.

Ale nad grobem żony nagle go opuściło to podniecenie. Chciał z nią pomówić a nie mógł zebrać swych myśli, kolana się pod nim gięły.

Siadł na zimnym marmurze i znowu poczuł dreszcz jakiś silniejszy niż przedtem.

— Co mi jest? pytał siebie,—muszę być chory! Dobrze toby było, żebym teraz tak się rozchorował i zdechł. Najlepszeby to było rozwiązanie kwestyi i koniec walki.

I, wsparłszy się o marmurowy sarkofag, zdjął kapelusz, by ochłodzić głowę i rozkazywał sobie myśleć o Helei i poradzić się jej.

— Ona taka dobra była za życia! — szepnął, — ona mnie pewno zrozumie.

Ale znowu owładnęło nim jakieś zmęczenie, senność.

Siedział tak z pół godziny bezmyślnie. Przemógł się wreszcie i wyszedł.

Przy wyjściu z cmentarza nagle takiego dostał zawrotu głowy, że aż się zatoczył i uchwycił się ręką bramy.

— O! źle! — rzekł do siebie, oprzytomniawszy, jestem zupełnie chory.

Bojąc się upaść, przyśpieszył kroku i poczuł niebawem, że mu brak oddechu i że mu ze zmęczenia pot występuje na ciało.

— Masz tobie! rzekł, już się zjawia ten dobroczynny Drwęskiego pot. Dostanę poprostu silnego

kataru, będą ogłupiały przez kilka dni i potem będą używał dalej rozkoszy życiowych. Tak! takie to życie!

Wszedł wreszcie do przedpokoju, zrzucił z siebie palto i chciał iść do sypialni Helci, by tam jeszcze spróbować obudzić w sobie jakieś uczucia i myśli. Ale podrażniły go stojące otworem drzwi od gościnnego pokoju, których w pośpiechu nie zamknął za sobą Benedykt, więc poszedł zamknąć te drzwi.

Wziąwszy za klamkę, mimowoli powiódł okiem po pokoju.

Na łóżku leżała piaskowa marynarka, którą Benedykt był rzucił z pośpiechem, a z kieszeni wysuwał się pugilares.

— Głupiec! rzekł do siebie Władysław, zapomniał pieniędzy. Szczęście, że nikt dotąd tego nie dostrzegł. A może już sprzątnął je kto?

Wziął i otworzył pugilares. Oprócz pieniędzy dostrzegł brzeżek fotografii.

Uśmiechnął się i rzekł do siebie:

— Udaje umarłe serce, a jakąś kochankę na niem nosi.

I wyciągnął fotografię, ale zaledwie rzucił na nią okiem, krzyknął i zachwiał się. Zaszumiało mu jeszcze straszniej w uszach i pociemniało w oczach: była to Helcia. Przetarł oczy: ona, ona! Nagle u spodu dostrzegł napis Benedykta, dwuwiersz częstocho-wski, zrodzony przez chwilę pozy sentymentalnej przed samym sobą:

I będę wiódł dalej swój żywot mizerny
Wierny ci do grobu i za grobem wierny.

Władysław stał czas jakiś jak skamieniały i nagle wybuchnął śmiechem:

— Cha! cha! cha! to ten nawet potrafi być jej wiernym, a ja nie! -- On jeszcze wciąż o niej myśli, a ja już zapomniałem.

I wstrząsnął się całym ciałem jak gdyby go obrzydzenie straszne przejęło. I cisnął w rękę trzymaną fotografię i wyszedł.

Po drodze darł na drobne kawałki tę fotografię, niby wcielenie wyrzutu.

— Wierny do grobu i za grobem wierny — powtarzał wciąż i śmiał się i otrząsał się i pot mu wystąpił na czoło.

Wszedłszy do gabinetu, utkwił wzrok w wiszącym nad otomaną dużym portrecie Helci i żal mu się nagle zrobiło tej fotografii podartej. Wpił mu się w mózg obraz Helci tamten, a nie ten z portretu.

Nie wiedząc co robi, nieprzytomny prawie, odsunął szufladę biurka i wyjął tam schowaną taką samą fotografię Helci.

Wziął do ręki i długo patrzył, aż mu oczyma zaszczyły.

— Helciu! Helciu! duszo ty moja! Helciu! ty mój głosie niebiański. Przebacz! nie tylko pamięć o tobie, ale nawet twoją podobiznę poszarpałem w kawałki. Widzisz jaki ja podły!

I chciał jeszcze innych fotografii Helci poszukać, chciał się niemi otoczyć dokoła, chciał najdrobniejszy rys jej drogiej twarzy ożywić w pamięci.

Lecz gdy okiem rzucił w szufladę, błysnął nagle przed jego okiem niklowany rewolwer. Znów poczuł szum straszny w głowie, ręka nerwowo uchwyciła rewolwer i przyłożyła go do skroni.

Chwilę zawahał się jeszcze; przed oczyma je-

go stanęła Wandzia z wyrazem śmiertelnej trwogi w oczach.

Zdało się Władysławowi, że ją widzi, słyszy krzyk.

Przypomniął mu się ów pocałunek Wandy i zawołał ze wstrętem:

— Prysnał czar!

Pociągnął za cyngiel: rozległ się wystrzał i Władysław runął na ziemię.

* * *

Wanda niecierpliwie oczekiwała wciąż telegramu od Benedykta i koni, a więc hasła jazdy do Ślawian. Tymczasem w piątek nic. Wanda ciągle chodzi do okna, wyglądając posłańca z depeszą.

Raz, stojąc tam przy oknie, spostrzegła na zakręcie konie Stawieńskie: poznała Benedykta. Benio sam wraca, musiało się stać coś złego, — przemknęło jej przez myśl.

I patrzyła dalej z wciąż rosnącym niepokojem.

Nagle taki strach ją zdjął, że zaczęła wołać matkę.

Krzyk Wandzi był tak przeraźliwy, że pani Starowska wpadła ze swego pokoju, rzuciwszy różaniec, do salonu.

— Co ci jest, dziecko? czy pożar?

— Nie mam, ... mówiła Wandzia, pokazując na drogę... patrz!... tam jedzie Benio... Benio sam... wraca... pewnie stało się coś złego...

— Ale z kąd znowu dziecko! uspokajała ją matka, po co się niepokoić przed czasem.

Wybiegły obie na ganek; Benedykt nadjechał.

— Beniu, co to jest? wołała do niego Wanda, czemu wracasz sam?

Benedykt, milcząc, wyszedł był tak bezbrzeźnie

smutny, iż panie zamilkły przerażone i tylko patrzyły na niego rozszerzonymi oczyma.

Wreszcie Wandzia nie wytrzymała, i szarpnąwszy brata za rękaw, rzekła cicho.

— Mów! niech wiem wszystko!

— Tak, rzekł Benedykt, rozstawiając ręce, Władysław już nie żyje.

Pani Starowska uchwyciła się za głowę i krzyknęła, — ale Wanda nie drgnęła nawet.

Zdawałoby się, że już wie to oddawna i że ją to nic nie obchodzi.

— Czy umarł? czy się zastrzelił? zapytała go prawie spokojnym głosem.

— Zastrzelił się! odparł Benedykt.

— Jak? kiedy? pytała nerwowo Wanda, nie spuszczając zeń oczu.

— Pozwólcie! — rzekł Benedykt, — chodźmy do domu, wszystko opowiem. Niech usiądę i niech się uspokoję, bo od niedzieli zdaje mi się, że waryat.

Weszli do salonu, Wanda sunęła się za matką i bratem jak automat. Ruchliwe rysy jej skamieniały śmiertelnym spokojem. Słuchała bez ruchu opowiadania brata, ale kiedy ten powiedział, że wróciwszy na gwałt z wizyty, zastał Władysława z rewolwerem w jednej ręce, a w drugiej z fotografią Helci, Wanda rękami zakryła twarz i dał się słyszeć jej głuchy jęk:

Widząc ten względny spokój siostry, ciągnął dalej Benedykt:

— Nie chcieliśmy go dotykać. Z głowy tymczasem wyłało się dużo krwi, która jeszcze nie była skrzepła i świeciła się, jak czarna plama na froterowanej posadzce. W godzinę nadszedł doktor, pod-

nieśli Władysława i ułożyli na otomanie. Usta miał otwarte, jakgdyby krzycheć chciał, a taki wyraz rozpaczy na twarzy, że nam się serce krajało.

— Jakież powód miał do rozpaczy? — zawołała pani Starowska. Czy to jemu należało rozpaczać, że zabił ją, dodała, wskazując Wandę.

— Naturalnie, — odrzekł Benedykt, — że powodu do rozpaczy nie miał, lecz tylko prawdopodobnie skutkiem wystrzału, usta mu się złożyły tak same. Ale był widok rozdzierający.

— Podły! nikczemny! — mówiła ochryłym głosem pani Starowska. Niema kogo żałować!

Wandzia siedziała wciąż w tej samej postawie, z twarzą w dłoniach ukrytą.

— Pochowaliśmy go wczoraj! skończył Benedykt. Was nie sprowadzałem, bo po co?

— Miałeś rację! po co? odrzekła pani Starowska ponuro.

— Bolcio przyjedzie tu jutro wraz ze swym gubernierem—rzekł Benedykt.

— A to po co? — odrzekła z najwyższą złością pani Starowska.

— No przecież, moja mamó, wypada nam go przygarnąć, któż się nim zajmie?

— A czemuż ten łotr sam o dziecku nie myślał. Dałby mu najlepszą matkę, która już tu na ręku go nosiła. Nie chciał tego, niech dzieciak cudze kąty wyciera.

— Mamó!—rzekła poważnym głosem Wanda— toż przecie syn Helci.

— Chyba dlatego! — odrzekła z niechęcią pani Starowska.

— Zresztą my mamy obowiązki dla Władysława — zauważył Benedykt.

— Piękne ni obowiązki! — ofuknęła go matka — zabił ci siostrę, a ty możesz mówić o obowiązkach.

Do tej chwili Wanda nie rzekła nic. Wreszcie, gdy skończył Benedykt, wstała i wyszła z pokoju sztywna, zimna jak gład. Niczego w jej twarzy nie można było wyczytać.

Przestraszona matka chciała iść za nią, ale Wanda ją powstrzymała ręką.

— O mnie bądź spokojna, mamó! Ja sobie nie zrobię nic. Nie na wiele wam się przydam w tem życiu i niewiele was obchodzę, a jednak nie chciałybym wam pozostawiać choć tego wspomnienia złego po sobie.

Wieczorem na wieczerzę przyszła Wanda jak zwykle, nie jadła nic, ale pocijała herbatę.

Nazajutrz pod wieczór przyjechał Bolcio. Wanda naprzód z samego rana nie czyniła żadnych przygotowań dla niego, Lokajowi dała rozkaz, wbrew swoim zwyczajom, zajęcia się urządzeniem pokoju. Ale gdy się już wieczór zbliżał, zmiękły jej rysy, oczy z chłodnych stały się smutniejsze, zajrzała do pokoju przygotowanego dla Bolcia i własną ręką, stworzoną do troskliwości, przestawiła łóżeczko Bolcia dalej od okna, kazała je parawanem osłonić.

Gdy wysiadł Bolcio, nie rzuciła mu się w objęcia, tylko go spokojnie ujęła za malutkie rączki i długo patrzała na niego. I łza pierwsza zakręciła się w jej oku. Spytała Bolcia cicho:

— Czy Bolcio jeszcze kocha swą ciocię?

— A, naturalnie — odrzekł malec.

Chłodny ton tej odpowiedzi uderzył Wandę. Zmarszczyła lekko brwi, a potem znów spytała:

— A cieszysz się, że będziesz z cicią, że ci ciocia będzie dawać lekcye i opowiadać bajeczki?

— Ja mam teraz już guwernera—odrzekł obojętnie i z dumą mały egoista; już tatuś mi mówił, że jestem za stary, by się uczyć z kobietami.

Słowa te obudziły w niej tylko żalność.

— I na cóż ja komu się teraz przydam?—rzekła do siebie:—nikomu nie potrzebna.

Zostawiła Bolcia i poszła do siebie i tam pierwszy raz od chwili swojego nieszczęścia spojrziała na wizerunek Chrystusa, łzy jej się puściły z oczu.

— Mój Boże? na co ja komu potrzebna?—mówiła szeptem — po co mam żyć? mój Boże! zabierz mnie z tej ziemi.

Po kilku dniach Benedykt wyjechał do Warszawy, by oddać wreszcie swój dług, a także musiał pozostać czas dłuższy w Stawianach dla objęcia po Władysławie opieki nad jego mieniem. Głównym opiekunem został Drwęski, typ solidnego szlachcica, zdrowego na umyśle, na ciele i na kieszeni. Jemu też zostało oddane pod nadzór piękne gospodarstwo Stawiańskie. Opiekunem osoby Bolcia został z urzędu Benedykt, chociaż nie miał on wcale zamiaru zajmować się chłopcem, a miał to zdać na matkę i siostrę.

Benedykt jednak siedział za domem dość długo. Wrócił na święta, ciche, ponure i niebawem znowu wyjechał. Ciągnęła go do Stawian, oprócz obowiązków członka opieki, także chęć zbliżenia się do panny Drwęskiej, która mu podobała się szczerze. Przytem w postępowaniu ojca i panny widział wyraźną zachętę.

Zaraz po świętach, w trzy tygodnie po śmierci Hojskiego, gdy już Benedykta w domu nie było, wpadł pewnego wieczora do Kosiłowa Łomski. Teraz nie przyjeżdżał już on z kondolencją, w palowych rękawiczkach, jak po śmierci Helci, lecz przybył konno.

Objężdżając swe pola, spotkał na drodze kogoś ze znajomych, który pospieszył mu opowiedzieć całą katastrofę.

Łomskiemu na tę wieść krew przypłynęła do głowy. Jak stał, tak ruszył z kopyta, by zaraz Wandzię zobaczyć.

Pani Starowska leżała dnia tego w łóżku, więc Wanda przyjęła go sama.

— Czy pani wybaczy — spytał pokornie ode drzwi—czy pani wybaczy tę moją toaletę?

— Ale owszem, proszę pana — rzekła mu po błażliwie Wandzia.

Łomski wszedł i, uchwyciwszy Wandę za rękę, zaczął ją całować, drżąc z nadmiernego wzruszenia.

— Pani! pani! — mówił — przed chwilą dowiedziałem się i wpadłem, jak stoję, by powiedzieć co czuję. Czemuż Bóg mnie, zamiast niego, nie zabił. Gdybym był wiedział, gdybym był mógł przypuszczać coś podobnego! Choć nie rozumiem jak mógł czyn taki popełnić człowiek którego pani wybrała i do którego uśmiechało się szczęście, ale mi go żal, strasznie żal, a pani, jeszcze więcej. To był obłęd...

Łomski dosyć długo mówił w tym sensie, raz puściwszy wodze uczuciu.

Wreszcie Wanda podniosła głowę i tonem suchym przerwała:

— Dlaczego pan mi mówisz to wszystko?—spytała go, gdy urwał.

Łomski się zmieszał i nie wiedział w pierwszej chwili co ma odpowiedzieć.

— Dlatego proszę pani... dlatego, że... czuję! — jąkał się z prostotą Łomski.

— Bo czuję—mówił — że pani warta jest największego szczęścia; czuję, że pani jest takim skarbem, który odrzucić mógł tylko człowiek o zmysłach pomieszanych.

— Dla kogoż byłabym skarbem? — indagowała Wanda.

— Dla każdego, który...

— Czy i dla pana?

— Taki skarb nie dla mnie—wybuchnął.

— Dlaczego?

— Cóżem wart, co znaczę?

Wandzi na te słowa kilka muskułów w twarzy zadrgało.

— Więc cóż, jeszcze mogłabym być „skarbem“ dla pana, lub wyrażając się prościej, mogłabym się panu przydać na co?

— Ależ pani...—wykrzyknął Łomski, składając ręce, i umilkł, nie rozumiejąc do czego ona zmierza.

— Cóż, panie—mówiła smutnie Wanda z oczami pełnemi łez—czekam na odpowiedź.

— Czyż pani mogłaby wątpić! — wykrzyknął Łomski.

Wanda wstała i wyciągnawszy rękę do Łomskiego, rzekła:

— Postaram się dać panu szczęście.

Łomski usta i oczy stworzył, wreszcie sam zer-

wał się z krzesła, zaczął całować obie jej ręce; ale nagle wypuścił je, usiadł znów i zamyślił się.

— Cóż to? — zapytała Wanda z uśmiechem, nie chcesz pan?

Łomski, po chwili milczenia, podniósł na nią oczy pełne łez.

— Nie! nie! — odrzekł spokojnie. — Pani teraz działa albo pod wpływem żalu do p. Hojskiego, albo pod wpływem potrzeby złożenia siebie komuś w ofierze.

Wanda, usiadła i umilkła, poważniejąc i zamyślając się także.

— Czy tak pani? — czy tak zrozumiałem — mówił biedny Łomski.

Wanda milczała.

— Bo widzi pani, ja prosty jestem człowiek, jednak, kochając panią jak nikt, zrozumiałem to pani uczucie.

— Dlaczegoż więc, tak mnie kochając, odrzucasz pan moją rękę? — spytała Wanda.

— Bo ja kocham panią dla pani a nie dla siebie, ja chcę tylko pani szczęścia, droga panno Wanda. A pani ze mną nie mogłaby być szczęśliwą, bo cóżbym pani dał? Majątek mam niewielki a pani godnaś tronu; przystojny nie jestem, wykształcenia nie mam odpowiedniego. Jabym się wciąż gryzł tą myślą, że pani szczęścia dać nie potrafię a pani możeby później żałowała swojej litości dla mnie. Nie pani! ja panią znam! pani bóstwo prawdziwe! Ale pani już tu szczęścia nie znajdzie na ziemi. Są kobiety, co jak raz pokochają, to już pokochają na zawsze. Ale pani szczęścia nie znajdzie. Ja się będę tylko życie całe modlił, by Bóg dał pani spokój.

Wanda wstała, wzięła go obu rękami za rękę, uścisnęła mu dłoń i rzekła:

— Mój panie! może pan masz i rację. Zaczny z pana człowiek.

— To stara litewska krew! — rzekł Łomski pokornie, całując jej rękę;—to nie ja! ale ta krew!

I nie dał się dłużej zatrzymać Łomski, lecz zaraz wyjechał, rozpromieniony i rad jakby był Wandzi rękę przyjął.

Gdy w parę miesięcy przypominała sobie tę rozmowę Wanda, przyznała sobie, że się wówczas nie obliczyła z siłami i omal nie zrobiła kroku, którego by później musiała żałować.

Benedykt się wreszcie z panną Drwęską zaręczył i w Wandzie chęć się zrodziła opuszczenia Kosiłowa. Dla matki czuła się mało użyteczną, a sama potrzebowała gdzieś w czemś, w jakiejś pracy, w jakimś zajęciu swój żal utopić. Nie wiedziała jednak co wybrać. Na życie klasztorne była zanadto żywa i pracowita.

Raz, gdy czyta gazetę, wpada jej w oczy jakiś artykuł, traktujący o kwestyi rozszerzenia szpitala waryatów w Tworkach i nagle przyszła jej na myśl rozmowa z narzeczonym o Dorze i obłąkanych.

Wanda z całą namiętnością uchwyciła się tej myśli.

— Zobaczysz, Władziu—powtarzała—pokażę ci, że ta Wandzia wżgardzona może się jednak komuś na coś przydać, zobaczysz, Władziu!

Po długiej walce i z matką i z Benedyktem, wreszcie Wandzia postawiła na swoim.

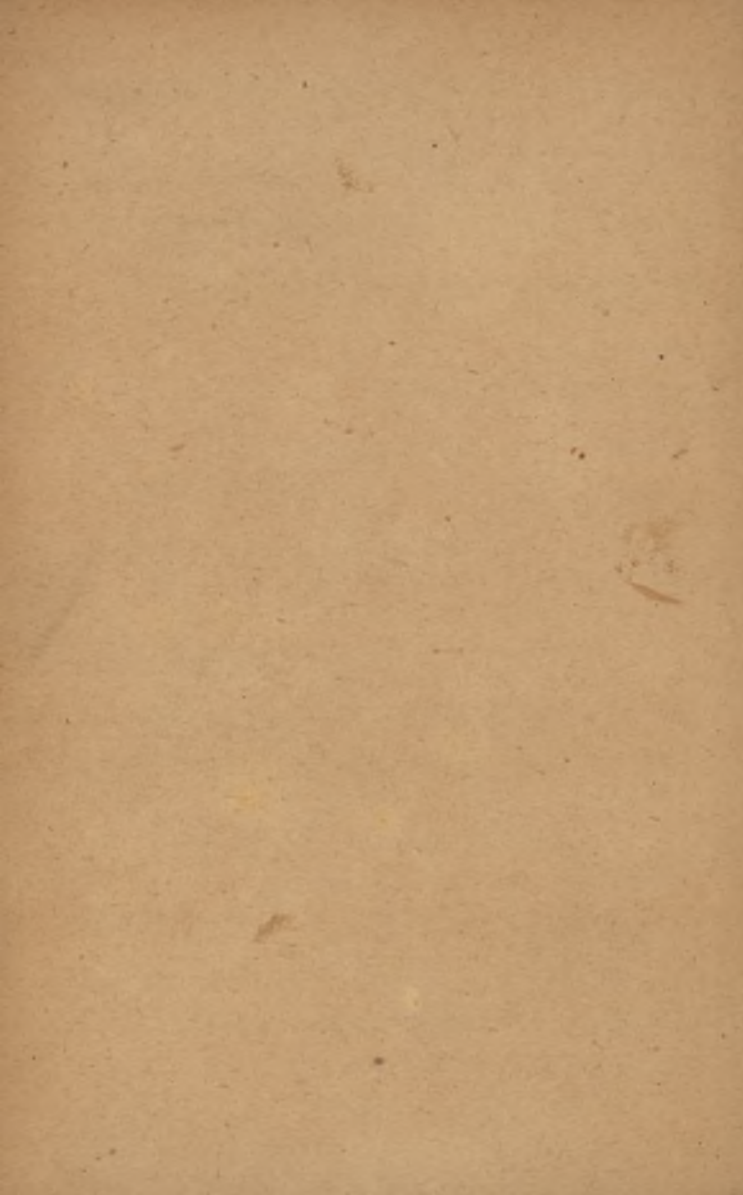
Jest teraz dozorczynią w oddziale kobiecym, a gdy czasem w nocy jej ucha dochodzą przeraźliwe krzyki złośliwych waryatów, lub tęskne nawoływanie dziecienniałych idyotów, nie robi to na niej zbyt silnego wrażenia:

— Dla was i dla mnie—mówi — pozostało tylko jedno na ziemi:

Lasciate ogni speranza!

K O N I E C .



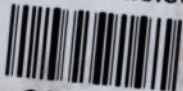


7.

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

241389

Biblioteka WSP Kielce



0097451